



**JAMES**

Najpopularniejszy autor w Stanach Zjednoczonych

**PATTERSON**

**DAVID ELLIS**

**KOCHANKA**

## O książce

MOŻNA ZAMORDOWAĆ TAK,  
BY WYGLĄDAŁO TO NA SAMOBÓJSTWO...  
ALE MOŻNA TEŻ POPEŁNIĆ SAMOBÓJSTWO TAK, BY WYGLĄDAŁO  
NA MORDERSTWO...

Kiedy pod apartamentowcem, w którym mieszkała Diana Hotchkiss, zostają znalezione jej zwłoki, policja stawia na samobójstwo.

Ben Casper, właściciel małej waszyngtońskiej gazety internetowej, nie wierzy, żeby ta tryskająca radością dziewczyna, w której był nieprzytomnie zakochany, targnęła się na życie. W pogoni za prawdą wkrótce odkrywa, że Diana nie była „grzeczną dziewczynką z dobrego domu”, za jaką ją uważano. Prowadziła niebezpieczne podwójne życie, w którym wykorzystywała swoją atrakcyjność do uzyskiwania od waszyngtońskich polityków tego, czego chciała.

Być może ktoś zamknął jej usta. I może będzie chciał zrobić to samo z Benem, jeśli ten za bardzo zbliży się do prawdy.

**JAMES  
PATTERSON  
DAVID ELLIS**

# KOCHANKA

Z angielskiego przełożył  
Grzegorz Kołodziejczyk



Wydanie elektroniczne

*Tego autora*

DOM PRZY PLAŻY  
DROGA PRZY PLAŻY  
KRZYŻOWIEC  
MIESIĄC MIODOWY  
RATOWNIK  
SĘDZIA I KAT  
SZYBKI NUMER  
OSTRZEŻENIE  
BIKINI  
REJS  
POCZTÓWKOWI ZABÓJCY  
(z Lizą Marklund)  
KŁAMSTWO DOSKONAŁE  
WYCOFAJ SIĘ ALBO ZGINIESZ  
DRUGI MIESIĄC MIODOWY  
ZOO  
KOCHANKA  
(z Davidem Ellisem)

### **Kobiocy Klub Zbrodni**

TRZY OBLICZA ZEMSTY  
CZWARTY LIPCA  
PIĄTY JEŻDZIEC APOKALIPSY  
SZÓSTY CEL  
SIÓDME NIEBO  
ÓSMA SPOWIEDŹ  
DZIEWIĄTY WYROK

**Alex Cross**

W SIECI PAJĄKA

KOLEKCJONER  
JACK I JILL  
FIOŁKI SĄ NIEBIESKIE  
CZTERY ŚLEPE MYSZKI  
WIELKI ZŁY WILK  
NA SZLAKU TERRORU  
MARY, MARY  
ALEX CROSS  
PODWÓJNA GRA  
TROPICIEL  
PROCES ALEXA CROSSA  
GRA W KOTKA I MYSZKĘ  
JA, ALEX CROSS  
W KRZYŻOWYM OGNIU  
ZABIĆ ALEXA CROSSA  
ALEX CROSS MUSI ZGINAĆ

**Michael Bennett**

NEGOCJATOR  
TERROR NA MANHATTANIE  
NAJGORSZA SPRAWA

**Private Investigations**

DETEKTYWI Z PRIVATE  
DETEKTYWI Z PRIVATE: IGRZYSKA

Tytuł oryginału:  
THE MISTRESS

Copyright © James Patterson 2013  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Grzegorz Kołodziejczyk 2017

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Zdjęcie na okładce: Sean Pavone/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Katarzyna Mieszka

ISBN 978-83-7985-430-1

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.  
(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)  
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa  
[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)  
[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) |  
[Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Ewa Szałańska, [88em.eu](http://88em.eu)

# Spis treści

[O książce](#)

[Tego autora](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)  
[Rozdział 30](#)  
[Rozdział 31](#)  
[Rozdział 32](#)  
[Rozdział 33](#)  
[Rozdział 34](#)  
[Rozdział 35](#)  
[Rozdział 36](#)  
[Rozdział 37](#)  
[Rozdział 38](#)  
[Rozdział 39](#)  
[Rozdział 40](#)  
[Rozdział 41](#)  
[Rozdział 42](#)  
[Rozdział 43](#)  
[Rozdział 44](#)  
[Rozdział 45](#)  
[Rozdział 46](#)  
[Rozdział 47](#)  
[Rozdział 48](#)  
[Rozdział 49](#)  
[Rozdział 50](#)  
[Rozdział 51](#)  
[Rozdział 52](#)  
[Rozdział 53](#)  
[Rozdział 54](#)  
[Rozdział 55](#)  
[Rozdział 56](#)  
[Rozdział 57](#)  
[Rozdział 58](#)  
[Rozdział 59](#)  
[Rozdział 60](#)  
[Rozdział 61](#)  
[Rozdział 62](#)  
[Rozdział 63](#)  
[Rozdział 64](#)  
[Rozdział 65](#)  
[Rozdział 66](#)  
[Rozdział 67](#)



[Rozdział 68](#)  
[Rozdział 69](#)  
[Rozdział 70](#)  
[Rozdział 71](#)  
[Rozdział 72](#)  
[Rozdział 73](#)  
[Rozdział 74](#)  
[Rozdział 75](#)  
[Rozdział 76](#)  
[Rozdział 77](#)  
[Rozdział 78](#)  
[Rozdział 79](#)  
[Rozdział 80](#)  
[Rozdział 81](#)  
[Rozdział 82](#)  
[Rozdział 83](#)  
[Rozdział 84](#)  
[Rozdział 85](#)  
[Rozdział 86](#)  
[Rozdział 87](#)  
[Rozdział 88](#)  
[Rozdział 89](#)  
[Rozdział 90](#)  
[Rozdział 91](#)  
[Rozdział 92](#)  
[Rozdział 93](#)  
[Rozdział 94](#)  
[Rozdział 95](#)  
[Rozdział 96](#)  
[Rozdział 97](#)  
[Rozdział 98](#)  
[Rozdział 99](#)  
[Rozdział 100](#)  
[Rozdział 101](#)  
[Rozdział 102](#)  
[Rozdział 103](#)  
[Rozdział 104](#)  
[Rozdział 105](#)  
[Rozdział 106](#)

[Rozdział 107](#)

[Rozdział 108](#)

[Rozdział 109](#)

[Rozdział 110](#)

[Rozdział 111](#)

[Rozdział 112](#)

[Rozdział 113](#)

[Przypisy](#)

*Wybitnie utalentowanej Sally McDaniel-Smith  
za pomoc przy pisaniu tej książki  
oraz za to,  
że w ciągu minionych sześciu lat pozostałem  
przy zdrowych zmysłach.*

*– D.E.*

# Rozdział 1

Zobaczmy, co też ona ma w apteczce. Skoro już tutaj jestem.

Tylko ostrożnie. Nim włączysz światło, zamknij drzwi łazienki. Bo w całym mieszkaniu jest ciemno. I oby tak zostało.

Cóż my tu mamy... Płyny, kremy, balsamy nawilżające, pomadka do ust, ibuprofen. A lekarstwa? Amoksycyлина na zatoki, lorazepam na stany lękowe...

Diana i stany lękowe? Jakie, u diabła, ona ma powody do lęku? Nie znam bardziej pozbieranej kobiety niż ona.

A to co? Cerazette... tabletki antykoncepcyjne. Pigułkę bierze? Diana na pigułce? Nigdy mi nie wspominała. Ze mną seksu nie uprawia. Jak dotąd, w każdym razie. Więc z kim?

Diano, ilekroć pomyślę, że mam cię rozpracowaną, wnet mi przypominasz, że jesteś zagadką. *Tajemnica owinięta zagadką, schowana w enigmie* – taką kwestię wypowiada Joe Pesci w filmie *JFK*, ale pierwszy wypowiedział to zdanie Winston Churchill w przemówieniu radiowym w 1939 roku, nawiązując do Rosji. Prezydent Roosevelt, który w czasie wojny bardzo zaprzyjaźnił się z Churchillem, napisał do niego kiedyś: *Zabawnie jest żyć w tej samej dekadzie co pan.*

Diano, zabawnie jest żyć w tej samej dekadzie co ty. A teraz wybacz, proszę, bo będę sprawdzał twoją garderobę w sypialni.

Kolejność działań jak poprzednio: wejść, zamknąć drzwi, zapalić światło. I uważać, żeby się nie sącyło do reszty mieszkania.

No, nieźle! Co najmniej sto par butów, pedantycznie ustawionych w rzędkach. Szpilki Stuarta Weitzmana. Czarne botki od Manola Blahnika ze skóry aligatora. Pantofelki na obcasach Rogera Viviera z noskami z różowej satyny. Czerwone Jimmy Choosy. Różowe wieczorowe sandały Escady. Lakierki Black Chanel, odpowiednie do sali konferencyjnej albo do pięciogwiazdkowej restauracji.

Woodrow Wilson lubił zakładać do płóciennego garnituru eleganckie białe półbuty. Największe buty prezydenckie, rozmiar 14, nosił Lincoln, a najmniejsze, numer 7, Rutherford B. Hayes.

Musisz mi wybaczyć, ale moje myśli czasem zbaczają z wyznaczonej drogi. Coś jak Mojżesz na pustyni. Z tą różnicą, że on miał lepszy pretekst. Oraz trudności z wymową – ja ich nie mam, no, chyba że wsadzi mi się stopę do ust.

Ale to długa historia, wróćmy więc do ustalonego planu: garderoba lady Diany. A co to wisi o tam, za szeregiem sukienek, schowane przed każdym oprócz najdokładniejszego podglądacza? Hm...

Skórzane kamizelki oraz nakrycia głowy. Łańcuchy i pejczy. Wibratory przeróżnych rodzajów i kolorów. Jeden fioletowy i wygięty na końcu (nie bardzo wiem po co). Większość w kształcie członka, ale niektóre z jakiegoś powodu mają wypustki. Czarne paciorki na sznurkach... do czegoż to? Kolczyki na sutki to owszem, kapuję. Kremy i emulsje. Długie żółte pióro...

Nagle słyszę to, widzę i jednocześnie wyczuwam: coś poruszyło się na dywanie, otarło się o moją nogę, okrążyło mnie...

– Cześć, Cynamonko... – mówię, kiedy ustępuje chwilowa trwoga i mrowienie w kręgosłupie. Abisyńska kotka Diany, trzyletnia. Nazwa „abisyński” wzięła się z Etiopii, ale rasę uważa się za egipską. Czy to nie dziwne? Abisyńczyki mają większe uszy i dłuższe ogony niż większość kotów. Sierść jest jaśniejsza przy skórze niż na koniuszkach, bardzo niewiele ras ma taką. Powiedziałem kiedyś Dianie, że powinna dać kocicy na imię Karmelka, bo to słowo dokładniej opisuje kolor jej futra. Poza tym karmel lubię bardziej niż cynamon, zwłaszcza w żelkach.

No, czas wziąć się do roboty. Gaszę światło i dopiero wtedy otwieram drzwi, bo w mieszkaniu wciąż jest ciemno. Czuję się jak Paul Newman w filmie *Złodziej*.

Najpierw sypialnia. Biurko z boku, obok balkonu. Przy biurku para gniazdek elektrycznych. Wkładam wtyczkę do niższego i ciągnę przewód za zasłoną w stronę biurka. Wygląda jak pierwszy lepszy zasilacz do komputera bądź innego urządzenia. Ale to jest zasilacz kamery wideo wysokiej

rozdzielczości z czujnikiem ruchu i trzydziestodwugodzinną pamięcią, która będzie filmowała w kolorze całe pomieszczenie. W razie potrzeby można ją nastawić na nagrywanie ciągle, lecz tutaj najsprytniejszą opcją jest właśnie aktywacja ruchem. Podoba mi się ten gadżet, bo obywa się bez baterii, czerpie prąd z gniazdka w ścianie. I nie transmituje sygnału, tylko nagrywa go na kartę SD, którą można odtwarzać na komputerze, więc detektorem się go nie wykryje.

Schylony przechodzę z sypialni do głównego pomieszczenia, na które składa się mały aneks kuchenny, obszerny salon i jadalnia. Mieszkanie znajduje się na najwyższym piętrze apartamentowca w Georgetown, co oznacza, że Diana płaci za lokalizację, a nie za metraż.

Nie chcę używać drugiego zasilacza; jeśli zauważą jeden, znajdą i drugi. Dywersyfikacja, ot co. Ale będzie trudniej niż z podłączeniem się do gniazdka, dlatego muszę założyć okulary noktowizyjne, takie jak te, które nosił seryjny zabójca w *Milczeniu owiec*. Tylko że ja nikogo nie zabiłem, a tym bardziej nie oskórowałem.

Zabójstwo można upozorować na samobójstwo i odwrotnie: można się zabić tak, żeby wyglądało to jak morderstwo.

*Masz dość zamartwiania się, że w domu może wybuchnąć pożar albo że ktoś może się włamać? Chcesz szpiegować swoich gości i uchronić ich przed niepożądanym wdychaniem dymu? Oto funkcjonalna, dyskretna kolorowa kamera Benjamina oraz wykrywacz dymu w jednym. Ten łatwy w użyciu gadżet można zamontować na każdym suficie, jest dostępny w trzech gustownych kolorach pasujących do dowolnego wystroju. A najlepsze jest to, że dzięki mikroskopijnej kamerze z obiektywem o średnicy 3,6 milimetra i mikrofonowi będziesz mógł widzieć i słyszeć wszystko, co dzieje się w pomieszczeniu. Lecz na tym nie koniec: jeśli zdecydujesz się teraz, całkowicie gratis dorzucimy jeszcze dwunastowoltowy zasilacz!*

Uwierzcie mi na słowo: nie jestem tak normalny, na jakiego wyglądam.

W porządku, gotowe. Kuchnia wygląda tak samo jak wtedy, kiedy do niej wchodziłem. Stary detektor dymu i okulary wrzucam do torby sportowej i zatrzymuję się na minutę, żeby się upewnić, że niczego nie zostawiłem.

Spoglądam na zegarek: jest 21.57. Według polecenia miałem skończyć do dziesiątej. Czyli uwinąłem się z trzyminutowym zapasem.

Wyciągam rękę do klamki i wtedy spada to na mnie jak cios. Popełniłem straszliwy błąd.

Paul Newman nie zagrał głównej roli w *Złodzieju*. Zagrał ją James Caan.

Jak mogłem pomylić Paula Newmana z Jamesem Caanem? Nerwy, ani chybi nerwy.

Zamykam drzwi na klucz i ruszam korytarzem do wyjścia pożarowego, do którego także można się dostać za pomocą klucza. Otwieram drzwi i robię krok w nocne powietrze w chwili, gdy w głębi korytarza rozlega się dzwonek windy.

## Rozdział 2

Schodami pożarowymi w dół całe sześć kondygnacji, wolno, nieustannie trzymając się zaciekle poręczy. Nie lubię wysokości. Prezydenci Waszyngton i Jefferson chcieli, żeby stolica była „niskim miastem”. Popieram ich w całej rozciągłości.

W latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku na Q Street postawiono hotel Cairo, miał blisko 50 metrów i górował nad innymi obiektami. W odpowiedzi na głośnie protesty Kongres uchwalił kilka lat później Ustawę o wysokości budynków. Jednakże w 1910 roku wprowadzono do niej poprawkę, która uczyniła ją jeszcze bardziej restrykcyjną. Obecnie wysokość gmachów w stolicy nie może być większa niż szerokości ulic, przy których stoją, powiększone o sześć metrów. Przeważnie ulice w dystrykcie stołecznym nie przekraczają 33 metrów, toteż większość budynków nie przekracza 40 metrów. Zwykle przekłada się to na trzynaście pięter albo mniej.

Dla mnie i tak za wysoko. Nie mogę stawać na gzymsach czy parapetach. Nie to, żebym się bał, że stracę równowagę lub się poślizgnę. Boję się, że skoczę.

Docieram na dół, przemierzam parking i wspinam się schodami do chodnika z cegieł prowadzącego do kanału Chesapeake i Ohio. Diana mieszka sobie na króciutkim, ciągnącym się przez dwa skrzyżowania kawałku Trzydziestej Trzeciej Ulicy, od południa ograniczonym przez Potomac, a od północy, przez kanał Chesapeake i Ohio. Jej apartamentowiec jest ostatnim budynkiem przed ślepym zaułkiem obok kanału, samotnie więc dochodzę do frontu domu.

Jest sierpień, upał i parno. Stolicę wzniesiono na terenie podmokłym i wilgotność o tej porze roku jest u nas nie do wytrzymania. Nie mam pretensji do Kongresu, że trzyma się z daleka.

Dwóch chłopaków stoi przed loftem po drugiej stronie ulicy, palą papierosy i oglądają mój motocykl.



– Maszynka palce lizać – mówi jeden, drobny i niechlujny jak Joaquin Phoenix w *Za wszelką cenę*; Nicole Kidman zagrała w nim swoją przełomową rolę i moim zdaniem pierwszy raz udowodniła, że potrafi udźwignąć film.

– Podoba ci się? – odpowiadam pytaniem. Bo mnie tak. Triumph America rocznik 2009. DOHC, osiemset sześćdziesiąt pięć centymetrów sześciennych pojemności, silnik V2, dwie stożkowe rury wydechowe, kolor phantom black z chromowanymi detalami. Gdyby ktoś chciał wiedzieć, to właśnie takim jeździł Colin Farrell w *Daredevilu*. Nie mówię, że z tego powodu go kupiłem. Ale i nie zaprzeczam. Owszem, fajnie jest się wozić taką maszyną.

– Często pan nim śmiga za miasto? – pyta chłopak.

Colin Farrell był niesamowity w *Telefonie*. Podobał mi się też jego film o glinach, w którym zagrał z Edwardem Nortonem, i ten futurystyczny z Tomem Cruise’em, *Raport mniejszości*. Niedoceniony aktor. Powinien zrobić film z Nicole Kidman.

– Taak, daję mu odetchnąć świeżym powietrzem, kiedy mogę.

– Nie powinienem się w tym miejscu afiszować, a tymczasem gawędzę z dwoma gośćmi o moim motorze.

Spoglądam w górę na zaciemnione mieszkanie Diany, na trójkątny balkon lekko wystający nad Trzydziestą Trzecią Ulicę. Służy głównie jako ogródek. Na murku ze wszystkich stron zioła i kwiaty, na posadzce przycupnęło parę małych drzewek; ona je wszystkie pielęgnuje z miłością.

W mieszkaniu zapaliło się światło, błysnęło w oknie kuchennym.

– Co pan ma z przodu? – pyta chłopak, kopiąc w koło.

– Opona sto dziesięć na dziewięćdziesiąt ME osiemset osiemdziesiąt. Lubie jeździć na osiemsetosiemdziesiątkach z tyłu i z przodu.

Diana już wróciła? To ciekawe...

– Fajnie – mówi tamten. – Gość, od którego biorę opony, nie zakłada metzelerów. Lata całe zasuwałam na avonach.

Spoglądam na niego.

– Też nieźle dają radę.

Chce znać nazwisko mojego sprzedawcy opon. Podaję mu, a on gryzmoli na papierku. Potem wskakuję na siodełko i ostatni raz zerkam na balkon Diany. Dobranoc, lady Di...

...co...

– Nie!

Ktoś wypada z jej balkonu i leci sześć pięter głową w dół. Zamykam oczy i odwracam się, ale uszu nie mogę zamknąć. Słyszę nieprzyjemne łupnięcie ludzkiego ciała o kostki chodnika i dźwięk pękających, kruszących się kości.

## Rozdział 3

Zeskakuję z motoru i rzucam się sprintem. Nie, to niemożliwe. To nie może być ona...

– Ty, widziałeś?

– Co się stało?

Dopadam do niej po dwóch kobietach, które wyskoczyły z samochodu na okrągłym podejździe, podbiegły i uklęły.

Och, Diano. Ciało leży tuż obok jezdni z rozrzuconymi rękoma, twarzą do ziemi. Świetliste włosy rozsypały się na zmiażdżonej twarzy i aż na krawężnik. Krew spływa po nim na ulicę. Staję obok kobiet i nad ich ramionami patrzę na jedyną kobietę, którą...

Dlaczego, Diano? Dlaczegoś to sobie zrobiła?

– Czy ktoś widział, co zaszło?! – ktoś krzyczy.

– To był balkon Diany! – woła ktoś inny biegnący w stronę apartamentowca.

Ludzie zgromadzili się błyskawicznie. Nikt nie może nic zrobić, wszyscy tylko się gapią jak na muzealny eksponat. Ona jest... nie potrafię tego słowa wypowiedzieć, ale nie odдыcha, jej ciało jest pogruchotane, ona... już nie żyje.

Zostawcie ją, mówię w głowie, a może też i na głos. Dajcie jej przestrzeń. Niech zachowa trochę godności.

Dobrze przynajmniej, że jest ciemno, mrok litościwie spowija ją aurą prywatności. Nie widać zmasakrowanej twarzy, nie widać bólu. W jakiś dziwny sposób pasuje to do zawziętej dumy Diany – że nawet nieżywa ukryła swoje zdeformowane oblicze przed widokiem publicznym.

Ktoś pyta o karetkę. Raptem dziesięć osób jednocześnie wyjmuje telefony komórkowe. Kucam bezradnie. Nic nie mogę dla niej zrobić. Naraz po prawej stronie widzę między stopami gapiów kawałki pękniętej glinianej doniczki i ziemię. Wyczuwam nawet woń cynamonu. Spoglądam znów na balkon, chociaż pod tym kątem nic w ciemności nie widać. To musi być

jej pelargonia, latem trzymała je w doniczkach na zewnątrz, tuż obok brzegu trójkątnego balkonu zwisającego nad ulicą.

Cofam się, rozsuwam stojących ludzi i przechodzę na ulicę; nagle nie mogę już dłużej uczestniczyć w ich chorobliwej ciekawości.

Odwracam się i wymiotuję. Nawet nie zauważam, kiedy padam na kolana na chodniku.

Dłoń Diany na moim policzku. Śmiech Diany, kiedy oblała się śmietanką do kawy w nowej kawiarni przy M Street. Diana pokazuje mi włosy miesiąc temu, gdy ufarbowała je na kasztanowo, chce znać moje zdanie, zależy jej na nim. Jej mina, kiedy nad czymś rozmyśla, ale nie chce pisać słówka. Odwraca się i patrzy, widzi, że to ja, i uśmiecha się. Uśmiecha się beztrzesko, choć może wcale nie jest beztrzeska. Brała lorazepam, idioto, jak mogłeś to przegapić? Jak mogłeś przeoczyć sygnały?

Potrzebowała mojej pomocy, a mnie nie było. Nie wykonałem niezbędnych kroków, nie zrobiłem nic. Nawet mi w głowie nie zaświtało, że istnieje opcja samobójcza.

Zabójstwo można upozorować na samobójstwo i odwrotnie: można się zabić tak, żeby wyglądało to jak morderstwo.

– Hej, bracie...

Zapach pelargonii.

– ...kolesiowi tu odwala!

Uciekaj, Benjaminie, uciekaj.

Syreny, błyski świateł przecinające mrok, wysysające powietrze...

– Trzymaj się – mówię sobie. – Trzymaj się, Benjaminie. – Biorę głęboki oddech i stoję prosto. – No dobra. – Wskakuję na siodełko i odjeżdżam ze zrywem.

## Rozdział 4

Omijam autostradę i jadę do domu Independence, bo lepiej, żebym teraz nie gnał. Utrzymuję prędkość i nie próbuję nikogo wyprzedzać. Łzy zalewają mi oczy, a ręce trzęsą się tak, że z trudem utrzymuję kierownicę.

Trasa przez Independence jest krótsza – odległość wynosi 7 kilometrów 100 metrów, a autostradą 7 kilometrów 700 metrów – ale jazda trwa nieco dłużej: 15.8 minuty w porównaniu z 13.2. Wieczorem o tej porze, kiedy ruch jest mniejszy, różnica powinna zmaleć. W ciągu minionych dziewięciu miesięcy czas przejazdu Independence wahał się od 22 minut i 18 sekund do 11 minut i 5 sekund, ale nie udało mi się porównać tras w godzinach szczytu, bo i na Constitution, i na Independence obowiązują o tej porze zakazy skrętu; muszę więc dostosowywać trasę i o porównywaniu można zapomnieć. To tak, jakby porównywać jabłka z pomarańczami. Albo pomarańcze z jabłkami.

Zapach pelargonii.

Fiona Apple powinna być większą gwiazdą. Powinna zdobyć taką popularność jak Amy Winehouse. Kojarzą mi się ze sobą te ich gardłowe, soulowe głosy, ale po płycie *Criminal* Fiona się nie przebiła. Koniec końców Amy też nie powiodło się wiele lepiej.

Ale błędzą te moje myśli, no nie? Pogarsza się, kiedy dopada mnie stres. Doktor Vance ma na to efektowną nazwę: adrenalinopochodny azyl emocjonalny, ale zawsze mi się wydawało, że próbuje w ten sposób uzasadnić fakt, że mój ojciec tyle mu bulił za to, by mnie „ustawił”. Długo trwało, zanim się zorientowałem, że cierpię na zespół *Pater crudelis*.

Skręcam w Pennsylvania jedno skrzyżowanie przed Białym Domem i tak jak wszystko, piosenka, drzewo czy tlen, przypomina mi o Dianie. On jest bardzo utalentowany, powiedziała o prezydencie. Nikt przed nim nie rozumiał tak dobrze, do czego dążymy.

Och, Diano. Inteligentna, troskliwa, Diano idealistko. Sama to sobie zrobiłaś? A może ktoś cię zabił? Żadna z tych możliwości nie ma sensu.

Ale ja to rozgryzę. Przecież w ten sposób zarabiam na życie, prawda?

Jadący z naprzeciwka Constitution SUV trąbi na mnie. Zaledwie dwóch prezydentów złożyło podpisy pod konstytucją, Waszyngton i Madison. Madison był najniższym prezydentem. Oraz pierwszym, który przed objęciem urzędu zasiadał w amerykańskim Kong...

Skręcam ostro, żeby wyminąć mazdę RX-7, naciskam hamulce ile sił w rękach. Staję bokiem do osi jezdni, na wprost samochodów z przodu i z tyłu. Czerwone światło znaczy stop, Ben. Skup się! Dasz radę.

Benjaminie, im prędzej poznasz swoje ograniczenia, tym lepiej.

Nie jesteś taki jak wszyscy, Benjaminie. Nigdy nie byłeś. Nawet... nawet przed tym, co spotkało twoją matkę.

Kiedy dorosisz, będziesz miał mnóstwo czasu na zawieranie przyjaźni.

Diana była przyjaciółką. A mogła stać się kimś o wiele ważniejszym. I stałaby się.

Dam radę. Muszę tylko wziąć leki. Muszę tylko dotrzeć do domu.

Zielone światło. Ustawiam motocykl na osi i odjeżdżam.

Diana Marie Hotchkiss. Marie to imię cioci, imię Diana dostała po babci. Urodziła się 11 stycznia 1978 roku w Madison w stanie Wisconsin, grała w siatkówkę i softball, zdobyła nagrodę z hiszpańskiego w Liceum Świętego Serca w Edgewood, które ukończyła w roku 1995...

Klakson, ktoś na mnie trąbi z jakiegoś powodu; co niby zrobiłem?

– Zamknij się i daj mi spokój! – wrzeszczę, nie spodziewając się odpowiedzi z samochodu jadącego za mną, ani nawet, że ktoś mnie usłyszy.

– Proszę zjechać na bok i zgasić silnik! – dudni głos z głośnika.

Spoglądam w lusterko i dopiero teraz zauważam migające światła. To nie jest rozgniewany kierowca.

To gliniarz.  
A więc będzie ciekawie.

## Rozdział 5

Zjeżdżam do krawędzi jezdni i gaszę silnik.

Pierwszego zabójstwa gliniarza dokonano w 1792 roku w Nowym Jorku na terenie, który stanowi teraz część południowego Bronxu. Sprawcą był niejaki Ryer, członek rodziny zamożnych farmerów; a stało się to w czasie bójki pijackiej. I wiecie, co jest najśmieszniejsze?

– Jak się dzisiaj miewamy? – mówi gliniarz, podchodząc do mnie. Oświetla mnie reflektor jego samochodu, skierowany w moją stronę.

Najśmieszniejsze jest to, że jeden z posterunków policji w Bronxie mieści się przy Ryer Avenue, ulicy nazwanej nazwiskiem tamtej rodziny.

Podaję mu prawko i dowód rejestracyjny. Pewnie już namierzył moje numery. Już wie, kim jestem.

– Zechce pan może zdjąć kask?

Właściwie to nie, jakoś nie mam ochoty. Ale zdejmuję. Długo patrzy mi w oczy. To nie może być ładny widok.

– Wie pan, dlaczego pana zatrzymałem, panie Casper?

Dlatego, że panu wolno? Bo ma pan władzę, by zatrzymywać, oklepywać, obszukiwać, łapać i aresztować każdego, jeśli tylko przyjdzie panu chętka? Dlatego, że jest pan transwestytą impotentem cierpiącym na zatwardzenie i kompleks Napoleona?

– Ciut mnie tam zarzuciło na jezdni – przyznaję.

– O mało nie spowodował pan wypadku – mówi. Ma sumiaste wąsy. Wypożyczyli tego glinę z zespołu Village People?

Nie jestem zwolennikiem noszenia zarostu, ale nawet gdybym był, takich wąsisk bym sobie nie zapuścił. Prawdopodobnie chodziłbym z dwudniową szczeciną, jak Don Johnson w *Policjantach z Miami*. Fajnie by było.

– Na odcinku od jednego skrzyżowania do drugiego trzy razy przeciął pan podwójną ciągłą.



Postanawiam skorzystać z prawa do nieobciążania zeznaniami samego siebie. I modłę się, żeby gliniarz nie zapytał, co mam w plecaku – a są tam okulary noktowizyjne, używany czujnik dymu i parę najprostszyc narzędzi. Oraz krem wyszczuplający, który wziąłem z mieszkania Diany.

Muszę się dostać do domu. Potrzebuję czasu, żeby pomyśleć, rozpracować tę sprawę.

– Pił pan coś dzisiaj?

Stoi dosyć blisko. Jedno z zagrożeń związanych z zatrzymaniem motocyklisty. Mógłbym dla żartu wyciągnąć rękę, chwycić pałkę albo kajdanki, które ma przy pasie, może nawet pistolet w kaburze, a on nawet by nie zdążył powiedzieć „pączek”. Ale raczej by go to nie rozbawiło.

Jednak jeśli będzie zbyt dociekliwy, mogę to zrobić nie dla żartu. Wspominałem chyba, że czasami sam sobie nie ufam.

– Trzeźwy jak ksiądz – odpowiadam. Ksiądz, którego znałem w dzieciństwie, ojciec Calvin, szaleńczo się alkoholizował.

– Coś pana dzisiaj wyprowadziło z równowagi? – pyta on.

Hm, wieczór rozpoczął się pomyślnie, bo zainstalowałem elektroniczny zestaw inwigilacyjny w mieszkaniu kobiety, którą kocham. Później sprawy przybrały gorszy obrót, bo ta kobieta runęła z wysokości na ziemię i zginęła na miejscu. Pasuje ci taka odpowiedź, glino?

– Z dziewczyną się pokłóciłem – mówię. – Przepraszam, że tak jechałem. Trochę byłem podminowany. Ale jestem kompletnie trzeźwy i ostrożnie dojadę do domu. Mieszkam obok Kapitolu, pięć minut drogi stąd.

Potrafię zagrać normalnego, kiedy muszę. Lustruje mnie przez chwilę, patrzy w oczy, a potem każe mi się nie ruszać. Zabiera do samochodu moje prawko i dowód rejestracyjny. Nic ciekawego nie znajdzie. Nie mam kartoteki kryminalnej, w każdym razie takiej, którą on by mógł namierzyć.

Ulyssesa S. Granta zatrzymano kiedyś za przekroczenie prędkości podczas jazdy konnej. Mandat wyniósł dwadzieścia dolarów, a on nalegał, że go zapłaci. Franklina Pierce’a aresztowano za to, że staranował konno staruszkę, lecz zarzuty zostały oddalone.

– Jest pan dziennikarzem – informuje mnie gliniarz po powrocie. – Pisze pan dla „Capital Beat”. Czytałem kiedyś pana

teksty i tak mi się zdawało, że znam nazwisko.

W rzeczywistości pisuję relacje z Białego Domu i mam firmę. Plusy z posiadania bogatego dziadka. Czy to, co ten gliniarz powiedział, oznacza, że nie wystawi mi mandatu?

Nie. Notuje mnie za nieostrożną jazdę i przekroczenie podwójnej ciągłej. Jak na mój gust to jest dublowanie tego samego zarzutu, ale nie pora na debaty logiczne. Chcę tylko, żeby mnie puścił, i tak robi, ale wręcza mi mandaty za złamanie przepisów drogowych. Czyli wyszło dobrze. Dobre jest i to, że, o dziwo, gliniarz mnie uspokoił, siłą skierował mnie ku normalności.

Ale jest także zła strona: otóż odnotowano moją obecność blisko domu Diany w ciągu godziny od jej śmierci.

## Rozdział 6

Nie śpię, ale śnię: pistolet na posadzce łazienki, kobieta leżąca płasko na chodniku, krew tryskająca na zasłonę prysznicową, puste oczy bez życia, krzyk, którego nikt nie słyszy, spadająca z góry kropelka krwi, która przybiera kształt sferyczny, a potem w całkowitej ciszy uderza o ziemię.

– Diano – mówię na głos. Unoszę głowę. Wstaję z podestu schodów na piętrze i pędzę w dół. Czyżbym kogoś usłyszał? – Diana?

Zaglądam do kuchni, do bawialni, do łazienki.

Na dworze łagodnie rozprasza się ciemność. Brzask. Minęło siedem godzin, ale dla mnie były jak siedemdziesiąt lat wypełnionych udręką i bólem. Jestem cały spocony, tętno dopiero zaczyna opadać. Bolał mnie kończyny i oddycham tak, jakby ktoś stał na mojej klatce piersiowej.

Podbiegam do drzwi i wyglądam przez wizjer: naprzeciwko mojego domu stoi zaparkowana biała ciężarówka. Zbieg okoliczności? Paru amatorów joggingu biega w Garfield Park po drugiej stronie ulicy. Oscar, sznaucer olbrzym sąsiada, sika na moim podjeździe. Sznaucery olbrzymy napędzają mi stracha. Powinno się trzymać tylko te małe. To bez sensu, że one są takie wysokie. Z jakiegoś powodu kojarzą mi się z Wilfordem Brimleyem. Facet jest sześćdziesięcioletkiem przez całe moje życie<sup>1</sup>.

Prezydent Johnson miał co najmniej trzy psy, przeważnie były to beagle, dwa nosiły imiona On i Ona. Jerzy Waszyngton trzymał foxhoundy, ale lubił wszystkie psy. W czasie bitwy pod Germantown jego oddziały natknęły się na teriera należącego do brytyjskiego generała Howe'a, zaprzysięgłego wroga Waszyngtona. Żołnierze chcieli zatrzymać psa jako trofeum, lecz Waszyngton go wykąpał, nakarmił, a potem ogłosił rozejm, żeby jego żołnierze mogli przekroczyć z flagą linię wroga i zwrócić

psiaka jego panu. Franklin Delano Roosevelt miał psa, którego zabierał, ilekroć...

Nagle ni stąd, ni zowąd pojawia się chłopak z gazetami i rzuca mi jedną pod drzwi.

Schylam się idiotycznie i po cichu klnę na roznosiciela – kiedyś mu się dostanie, lada dzień – i dochodzę do wniosku, że chyba powinienem był zażyć wczoraj wieczorem lekarstwo. Ale teraz nie czas na to. Muszę się stąd zabierać.

Najpierw prysznic, bo cuchnę potem i waniliowym zapachem z szafy Diany. Chyba powinno się coś takiego stosować, gdy w pomieszczeniu jest druga osoba. Calvin Coolidge lubił, żeby nacierano mu głowę wazeliną, kiedy spożywał śniadanie w łóżku. *Vaseline* to druga na liście najlepszych piosenek zespołu Stone Temple Pilots, ustępuje tylko *Interstate Love Song*. Coś mi się zdaje, że należało zażyć wczoraj tabletkę, ale nie lubię efektów ubocznych takich jak lekkie nudności, dzwonienie w uszach oraz, a jakże, impotencja. Uchroni cię przed upadkiem, ale przy okazji pozbawi uniesień.

Impotencja nie jest teraz moim zmartwieniem numer jeden. Do tego rodzaju usiłowań, o ile mi wiadomo, potrzebna jest obecność drugiej osoby. Uprawiałem seks z ośmioma kobietami, w sumie dziewięćdziesiąt dziewięć razy. Najkrótszy kontakt, od gry wstępnej do szczytowania, trwał trzy minuty i około czternastu sekund. Mówię około, bo czasem trochę niezręcznie jest zerknąć od razu na stoper, więc trzeba szacować: wyciągnięcie zajmuje jakieś pięć sekund, komplement od pięciu do dziesięciu i dopiero wtedy możesz dyskretnie skierować wzrok na przegub.

Najdłuższy kontakt, jeśli was to ciekawi, potrwał czterdzieści siedem minut i z grubsza trzydzieści sekund. Wziąwszy pod uwagę wszystkie kontakty i zaokrąglając liczby, średni czas wynosi dwadzieścia jeden minut, mediana to osiemnaście minut, a dominanta siedemnaście. Moja nauczycielka matematyki, panna Greenlee, byłaby dumna. Bo z nią za każdym razem wychodziło ponad pół godziny.

Nigdy jednak nie miałem dziewczyny długoterminowo. Z jakiegoś powodu większość z nich uważała, że nie jestem romantyczny.

Aż do Diany. Kliknęło i zaskoczyło. Wszyscy jesteśmy kawałeczkami układanki na ogromnej tablicy, a ona i ja, no, jakoś tak wyszło, że nasze poszarpane brzegi się dopasowały. Nawet jeśli ona nie zdążyła tego jeszcze załapać.

Odkręcam prysznic, ale nagle odwracam głowę. Co to było?

Zarzucam ręcznik na biodra i pędzę do okna wychodzącego na F Street. Biała ciężarówka wciąż stoi naprzeciwko domu. Staroświecka wysadzona drzewami uliczka zaczyna tętnić życiem, miasto się budzi. Alejkami Garfield Park pomyka teraz więcej psów, lecz nie ma sznaucera olbrzyma.

Podchodzę do schodów i stoję bez ruchu, nasłuchując, czy coś się dzieje na parterze.

Nic.

Uspokojony wracam do sypialni. Eksplozja muzyki – trzaskają gitary, dudni bas – omal nie powala mnie na dywan. *Fine Again* Seether. Chwilę mi zajmuje dojście do siebie, to było jak udar. Będzie już wpół do siódmej. Radio mam nastawione na stację DC101.

Włączam najgorętszą wodę i czuję, jak parzy mnie w szyję. Powieki mi ciężą, nogi mam jak z gumy. Daje mi się we znaki bezsenna noc, a właśnie teraz muszę się skupić jak nigdy.

Bo wybieram się znowu do mieszkania Diany.

## Rozdział 7

Jadę motocyklem z powrotem tą samą drogą, którą pokonałem wczoraj w nocy. Ulice są dość spokojne, bo nie ma jeszcze siódmej, a Kongres nie obraduje, co oznacza, że szeregi garniturów – urzędników, lobbystów, dziennikarzy nawet – mocno się przerzedziły. Nadal jesteśmy upakowani w tym mieście jak sardynki w puszcze, ale wszystko jest względne. Sunąc Constitution, czuję, że wskaźnik ciepła ponownie idzie w górę. Będzie goręcej niż wczoraj.

Tak wiele jest rzeczy, których w tej chwili nie wiem. Nie wiem, co robiła wczoraj Diana, za dnia i wieczorem. Wiem tylko, że polecenie nakazywało mi wyjść z jej mieszkania przed dziesiątą.

Godzina dziesiąta to pora, o której Calvin Coolidge zwykle szedł spać. Przeważnie spał do siódmej, dziewiątej rano, a oprócz tego robił sobie popołudniową drzemkę. Kiedy śpię, nie podejmuję złych decyzji, żartowałem. Prezydent Arthur rzadko kładł się przed drugą w nocy. Prezydent Polk pracował zazwyczaj do późna i wczesnie wstawał, ale umarł z przemęczenia trzy miesiące po zakończeniu pierwszej kadencji. Kupił jednak Kalifornię i niektórzy zaliczają mu to na plus.

Co się stało po tym, jak parę minut przed dziesiątą wymknąłem się z jej mieszkania? Usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi windy – ale czy Diana? Czy była sama? I dlaczego to było takie ważne, żebym wyszedł przed dziesiątą?

Moje tętno przyspiesza, kiedy sunę K Street i wzdłuż Georgetown Waterfront Park; widzę kajakarzy na Potomacu, zbliżam się do Trzydziestej Trzeciej. Trzydziestym trzecim prezydentem był Truman, ale trzydziestym drugim, który sprawował urząd, bo Grover Cleveland został wybrany na dwie kadencje nienastępujące po sobie – w 1888 roku, ubiegając się o reelekcję, przegrał z Benjaminem Harrisonem, mimo że

zdobył więcej głosów wyborczych. Jednakże później pokonał Harrisona, kiedy ten ubiegał się o drugą kadencję, ale z powodu choroby żony nie mógł prowadzić kampanii i po czterech latach przerwy Cleveland wrócił na urząd.

Może jednak byłoby lepiej, gdybym zażył to lekarstwo.

Skręcam w prawo w Trzydziestą Trzecią i jadę na północ w stronę kanału i apartamentowca Diany. Stawiam motor jedną przecnicę od celu i ruszam pieszo, pocąc się od wilgotności – już o tej porze – i zapewne trochę z nerwów.

Czuję się niczym Bruce Willis w *Pulp Fiction*, kiedy wraca do domu po tym, jak zabił przeciwnika na ringu i zdradził gangstera. Gdyby w środku czekał na mnie John Travolta, zapytałbym go, dlaczego nakręcił *Bitwę o Ziemię*. Gdybym robił festiwal filmów z Bruce'em Willisem, obejrzałbym *Szósty zmysł*, *Szklaną pułapkę*, *Niezniszczalnego* i *Pulp Fiction*. I pewnie jeszcze *Ocean's Twelve*, chociaż zagrał po prostu samego siebie. No co, mój festiwal, ja ustaliam zasady.

To może być ryzykowne. Muszę uważać, bo ktoś może mnie zobaczyć. Mam klucz do jej mieszkania, ale ludzie mogliby mnie rozpoznać. Szkoda, że nie mam realistycznie wyglądającej maski, takiej jak w *Mission: Impossible*, którą bohaterowie zrywają w dramatycznych okolicznościach, odsłaniając swoją prawdziwą twarz. Ale to tylko samotny stary Benjamin. Jakoś szczególnie się nie wyróżniam. Nabrałem wprawy we wtapianiu się w tło. Ludziska mówili mi, że jestem podobny do ojca i to miał być komplement, chociaż czułem się jak przy bolesnym zastrzyku. Diana powiedziała, że przypominam Johnny'ego Deppa. Może za pirata by się przebrać. Albo za Johna Dillingera. Albo Willy'ego Wonkę.

Zbliżając się, czuję, że klatka piersiowa mi się zaciska, zasycha mi w gardle i ustach, kończyny sztywnieją. W tym miejscu wczoraj wieczorem skończyło się życie Diany. Tak naprawdę jeszcze to do mnie nie dotarło. Zainkasowałem cios, ale siniak dotąd się nie uformował. Mózg wie, ciało reaguje, ale jakoś nie jest to jeszcze rzeczywiste.

I wtedy to następuje. Krystalizuje się. Widzę, jak ona spada, obraz nabiera wyrazistości i chcę przewinąć czas do tyłu jak Superman, kiedy ratował Lois Lane; odkryć, co się działo z Dianą, a czego nie wiedziałem, co sprawiło, że ktoś ją zabił,

albo co ją skłoniło do odebrania sobie życia. Powiedz mi, Diano, daj wskazówkę, powiedz, jak mogę to roz...

Mężczyzna ubrany po cywilnemu stoi bardzo blisko miejsca, w którym spadła Diana, i wlepia gały w balkon. Jeśli nie jest architektem, agentem obrotu nieruchomościami albo wielkim fanem balkonów, to jak nic widzę przedstawiciela stołecznej śmietanki. Ogląda się na mnie, dostrzegam wąsy i wszystko jasne. Gliniarz, prowadzi dochodzenie w sprawie śmierci Diany.

Zaplątałem się w myślach i popełniam błąd, straszny błąd. Jestem tylko trzydzieści metrów od niego, widzę go i stoję jak wryty pośrodku chodnika. Tym sposobem ściągam na siebie jego uwagę. Odwraca się i gapi na mnie. A ja na niego. Żaden z nas nie wypowiada słowa. Sytuacja pogarsza się z każdą mijającą sekundą. Właśnie to miała na myśli Uma Thurman w *Pulp Fiction*, kiedy mówiła o niezręcznej ciszy. No i ciekawe, czy facet słyszy mój puls.

O wiele za późno na to, by ruszyć i minąć go jakby nigdy nic. Mogę rzucić się pędem do ucieczki i taksując go wzrokiem, widzę, że pewnie zostawiłbym gościa za sobą, ale to środek ostatniej szansy, poza tym on mógł zauważyć, jak parkuję motor, więc nawet gdybym się ulotnił, gliniarz tylko by zapytał swoich przez radio i wiedział o mnie wszystko – również to, że wczoraj wieczorem byłem w pobliżu, jechałem byle jak i dziwnie się zachowywałem.

No, pięknie ci idzie, Ben. Bardzo to było mądre, żeś się tutaj wybrał.

Robi krok w moją stronę. Wsuwa gumę do ust i kiwa mi głową.

– Dobry – odzywa się z wyćwiczonym spokojem. Ale ja widzę. Widzę to w jego oczach. Jest lepszy niż tamten wąsaty krawężnik z wczorajszego wieczoru. Już wysunął antenki. On wie. Wie.

I co teraz, cwaniaczku?

– Mieszka pan tu gdzieś? – pyta, udając czcze zaciekawienie, jakby chciał, żeby mu wskazać drogę do pomnika Waszyngtona.

Nie odpowiadam, tylko sięgam lewą ręką za plecy. Robię to mimochodem, z uśmiechem na twarzy, żeby nie włączył mu się detektor zagrożeń.



Jednym płynnym ruchem odpina klapkę kabury i kładzie dłoń na rewolwerze.

## Rozdział 8

Okazuje się, że gliniarz jest lewusem. Mogłem się zorientować, bo kabura jest na lewym biodrze. Prezydent Garfield był mańkutem. Tak samo Truman. W czasach współczesnych...

Macham identyfikatorem prasowym, który trzymałem złożony w tylnej kieszeni.

– „Capital Beat”.

Glina bierze oddech i wyhamowuje, rozluźnia uchwyt dłoni na pistolecie.

– Jezu Chryste – mówi.

– Nie, dziennikarz tylko.

Właściwie to Garfield był oburęczny. Umiał jedną ręką pisać w starożytnej grece, a drugą po łacinie. Lewusem był bohater, którego Al Pacino grał w *Donniem Brasco*. Moim zdaniem to jego najlepsza rola, zagrana z samokontrolą, pełna rozpacz.

Gliniarz przegląda szybko moją akredytację. Wydaje ją co roku Miejska Komenda Policji.

– Benjamin Casper – czyta. – O, w dupę, załatwiłeś mi pan chwilę nerwówki, panie Casper.

No super. Dwa razy powtórzył moje nazwisko, czterokrotnie zwiększając prawdopodobieństwo, że je zapamięta.

Prezydent Buchanan często przechylał głowę w lewo, bo na jedno oko był krótkowidzem, a na drugie dalekowidzem.

– Powinien pan nosić dokument w widocznym miejscu, kolego.

– Przyznaję się do winy. – Kiwam głową w stronę apartamentowca Diany. – Ktoś wyskoczył wczoraj z okna?

Jeszcze raz mierzy mnie wzrokiem.

– Biuro informacyjne coś później wypuści. Wciąż pracujemy nad identyfikacją.

To unik, jeśli mnie uszy nie mylą, a korespondenci z Białego Domu słyszą takowe dzień w dzień. Większość detektywów

i mundurowych udziela podstawowych informacji, jeszcze nim biuro informacji publicznej wyda oficjalny komunikat, zwłaszcza jeśli się przyrzeknie, że ich nazwiska padną w artykule w poprawnej formie. Wniosek: ta sprawa jest traktowana inaczej.

Miejsce, w którym spadła Diana, jest ogrodzone żółtą taśmą. Kawałki glinianej doniczki i trochę ziemi z pelargonii nadal tam leżą. Jest także plama krwi, większość na chodniku, ale ślady sięgają krawężnika.

Kiedy krew wydostanie się poza organizm, zachowuje się jak ciecz, podlega wszystkim prawom fizyki z siłą powszechnego ciężenia włącznie.

– Niech mnie pan wspomóż, detektywie – mówię. – Żadnych poszlak nie macie, nic?

Gliniarz już się ode mnie odcina. Wie, że jestem dziennikarzem, i traktuje mnie z przychylnością należną choremu karaluchowi.

Ale pytanie budzi jego uwagę. Patrzy na mnie.

– Poszlak dotyczących czego? Że jakaś pani wyskoczyła z balkonu?

– Skoro pan tak twierdzi – mówię tonem dziennikarza, który czuje, że go zbyto.

– Przykro mi, Benjaminie Casper. Jaśniej na razie nie będzie.

Czego on tak w kółko powtarza moje nazwisko, psiakrew?

Postanawiam ograniczyć straty i wycofać się. Bo w sumie bilans jest ujemny. Nie dostałem się do mieszkania Diany, detektyw badający sprawę trzy razy wypowiedział moje nazwisko i jest niemal pewne, że wryło mu się w pamięć. Ale dobre chociaż to, że zasłoniłem się akredytacją dziennikarską i uniknąłem katastrofalnej wpadki.

Przejażdżka nie poszła całkiem na marne. Wyczałem trzy rzeczy, których nie wiedziałem. Po pierwsze, policja miejska traktuje sprawę śmierci Diany jako zabójstwo. Po drugie, z jakiegoś powodu udaje, że tak nie jest.

I po trzecie, w lexusie stojącym nieopodal siedzi dwóch gości w okularach przeciwsłonecznych, którzy okropnie się interesują mną i gliniarzem.

## Rozdział 9

Kopnięciem budzę triumpha do życia, zakładam okulary i kieruję się w stronę lexusa z dwoma facetami w środku, żeby zerknąć na nich przelotnie. Obaj są rasy białej, muskularni, szczęki mają jak ze stali i miny takie, jakby cierpieli na zatwardzenie. No dobrze, z tym zatwardzeniem to tylko domysł. Nie znam ich zamiarów, ale nie czas teraz, by się dowiadywać – nie dysponuję elementem zaskoczenia, ich jest dwóch, a ja sam, siedzę w aucie, a ja na jednośladzie. Poza tym dość już wzbudziłem podejrzeń jak na jeden poranek.

Jadę powoli, dając im szansę, żeby za mną ruszyli. Nie ruszają. Więc może Diana ich nie interesuje. Może chcieli tylko rzucić okiem na Potomac z dogodnego punktu widokowego. Może obserwują ptaki.

Diana wsiadała ze mną czasem na triumpha. To były moje najlepsze chwile na tej maszynie: jej ramiona oplatały mnie w pasie, broda opierała się na ramieniu i wspólnie przeżywaliśmy przygodę. Jeszcze nie zmierzyłem się z faktem, że nigdy więcej ze mną nie pojedzie.

Zostalibyśmy parą. Wiem o tym. Najlepsze pary to te, które zaczynają od przyjaźni, tak jak Billy Crystal i Meg Ryan w *Kiedy Harry poznał Sally*. No, może poza tym, że – spójrzmy prawdzie w oczy – ona była dla niego o wiele za ładna. W każdym razie większość ludzi łączy pociąg seksualny, dopiero później kombinują, czy są do siebie dopasowani. Seks ich rozprasza i za późno uświadamiają sobie, że nic nie składa się w całość. Diana i ja, z nami było inaczej. Kolegowaliśmy się. Byliśmy kumplami. Owszem, ja chciałem więcej, ale jej opór zmusił nas do wypracowania związku na innych zasadach. Kiedy już doszlibyśmy do klimatów romantycznych, okazałoby się, że wszystkie inne rubryczki mamy odhaczone.

A może tylko mnie się tak marzyło. Nigdy nie dowiem się na pewno.

Bo ktoś ją zabił. Tego jestem już pewny. Uwielbiała tę pelargonie. Nawet gdyby chciała umrzeć, obeszlaby ją ostrożnie i dopiero potem rzuciła się z balkonu. Nie zwałaby niechący kwiatów i nie pociągnęła ich ze sobą.

Wyobrażam sobie, jak gliniarz uśmiełby się z tej mojej analizy. Sprawa straconej pelargonii. Któraś ze zgromadzonych tu osób jest kwiaciarką!

Musielibyście znać Dianę tak jak ja.

Tak czy owak, kamera obserwacyjna w mieszkaniu powie, co się zdarzyło. Muszę tylko zaczekać, aż policja się stąd zwinie...

Czekać. Wyczekiwać. Czy Diana wiedziała, że ktoś chce ją zabić?

Czy to dlatego poprosiła, żebym umieścił sprzęt obserwacyjny w jej mieszkaniu? Sama nie podała powodu, więc jej nie zapytałem. Ale wszystko, wszyściutko na to wskazuje.

Czy kazałaby mi instalować podsłuch w jej mieszkaniu, gdyby tego wieczoru planowała samobójstwo?

Nie zrobiłaby czegoś takiego. Oto potwierdzenie. Diana Marie Hotchkiss została zamordowana.

Och, Diano. Bałaś się o życie? Dlaczego? Co zrobiłaś? W coś ty się wpakowała? Czyżbyś wiedziała coś, czego nie powinnaś być wiedzieć? Zrobiłaś coś, czego nie powinnaś?

I dlaczego mi nie zaufałaś, nie powiedziałaś?

Należałoby z tym iść na policję. To kluczowa informacja. Gliny by się dowiedziały, że Diana się czegoś obawiała, a kamery pozwoliłyby rozwiązać sprawę.

Ale ja zostaję z tym samym kłopotem, który mam od chwili, gdy tamtego wieczoru odszedłem, a ona leżała martwa na chodniku: byłem w jej mieszkaniu kilka minut przed tym, zanim spadła. I zwałem z miejsca zdarzenia.

Jak tylko zgłoszę się na policję, zostanę głównym podejrzanym w sprawie morderstwa.

## Rozdział 10

*Spadają na mnie znieca, nie mają twarzy, ale są rośli i silni, ich szybkie ręce łapią mnie za kark i nadgarstki, tłamszą, a tymczasem moje stopy ślizgają się na mokrej łazienkowej posadzce; wkładają mi pistolet w dłoń, ale zawzięcie go trzymają, kontrolują, przyciskają mi do skroni. Opieram się, poruszam dłonią, odsuwam ją od lufy, ale ich palce trzymają mnie za włosy, nachylają głowę w przód, przyciskają lufę do skroni i suną do spustu. Wyciągam palce do przodu, zsuwam ze spustu, jednak oni są zbyt silni, zbyt silni, a ja za słaby, widzę krew bryzgającą na zasłonę prysznicową, jeszcze nim słyszę pocisk, nim czuję, jak wnika do mózgu, zanim uświadamiam sobie, że nie żyję.*

Rzucam się w przód i omal nie rozłamuję laptopa na dwie części. Wypuszczam głośno powietrze z płuc i czekam chwilę, aż odzyskam orientację. Siedzę w rogu sypialni. Szukałem w sieci materiałów dotyczących artykułu i chyba się kimnałem. Często mi się to zdarza od śmierci Diany, nie śpiam normalnie, tylko zapadam w sen, a potem budzi mnie jakiś akt przemocy, który się w nim dzieje. Policzylbym na jednej ręce godziny przespane w ciągu ostatnich dwóch dób.

Laptop grzeje mnie w spocone uda, kładę go na wykładzinie i kucam. W tej pozycji, zgarbiony, przysuwam się do okna, uważając, żeby trzymać się poniżej linii widzenia.

Potem unoszę się tylko na tyle, żeby wyrzeć w dół na ulicę. Słońce weszło niedawno i przez gałęzie drzew rzuca pasma światła na park i powierzchnię F Street.

Biała ciężarówka nadal stoi przy krawężniku naprzeciwko budynku, już od dwóch dni. Mijałem ją sporo razy w czasie, który upłynął od śmierci Diany. Nigdy nie widziałem nikogo w środku. Ale mogę zajrzeć tylko do kabiny kierowcy. Pojęcia nie mam, co się dzieje z tyłu.

Sąsiadka Alicia, magistrantka, która nie pozwoli ci zapomnieć, że zgłębiała literaturę klasyczną w Radcliffe,

wyprowadza na spacer swojego dobermana, idzie z nim chodnikiem z kostki po przeciwnej stronie ulicy. Rzucone frisbee ląduje u jej stóp i dziewczyna staje z zatroskaną miną, a czyjś pies, biszkoptyowy labrador, biegnie, żeby je podnieść. Alicia odsuwa na bok swojego dobermana, by nie doszło do zwarcia. Labrador unosi talerz w pysku i pędzi galopem do właściciela, stojącego w głębi Garfield Park.

Nigdzie nie widać Oscara, sznaucera olbrzyma.

Ktoś bawi się frisbee ze swoim psem tak wcześnie rano? Mężczyzna jest wysoki i mocno zbudowany – czy to jeden z tych, którzy siedzieli dwa dni temu w lexusie, obserwując mnie i gliniarza przed apartamentowcem Diany? Możliwe. Nie wiem.

Odwracam się od okna i wpada mi do nosa mój zapach. Wczoraj się nie kąpałem. Niewiele pamiętam z tego, co wczoraj robiłem, ale nie mam amnezji, tylko wszystko zlewa mi się w jedną wirującą plamę. Przez ten czas, snując się po domu – takie są korzyści z posiadania gazety internetowej – rąbnąłem artykułik o przeciąganiu liny między szefem personelu prezydenta i sekretarzem bezpieczeństwa wewnętrznego; informacje wydębilem od źródła w Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego, czyli od asystentki zastępcy sekretarza, jednej z niewielu kobiet, z którymi się spotykałem, a które lubiły mnie po tym, jak ze sobą zerwaliśmy.

Przez głos dyskdżokeja przebija się muzyka; to mój zegar radiowy. Jest szósta rano w stolicy kraju, to będzie wspaniały dzień, informuje mnie spiker.

Nic z tego. Dzień będzie podły.

Ruszam się pomału, wlokę się, jestem rozgoryczony i poharatany. Te dwa dni to było dla mnie miotanie się między depresją, goryczą i strachem, w zależności od tego, na czym zatrzymuje się moja myśl: (a) Diana odeszła na zawsze, (b) ktoś w gwałtowny sposób zabrał ją z tego świata, (c) ktoś może mieć podobne zamiary wobec mnie, (d) w jakiś niepojęty sposób jestem wrabiany w zamordowanie Diany.

Naturalny instynkt, wpajany mi od dzieciństwa, każe mi zwrócić się do wewnątrz, schować, odciąć się od wszystkiego i wszystkich.

Benjaminie, im wcześniej poznasz swoje ograniczenia, tym lepiej.

Na zawieranie przyjaźni będziesz miał mnóstwo czasu, kiedy dorośniesz.

Diana była przyjaciółką. I właśnie dlatego nie mogę dzisiaj zostać w domu.

Dzisiaj ma się odbyć konsolacja w jej rodzinnym mieście Madison w stanie Wisconsin, ja zaś muszę na nim być, jestem jej to winien.

Nawet jeśli z tego powodu mnie zabiją.



## Rozdział 11

Biorę prysznic, golę się, wkładam garnitur i ruszam triumfem na lotnisko, z którego odlecę do Madison. Świeże powietrze trochę mi pomaga, pozwala mi na chwilę wyrwać się z myślowego chaosu. Muszę mieć łeb mocno przytwierdzony do tułowia.

Parkuję motor i przez halę wychodzę na płytę lotniska. Lotnisko Potomac leży zaledwie kilka minut od centrum Waszyngtonu, ale nie ma tutaj parkanów, kamer, prawdziwych punktów kontrolnych. Wyobraźcie to sobie. Facet, który tym zawiaduje, ten to ma nerwy. Ale kiedy jest wolne miejsce, pozwala mi parkować albo korzystać z hangaru praktycznie za friko, bylebym go tylko zgadał z innymi dziennikarzami. Polityka w dystrykcie stołecznym nie ogranicza się do wybieranych oficjeli.

Podchodzę do mojego samolotu, jest to Cessna 172N Skyhawk, model 1979. Kupiłem go dwa lata temu, sięgnąłem do kasy funduszu, który mi zostawił dziadek. Nie znałem gościa, ale radził sobie dobrze w branży organizacji imprez, a jeszcze lepiej na giełdzie i dzięki temu jestem posiadaczem awionetki, gazety internetowej oraz worka forsy zainwestowanej w obligacje.

Cessna to piękność. Cztery fotele i w sam raz miejsca na bagaż. Niebieskie pasy, kolor spokojnego nieba. Kolor oczu Diany.

Dzisiaj się z tobą pożegnam, Diano.

Prezydent Kennedy jako pierwszy korzystał z samolotu o nazwie Air Force One, był to zmodyfikowany boeing 707. Nie chciał, żeby maszyna raziała wojskowym wyglądem, więc kazał usunąć z kadłuba słowa „Air Force”. Pierwszy raz poleciał nim na pogrzeb Eleonory Roosevelt, który odbył się w nowojorskim Hyde Parku. Ostatni przelot odbył się do Dallas w listopadzie 1963 roku. Prezydent Johnson został zaprzysiężony na pokładzie tejże maszyny.

Odsuwam spod kół drewniane kliny, które je blokują. Obchodzę awionetkę, żeby odwiązać skrzydła i ogon. Pilot, który akurat mocuje obok swoją maszynę, zerka na mnie dziwnie. Lotnicy przeważnie używają bloków na krótkie, mniej więcej godzinne przystanki, samoloty przywiązują tylko wtedy, gdy zostawiają je na noc lub dłużej. Ja korzystam z obu sposobów. Ostrożności nigdy za wiele.

Prezydent Kennedy snuł fantazje na temat swojej śmierci. Opowiadał o zamachu, ponoć nawet nakręcił żartobliwy filmik domową kamerą.

Rutynowe czynności kontroli maszyny przed lotem uspokajają mnie, uwalniają myśli od poważniejszych spraw. Skrzydła nie są oblodzone, byłoby to dość dziwne w sierpniowym upale. Zapas oleju odpowiedni, oświetlenie zewnętrzne działa. Zgłosiłem już lot, nie będę więc miał nieoczekiwanej eskorty sił powietrznych. SFRA, czyli Szczególne Zasady Lotów w Regionie, obowiązujące na terenie dystryktu stołecznego, to nic wielkiego, pod warunkiem że pilot kretyn nie zapomni kogoś powiadomić o zamiarze wzbicia się w przestworza. Bo to tak, jakby zapraszał najlepszych pilotów w kraju, żeby zrobili sobie z niego tarczę strzelniczą.

Kłapa bagażowa zabezpieczona. Przewody sterów poziomego i pionowego w porządku. Anteny VOR w dobrym stanie. Nadajniki radiowe, pozwalające wytyczać „autostrady” na niebie, są kluczowe dla nawigacji na przyrządach. Dzięki dwóm lub więcej sygnałom pozycyjnym wysłanym do lub odebranych od stacji mogą ustalić triangulacyjnie swoje położenie na mapie, ale tylko wtedy, gdy anteny działają jak należy.

Jeden z ulubionych wierszy Kennedy’ego nosi tytuł *I Have a Rendezvous with Death*. Prosił często żonę, aby mu go deklamowała.

Wdrapuję się do kabiny i odpajkuję kolejny punkt na liście kontrolnej. Pas bezpieczeństwa: zapięty. Bak: pełny. Temperatura gaźnika: niska. Włącz pompkę zastrzykową. Przepustnica o jedną ósmą cala do siebie. Radio główne i sygnałowe: włączone. Otworzyć owiewkę, ryknąć: „Gotów!”. Szarpnąć przepustnicę i stuknąć w starter. Awionetka zaczyna się toczyć.

*Mam randkę ze Śmiercią  
Gdzieś na spornej barykadzie,  
Kiedy wiosna powróci w rozszemraniu cienia  
I kwiecie jabłoni wypełni powietrze...*

Albo pelargonia runie sześć piętér w dół.

Kropla krwi spadająca swobodnie przybiera kształt sferyczny.

Stłumione trzaski, gorączkowy pisk z radia. Po mojej prawej stronie pilot, ten, który rzucił mi dziwne spojrzenie, wrzeszczy i wskazuje coś ręką. Słyszę dziwaczne głośnie buczenie, takie jak odgłos jadącego pociągu metra przy Eastern Market, kiedy szedłem z tobą, Diano, w blasku słońca, wśród wiosennego zapachu kwiatów wiśni...

Nie!

Z całej siły walę w hamulce. Śmigło mojego skyhawk'a omal nie posiekało koniuszka skrzydła awionetki Piper Mirage, która kołowała tuż obok. O Jezusie, Ben, obudź ty się!

Są trzy najważniejsze rzeczy do zapamiętania, kiedy siedzisz w kokpicie, Benjaminie. Pilotować samolot. Pilotować samolot. Pilotować samolot.

Oddychaj, Ben.

Serce spleza pomału z gardła do piersi, a ja drżącymi rękoma kieruję maszynę w stronę pasa startowego.

Mam randkę ze śmiercią.

## Rozdział 12

Biorę samochód z wypożyczalni na lokalnym lotnisku okręgu Dane i dojeżdżam tu, na miejsce, czyli do domu pogrzebowego Partridge; od północy przylega do niego cmentarz, od południa stoją domy mieszkalne, a po drugiej stronie ulicy jest jakiś rezerwat leśny lub park. Budynek przypomina szkołę podstawową, jest parterowy, zbudowany z wyblakłej brązowej cegły; obok rosną zwyczajne krzewy i mały trawnik, który usycha w pięknym letnim skwarze.

Zwalniam kroku, zbliżając się do drzwi. Przez szklaną taflę widzę powiększone zdjęcie ustawione na sztaludze, przedstawiające Dianę sprzed wielu lat: licealistka w fiołkowej szkolnej sukience z przypiętym do niej kiczowatym białym bukiecikiem, napuszonymi, mocno polakierowanymi włosami i nieodłącznym beztroskim, krzywym uśmiechem na ustach.

Moim ciałem wstrząsa dreszcz. Dławię w sobie odruch, który każe mi zrobić w tył zwrot i uciec, wrócić do stolicy. Ale mam tu sprawę do załatwienia.

Są w życiu pewne rzeczy, które po prostu trzeba zrobić. Te słowa padły z ust mojego drogiego ojca, kiedy wiązał mi krawat rano w dniu pogrzebu mamy. Zawsze mi się wydawało, że głupio powiedział, ale teraz chyba zaczynam rozumieć, co miał na myśli.

Wchodzę do budynekczku, zerkam ponownie na zdjęcie uśmiechniętej Diany i kieruję się zgodnie ze wskazówką na tabliczce. Na końcu korytarza duży salon rozbrzmiewa szumem cichych, pełnych powagi głosów tych, którzy przyszli złożyć jej ostatnie uszanowanie. Wszędzie kwiaty. I wyeksponowane zdjęcia: Diana po narodzinach, jako malutka dziewczuszka ubrana w kostium halloweenowej księżniczki, jako nastolatka siedząca na piłce do siatkówki, jako absolwentka pozująca do pamiątkowej fotografii, z oczyma pełnymi nadziei, skierowanymi gdzieś w dal. Pośrodku grono kobiet

wyglądających na rówieśnice Diany zebrało się wokół laptopa, na którym wyświetlają się slajdy z jej wizerunkami.

Gdzie jest trumna? To pytanie przynosi ulgę. Nie mam pewności, czy jestem gotów, by zobaczyć ją bez życia. Widzieć ją leżącą w ciemności twarzą do ziemi to jedno, ale ujrzeć ją upozowaną w okrutnym sztucznym oświetleniu, pogruchotaną i wystawioną na pokaz to zupełnie co innego.

Wtedy to do mnie dociera: ciała Diany nie ma w Madison. Wciąż jest w stolicy, w pieczy Metropolitalnej Komendy Policji. Jeszcze nie wydali zwłok. Na razie urządzono tylko konsolację, pogrzeb nastąpi później, po tym, jak ustalona zostanie przyczyna zgonu.

Tak samo było z moją matką.

W prawej części salonu dwoje starszych ludzi i facet po trzydziestce ściskają dłonie przybyłym. To rodzice i brat, ci, którzy przyjmują kondolencje.

Jeszcze raz lustruję wzrokiem pomieszczenie. Ze trzydzieści osób, a ja ani jednej nie rozpoznaję. Pewnie trudno jest wymagać od mieszkańców Waszyngtonu, żeby wyprawili się stamtąd w podróż do Wisconsin. Większość ludzi nie ma do dyspozycji funduszu powierniczego jak ja.

Pani w równo odprasowanym kostiumie, około czterdziestki, stoi w kącie i ogląda zdjęcia Diany ze studiów. Tyle że ona nie patrzy naprawdę. Jej spojrzenie mimochodem przesuwa się po salce, jedno oko filuje na wejście. Wybrała narożnik, z którego jest najlepszy widok na całość. Unika kontaktu wzrokowego ze mną, kiedy próbuję go nawiązać. Prezentuje się przyjemnie, co świadczy o jakimś sprycie – dobrze ją wyselekcjonowano, nie wyróżnia się z tłumu. Ten, kto ją przysłał, nie jest głupi.

Bo w *Firmie* jeden z cyngli, ten, który załatwił Gary'ego Buseya i prawników na Kajmanach i który usiłował zabić Toma Cruise'a, był albinosem. Gdybyś miał wybrać kogoś, kto w sposób anonimowy odwała za ciebie mokrą robotę, czy wzięłbyś albinosa? Każdy, dosłownie każdy, mógłby go zidentyfikować: Hm, zaraz... dużo nie pamiętam, ale... a, taak, facet miał białe włosy, czerwone oczy i całkiem blady był.

Ta pani, która tam stoi – włosy brudny blond, zwyczajna, średniego wzrostu, prosty czarny kostium. Mogłaby być każdą.

Biorę oddech. No dobra. Jakoś się z tym uporam.

Staję w krótkiej kolejce osób, które chcą zamienić parę słów z rodziną Diany, moje serce przyspiesza rytm. Po co w ogóle albinos bierze się za aktorstwo? Dużo jest ról dla ludzi niemających pigmentu w skórze? Możesz kombinować, że jest jakaś nisza, że będziesz zaliczał drobne rólki, z których gąże wystarczą na chleb, i czekał na tę jedną rolę, na film, który zdefiniuje twoją karierę, *Kolor niczego*, opowiadający historię młodego albinosa z Detroit; wszyscy mu mówili, że nic z niego nie będzie, a on wyciągnął się za uszy, chałturząc na karnawałach i w solariach, aż zdobył sławę jako kłown Alfie, gwiazdor Nickelodeonu...

– Hej.

Odwracam się i widzę kobietę, która stoi za mną, ubraną w luźną bluzkę i granatowe dżinsy, strój bardziej swobodny niż ten, jakiego oczekiwałbym na spotkaniu żalobnym. Wygląda na rówieśniczkę Diany, więc pewnie miejscowa, koleżanka z liceum albo sąsiadka.

– Hej – dukam. Słowo pada cicho, wydostaje się z pełnego gardła.

– Jestem Emma.

– Ben.

– Jesteś ze stolicy? – chce wiedzieć Emma. Ciut nadwagi, brzuch trochę zaokrąglony, możliwe, że w ciąży, ale nie śmiem zapytać. Aż tak durny nie jestem.

Kiwam głową.

– A ty?

– Liceum – odpowiada Emma. – Dalej tu mieszkam. Mąż wykłada matematykę na uniwersytecie. Pracujesz w tej samej agencji piarowskiej co Diana?

Agencja piarowska? Diana nie pracowała w takiej agencji.

– No tak – potwierdzam. – Pracuję.

Kręci głową z rozbawieniem, nie z podziwu.

– To musi być coś, mieszkać tam. Ta szarpanina, bajerowanie, gadające główki.

– Czy Diana... dużo o tym opowiadała?

– Nie wiem, czy dużo. Straciłyśmy kontakt. Widywałam ją, kiedy przyjeżdżała, może raz na rok w okolicy świąt, jakoś tak. – Kobieta uśmiecha się z roztargnieniem, coś jej się nasuwa. – Pamiętam, jak kończyła Uniwersytet Virginia...

Diana nie skończyła Uniwersytetu Virginia. Nawet na nim nie była.

– ...i dostała tę posadę na Kapitolu.

Po studiach nie przyjęła posady na Kapitolu.

Było tak: na drugim roku politologii w Wake Forest zaszła w ciążę. Wykładowca historii, który ją przeleciał, namawia ją na aborcję. Diana się zgadza, dręczy ją to, rzuca studia i wyjeżdża do stolicy. Zostaje gosposią w domu ówczesnego kongresmena Craiga Carneya. Później historia się powtarza i Diana zaczyna romansować z kongresmenem Carneyem. Ten dostrzega, że jest i piękna, i mądra, a objąwszy stanowisko zastępcy dyrektora CIA, powierza jej odpowiedzialność za kontakty Agencji z Białym Domem. Jednocześnie znajduje dla niej gustowne mieszkanie w Georgetown. Romans się kończy, Diana zaczyna sama płacić czynsz i zachowuje posadę w CIA.

– Tak właśnie mówiła, Kapitol. Jak ona się tym rajcowała. Mówiła, że może sama kiedyś wystartuje do Kongresu. – Emma kręci głową i w zdenerwowaniu unosi barki. – Co... Czy ktoś wie, dlaczego postanowiła odebrać sobie życie?

Spoglądam na sufit. Wydarzenia przybierają ciekawy obrót.

– Czasem – mówię – po prostu nie zna się osoby.

## Rozdział 13

George Hotchkiss, były menedżer średniego szczebla w Madison Gas and Electric, jest na emeryturze. Urodził się w Londynie przed drugą wojną światową i w latach pięćdziesiątych przyjechał do Ameryki, żeby studiować inżynierię na Uniwersytecie Purdue. Tam poznał Bonnie Sturgis i wziął z nią ślub 23 listopada 1963 roku, dzień po zamachu na JFK.

Zdaniem Diany to kutas ze skłonnością do przemocy i dominacji.

– George Hotchkiss – mówi do mnie z ponurą miną, wolno wyciągając dłoń. Wygląda jak ktoś, kto miał kiedyś sporo krzepy w barach, pewnie machał żelastwem, ale teraz zwiotczałe mięśnie pokryła masa około dziesięciu kilo tłuszczu.

– Ben Casper, panie Hotchkiss. Jest mi bardzo...

– Pan powtórzy nazwisko?

To mnie na chwilę stopuje.

– Benjamin... Casper.

Nazwisko nic mu nie mówi.

– Skąd pan znał Di?

Przed chwilą wspomniałem Emmie, że pracowałem z Dianą, więc odpowiadam niejasno:

– Przyjaźniliśmy się w stolicy. – Po czym dodaję, żeby zmienić temat: – Ona była cudowna, najlepsza.

Taksuje mnie i nie sądzę, bym wypadł dobrze. Wrażenie jest obopólne.

– Nigdy o panu nie wspominała – informuje mnie. Jak miło z jego strony.

– Bardzo pana kochała. – Bujda. Nie mogła się doczekać, kiedy się wyrwie z Madison. I nie miasto było przyczyną, lecz właśnie rodzice.

Przesuwam się dalej. Bonnie, matka Diany, też nie budzi radosnych uczuć. Wygląda, jakby była po paru martini z wódką,



jest w punkcie, w którym trzeźwość przecina się z poprawnością. Ma przekrwione oczy i mówi ciut mętnie. Czuję się dotknięty ze względu na Dianę. W takiej chwili matka powinna być silna przez wzgląd na pamięć o córce, no nie?

Musimy być dzisiaj silni, Ben. Matka by tego chciała.

No, może przesadzam w tych ocenach. Każdy inaczej przeżywa żałobę.

– Nie pamiętam, żebym słyszała kiedyś pana nazwisko – mówi Bonnie.

– Tak, pani mąż już o tym napomknął.

Następny jest brat, Randy. Diana czuła słabość do młodego. Po skończeniu dwudziestki miał trudne przejścia. Podobno jest na stażu w dziale sportowym lokalnej stacji telewizyjnej, choć kiedy na niego patrzę – niski, szorstka cera, małe wodniste oczka, włosy we wszystkie strony – urodę ma iście radiową.

– Cały czas o tobie opowiadała – mówię, naciągając prawdę. – Same dobre rzeczy.

– Wątpię.

Prawie się śmieję.

– Miła konsolacja.

– Stypa – mówi on.

– Słucham?

– To stypa. Jesteśmy katolikami. Nazywamy to stypą.

Ach, tak.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej straty.

Jego oczy się zwężają.

– Skąd ją znałeś?

– Przyjaźniliśmy się.

– Byliście dobrymi przyjaciółmi?

Przychodzi mi na myśl wiele odpowiedzi na to pytanie, ale mówię:

– Taak.

– Hm. – Powoli kiwa głową. – Jeżeli byłeś jej dobrym przyjacielem, Mike...

Ben. Mam na imię Ben.

– ...to może byś mi wytłumaczył, dlaczego postanowiła się zabić.

I na to pytanie mógłbym odpowiedzieć na wiele sposobów. Jakiej odpowiedzi on ode mnie oczekuje? Może takiej:

Zamordować kogoś można tak, żeby to wyglądało na samobójstwo, a samobójstwo można upozorować na morderstwo. Ale zamiast odpowiadać, wybieram pełne szacunku milczenie.

– Więc może jednak nie byłeś aż takim dobrym przyjacielem.  
– Odprawia mnie klepinięciem w ramię. – Dzięki, żeś przyjechał, Mike.

Nic na to nie odpowiadam, choć chciałbym. Facet dopiero co stracił siostrę, więc pozwalam mu na wiele.

Aha! Więc to była rodzina Diany. Wprost nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego nie lubiła przyjeżdżać do domu.

Czterdziestolatka w stylowym czarnym kostiumie wciąż kręci się po drugiej stronie sali. Unosi głowę, ilekroć ktoś wchodzi, i taksuje go przez chwilę. Wreszcie zauważa, że ją obserwuję, ale nadal unika mojego wzroku.

Detektyw LaTaglia tak samo się zachowywała w czasie konsolacji po śmierci mojej matki. Tyle że ona nie obserwowała osób wchodzących do i wychodzących z domu pogrzebowego w Rockville w stanie Maryland. Nie patrzyła nawet na mojego ojca.

Patrzyła tylko na mnie.

Jesteś silnym chłopcem, Benjaminie. Osiem lat i taki dorosły! Matka byłaby z ciebie dumna.

Bardzo cię kochała, prawda?

Ty też ją kochałeś, co?

– Oni są w żałobie.

Obracam się. To znowu Emma, koleżanka z liceum, niewykłuczone, że ciężarna. Lubi się do mnie podkradać.

– Rodzina – mówi. – Randy w szczególności. Potrafi być miły, możesz wierzyć lub nie. Ale w tej chwili musi mu być trudno.

To musi być trudne, Ben. Nie móc urządzić matce należytego chrześcijańskiego pogrzebu. Powiadają, że dusza nie może pójść do nieba, dopóki ciało nie jest pochowane.

– Taak – odpowiadam Emmie. – Musi mu być trudno.

Ale słuchaj, Ben. Nie możemy pozwolić pochować twojej matki, bo najpierw musimy się dowiedzieć, co jej się przydarzyło.

Ty wiesz, co ją spotkało, Ben? Bo coś mi się zdaje, że wiesz.

Emma uśmiecha się nieśmiało, ze względu na okoliczności.

– Parę osób chce się później spotkać – mówi. – Ktoś wynajął pokój u Jacka. Może masz ochotę wstąpić?

Zerkam za siebie na damę w czarnym kostiumie. Nie ma jej, przynajmniej chwilowo.

– Może i bym miał – odpowiadam.

## Rozdział 14

Pub Jacka to bar wypełniony przez dorosłych i studentów, którzy doszli do wniosku, że są zbyt dojrzały, by przesiadywać w kampusowej stołówce. To wyrzutki, buntownicy, ci, którzy nie dali ciała, nie uprawiali sportu, nie wstąpili do rady uczelnianej ani do klubu, którzy żyli poza kampusem i postanowili się zbuntować, zanim zrozumieli, przeciw czemu się buntują.

Tacy jak ja.

Ktoś wynajął pokój na tyłach, możemy więc uczcić życie Diany jak należy, to znaczy alkoholowo. Z mojego doświadczenia – w dorosłym wieku – wynika, że konsolacje i pogrzeby to okazje do spotkań z dawnymi znajomymi, i mimo że okazja jest dołująca, ludzie na ogół mają radochę, że mogą się zobaczyć ze starymi przyjaciółmi.

Pokój ma ceglane ściany, telewizory w rogach, jest dobrze oświetlony; wypełnia go pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób, z góry płynie muzyka z lat dziewięćdziesiątych: najpierw rap, później dance. Prawie wszyscy obecni są w tym samym wieku. Przypuszczalnie absolwenci rocznika '95 z Liceum Świętego Serca w Edgewood albo ważne dla nich osoby.

Uwielbiam komputerowe określenie „ważna osoba”. Oznacza, że jesteś kimś szczególnym – jesteś ważny – lecz albo nie możecie się pobrać, bo jesteś gejem, co obecnie dotyczy tylko niektórych stanów, albo nie jesteście małżeństwem i z jakiegoś powodu odrzucasz słowo „chłopak” lub „dziewczyna”. Następnym razem, kiedy ten, z kim jesteś, powie „kocham cię”, odpowiedz: „Jesteś dla mnie bardzo, bardzo ważną osobą”.

Przesuwam się między tymi ludźmi i kieruję do baru, gdy słyszę, jak ktoś mówi: „To jest ten koleś, co pracował z Dianą w firmie piarowskiej”. Odwracam się i widzę, że parę osób spogląda w moją stronę, są wśród nich Emma i Randy; siedzą na stołkach barowych w środku paczki.

– Serio? – mówi za głośno Randy. Wypił już dzisiaj za dużo. – Hej, Mike...

Ben. Na imię mi Ben.

– ...przypomnij, jak się ta firma nazywała?

W filmie *Zawód: Szpieg* Robert Redford wprowadza Brada Pitta w tajniki szpiegowskiego fachu, uczy go między innymi, jak werbuje się obcokrajowców, żeby szpiegowali na rzecz Stanów Zjednoczonych. Nie okłamuj ich, radzi Bradowi, bo od tej chwili to kłamstwo będzie musiało być prawdziwe.

Macham ręką.

– Nie chce mi się gadać o robocie.

– Mnie też się nie chce o robocie gadać, Mike. Chcę tylko poznać nazwę tej firmy piarowskiej, w której pracowałeś z moją siostrą.

Wolę wcześniejsze role Pitta, opryszka w *Thelmie i Louise* i ćpuna w *Prawdziwym romansie*. W *Siedem* też był rewelacyjny.

Podchodzę do baru. Randy woła za mną „Hej, Mike”, słyszę, że Emma wtrąca: „Zdawało mi się, że on ma na imię Ben”. Wtedy Randy krzyczy „Hej, Ben!”.

Zamawiam wódkę, mocno przepłacając. Ruszam z powrotem i zastanawiam się, czy powinienem rozmawiać z Randym, czy nie. Właściwie to jest to główny powód, dla którego zostałem dzisiaj w Madison. Jestem w końcu dziennikarzem i szukam jakichś tropów, a szansa pogadania z bratem Diany jest nie do pogardzenia.

– A oto i on we własnej osobie, Mike-Ben.

Randy pozdrawia mnie, unosząc rękę ze szklanką piwa. Drażni się ze mną. Ale nie jestem w nastroju.

– Wolę Ben-Mike – rzucam na odchodne. Paru paniom trafia to do gustu. Randy’emu nie, ale tym gorzej dla niego.

Widzę, że dama w czarnej kreacji siedzi przy stoliku w kącie z piwem w dłoni i opędza się przed paroma pijakami, którzy wzięli ją za kociaka.

Staję jak słup. Cynamonka. Kto opiekuje się kotką Diany?

Pani w czerni wyczuwa, że coś wytrąciło mnie z rytmu. Nie wie co, ale jest zaciekawiona. Dobra jest, ale nie tak dobra jak detektyw LaTaglia trzy dekady temu.

Powiedz mi, co się stało, Ben, i dusza twojej matki będzie mogła iść do nieba.

Hm, Robert Redford... Uwielbiam *Żądło*, *Butcha Cassidy* i *Urodzonego sportowca* – właściwie uważam, że *Urodzony sportowiec* to nudziarstwo, ale wszyscy piali nad tym filmem z zachwytem, więc się przyłączyłem – lecz moim zdaniem Redford wspiał się na wyżyny, stając po drugiej stronie kamery w *Quiz Show*, a zwłaszcza w *Zwyczajnych ludziach*.

Znajduję stolik niedaleko od damy w czarnym kostiumie i przez długą godzinę obserwuję ją i całą resztę. Na szczęście muzyka jest znośna, a co jeszcze ważniejsze, po pokoju krąży kelnerka (moja „ważna osoba”), więc zaliczam czwartego drinka, kiedy brat Diany odrywa się od towarzystwa i przysiadła się do mnie.

– Siadaj, proszę – mówię po fakcie.

Trzepie mnie w rękę wierzchem dłoni.

– Hej, chłopie, nie chciałem tak na ostro. Tylko że... Diana nie mówiła dużo o tym, co robiła, wiesz? No to pomyślałem, że skoro zasuwiała w firmie piarowskiej, to może przynajmniej poznam nazwę tej firmy.

Kończy się piosenka *Groove Is in the Heart*, a zaczyna *Smells Like Teen Spirit*. Ktoś przygasił światło, a ja nie zauważyłem.

Randy w lepszej formie zapewne nie byłby takim chojrakiem, ale wlał już w siebie tyle gorzały, że z ledwością panuje nad obliczem.

Nachylam się i mówię mu prosto do ucha:

– Nie mam ochoty na to, żebyś mnie przepytywał, Randy. Nie wiem, za kogo albo za co mnie uważasz, ale naprawdę, naprawdę jestem przyjacielem Diany. Obaj wiemy, że nie pracowała w firmie piarowskiej i na Uniwersytecie Virginia też nie studiowała. Ale tak tutaj wszystkim opowiadała, a ja nie będę zaprzeczał.

Randy gapi się na wprost i siedzi bez ruchu.

– Kochała cię jak cholera – mówię. – Pojęcia nie mam za co, ale jednak. I jakoś tak myślę, że nie ucieszyłaby się, widząc, jak się dzisiaj uwalasz, zwłaszcza że wydała całą kasę na to, żeby sprowadzić cię na nową drogę tego lata, kiedy rodzicom się zdawało, że mieszkasz z nią i robisz staż na Kapitolu.

Po tych słowach Randy się krzywi i wydaje cichy jęk. Zakrywa twarz dłonią i zaczyna szlochać na całego. Poklepuję go

parę razy po plecach, ale poza tym daję mu spokój. W końcu prawie faceta nie znam i słaby jestem w przytulaniu.

Mija mniej więcej dziesięć minut, Randy bierze parę głębokich oddechów i siada prościej na krzeselku.

– Nie mogłem być co do ciebie pewien – mówi.

Włoski na mojej szyi stają na baczność.

– Co jest grane? – pytam.

– Mnie nie pytaj. Upośledzonemu bratu nikt nic nie chce powiedzieć.

Wypluwa z siebie słowa, jakby pozbywał się z ust tabletki. Odpycha się od krzesła i chce odejść.

– No więc kogo mam zapytać?

Randy odwraca się i spogląda na mnie.

– Tego facia, który ją posuwał – mówi. – Zapytaj Jonathana Liu.

## Rozdział 15

Budzę się z parszywym kacem w marnym hotelowym pokoju. Więcej snu by się przydało, ale gong dudniący mi w głowie nie pozwala, a poza tym i tak muszę wracać do stolicy. Muszę dowiedzieć się więcej o Jonathanie Liu.

Dwaj pracownicy dyżurujący przy biurku w Urzędzie Lotnictwa stanu Wisconsin zerkają na mnie życzliwie i machnięciem ręki kierują na płytę lotniska. Nie pytają o dokumenty, mimo że nigdy stąd nie latałem. Ogólne przepisy lotnicze nie są takie same jak te, które dotyczą lotów komercyjnych. Nie ma wykrywaczy metalu. Jeśli tylko wyglądam na pilota, nikt o nic nie pyta. A ja nawet nie założyłem gogli.

Wiem, co wam chodzi po głowie: przed oczami widzicie sceny z Leo DiCaprio, tak? Dajcie spokój, zmęczony jestem.

Uwijam się z kontrolą przedstartową, chcę czym prędzej zniknąć z Madison; znaleźć się daleko od rodzinki Diany, damy w czerni, braciszka, tego zapitego chuderlaka, który półgębkiem wspomniał o najpotężniejszym chińskim lobbyście na Kapitolu.

Kliny wyjęte, lista kontrolna zaliczona, wieża zezwoliła na start. Nigdy nie latam na duże lotniska. Prawie wszystkie są publicznie dostępne i nie wolno im odmówić awionetce prawa do lądowania lub startu, ale mogą trzymać taki maciupki samolocik jak mój na płycie, aż pilot się usmaży albo maszynę zeżre rdza. Z regionalnego lotniska okręgu Dane znikam w godzinę.

Klapy w górę, ster ustawiony do startu; puszczam hamulce i otwieram przepustnicę na ful. Czteryście pięćdziesiąt metrów dalej na pasie osiągam prędkość stu pięciu kilometrów na godzinę, koła odbijają się od pasa i jestem w powietrzu, wznoszę się z pełną mocą.

Pode mną przesuwa się ziemia. Zabawne, że trzęsę się ze strachu na schodach pożarowych w apartamentowcu Diany,



a powietrzny pęd z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, możliwy dzięki wierze w niewidzialną moc aerodynamiki, nie stanowi problemu.

Osiągam pułap i zerkam na GPS, odbijam na wschód i biorę kurs zgodny z planem lotu, który zawiedzie mnie do Mansfield w Ohio; tam zrobię krótki postój na uzupełnienie paliwa przed ostatnim etapem podróży do domu.

Silnik zniecka ściąga mnie do chwili obecnej. Zachłystuje się. Krztusi. Koryguję skład mieszanki, dodaję więcej paliwa i włączam podgrzewanie gaźnika. Temperatura na lotnisku wynosiła trzydzieści dwa stopnie, kiedy odrywałem się od gruntu. W gaźniku nie może być lodu. Chyba.

Silnik ryczy przez chwilę. Rozlega się przeraźliwy zgrzyt, jak wtedy, gdy siedzieliśmy w kafejce przy G Street, Diano, a autobus skręcający w prawo oderwał lusterka boczne dwóch zaparkowanych samochodów, ty zaś chichrałaś się z gapiów, którzy się tam zeszli.

Później następuje cisza, straszniejsza niż jakikolwiek hałas. Słyszę wiatr świszczący na zewnątrz i nic poza tym.

*Brzmienie ciszy* to ładna piosenka, a i myśl przyjemna w chwilach zadumy bądź sielanki. Ale dźwięk nie jest przyjemny, kiedy jesteś prawie trzy tysiące metrów nad ziemią w jednosilnikowej cessnie.

Spokojnie, Ben. Wiesz, co robić.

Prędkość sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Zmienić baki. Pełna mieszanka. Ogrzewanie gaźnika: jest. Pompka zastrzykowa: włączona. Zapłon w lewo, w prawo i... start.

Start, mówię.

Nic. Ani stuknięcia.

Silnik nie chce zaskoczyć.

Próbuję raz jeszcze, tak dla pewności.

Bicie serca odzywa się aż w gardle. Nie uświadczysz ateisty w skyhawku, w którym wysiadł silnik. To twarda maszyna, ale nie szybowiec. Do Watertown za daleko. Za nic tam nie dociągnę.

Mój samolot spadnie.

## Rozdział 16

Oddychaj, Ben. Pilotuj maszynę.

Rozejrzyj się.

Wiatr północny. Muszę znaleźć pole. Ta awionetka nie potrzebuje pasa startowego, pamiętasz? Jeden szalony żółtodziób ze szkoły pilotażu posadził taką na polu golfowym. Och, z jaką chęcią pograłbym teraz w golfa.

*Mam randkę ze Śmiercią  
Na zharatany zboczu bitewnego wzgórza,  
Kiedy Wiosna powróci znowu tego roku  
I kiedy się ukążą pierwsze polne kwiaty.*

Znajdź kawałek płaskiego terenu, Ben.

Odbijam w lewo, na wiatr. Dobrze chociaż, że przyrządy wciąż działają. Na razie.

Pasy bezpieczeństwa ciasno. Dam radę. To jak lądowanie na szkoleniu ze zgaszonym silnikiem. Tylko, cholera, pasa brak.

Dostrzegam długi odcinek dwupasmówki i korci mnie aż do bólu. Nie, Ben. Linie wysokiego napięcia. Zapłaczesz się jak pająk w pajęczynę.

Przede mną ukazuje się najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek ujrzałem: płaskie pastwisko, dokładnie na wprost. Nigdy się tak nie ucieszyłem na widok paru krów.

Dam radę. Przygotowuję się do lądowania: prędkość do stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Zawór odcinający paliwo włączony. Jakby to miało jakieś znaczenie. Jednak pożar silnika podczas siadania na ziemi skomplikowałby sprawę.

Skup się, Ben. Wciąż jeszcze jest szansa na happy end.

Pilotuj maszynę. Klapy w dół. Prędkość do stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

Nastawiam radio na częstotliwość 121,5 megaherców. Nigdy nie myślałem, że zobaczę na wyświetlaczu międzynarodowe lotnicze pasmo awaryjne.

Włączam je i głosem tak spokojnym, że brzmi, jakby nie był mój, wypowiadam słowa nękające pilotów w snach:

– Mayday, mayday, mayday. Wieża Watertown, tu Skyhawk trzy-jeden-sześć-zero Foxtrot. Powtarzam: Skyhawk trzy-jeden-sześć-zero Foxtrot z całkowitą awarią silnika podchodzi do przymusowego lądowania na pastwisku. Ostatnia pozycja to czterdzieści trzy stopnie sześć minut czterdzieści sześć sekund szerokości północnej, osiemdziesiąt osiem stopni czterdzieści dwie minuty trzynaście sekund długości zachodniej, na pułapie czterystu pięćdziesięciu metrów, kierunek dwadzieścia stopni. Jedna osoba na pokładzie. Proszę o natychmiastową pomoc.

Cisza w radiu potęguje ciszę silnika, a sekundy lecą. Nie panikuj, Ben. Pilotuj maszynę.

Radio odzywa się wśród trzasków.

– Cessna trzy-jeden-sześć-zero Foxtrot, tu wieża Watertown. Zrozumiałem cię pięć na pięć. Pomoc jest w drodze.

No to fajnie. A teraz gdybyś zechciał się tu zjawić w pięć sekund i podrzucić mi spadochron.

Ziemia się do mnie zbliża, za szybko, za szybko. Klapy całkowicie otwarte. Dziób do góry, ogon w dół. Skrzydła jęczą w proteście. To dziwne, nie odnotowałem tego odgłosu, kiedy silnik pracował. Zwolnij. Płyn, Ben. Nie pędź. Zwolnij... ale nie przesadzaj, bo zlecisz na ziemię jak kamień i dojdzie do poważnych szkód.

Coraz bliżej, coraz bliżej, coraz bliżej...

Otwieram zamki drzwi i blokuje je, żebym mógł wysiąść, w razie gdyby kadłub wgniótł się przy zderzeniu. Drzwi dudnią ogłuszająco o poszycie, otwierają się i zamykają w porywach wiatru. Hałas niesie ulgę po ciszy. Milczący silnik, śmiertelna cisza, i poszum wiatru na zewnątrz.

Czy słyszałaś wiatr, Diano, kiedy spadałaś na chodnik?

Ben, do jasnej cholery. Pi-lo-tuj sa-mo-lot.

Odczekuję do ostatniej chwili i mocno ciągnę w górę, tuż przed tym, jak koła uderzają o miękki grunt. Tylne rąbią w ziemię, potem jedno przednie. Doskonale. Na pasie to by było

chwiejne przyziemienie, ale mnie i tak rozpiera przedwczesna duma.

Pryska momentalnie i zamienia się w panikę, bo odbijam się od ziemi, maszyna mknie za szybko, żeby się na niej utrzymać. Wyrównaj, Ben. Samolot opada z powrotem z głośnym łupnięciem, widzę czerń i biel krowich rezydentów, którzy umykają szaleńczo przed straszliwym odgłosem mojego skyhawk'a śmigającego po ich pastwisku. Depczę pedały hamulców, wkładam w to ostatnie siły, jakie jeszcze mam. Winda w górę.

O Boże, niech się zatrzyma, niech się zatrzyma. Hałas szarpie jak ból. Samolot trzęsie się i drży tak mocno, że dźwięk, obraz, zapach, smak i dotyk zlewają się w jedno. Staję całym ciężarem na hamulcach, naciągając wszystkie pasy.

Słyszę przyprowadzający o nudności wrzask skręcanego metalu i nagle rzuca mną w przód, moja głowa rąbie w panel. Samolot przechyla się raptownie w lewo i ziemia podjeżdża zatrważająco do okienka. Jak w zwolnionym tempie koniuszek skrzydła drapie ziemię i rozpruwa się, pęka od siły zderzenia. Musiałem zgubić koło. Ślizgam się w nieskończoność, oczy zalała mi krew, a potem wszystko robi się czarne.

*Być może ujmie moją dłoń  
I w mrok swojej krainy powiedzie,  
Zamknie oczy i zgasi oddech –  
Być może jeszcze go ominę.*

– Hej, lotniku, wszystko w porządku?

Otwieram oczy, mruganiem powiek usuwam krew. Kopnięciem otwieram drzwi i wyczołguję się. Głowa mi pęka przy każdym uderzeniu serca.

Marszczy mi się nos. Czuję woń... paliwa. Co u diabła?

Nafta?

Wyciągam rękę i łapię kilka kropel. Niczym kropelki krwi, podczas swobodnego spadania formują się w idealny kształt kuli.

Zabójstwo można upozorować na samobójstwo i odwrotnie: można się zabić tak, żeby wyglądało to jak morderstwo.

Benzyna lotnicza powinna wyparować niemal natychmiast. A paliwo 100LL, które stosuję do tej maszyny, barwione jest na niebiesko. Krople skapujące ze skrzydła nie są właściwego koloru. I zostawiają na mojej ręce oleisty osad.

To nie jest zwykła benzyna lotnicza. To paliwo do odrzutowców.

Jeden z tych, którzy pospieszyli mi z pomocą, mówi, jakby to mogło pomóc:

– Ktoś musiał wlać do twojego samolotu paliwo odrzutowe, synu. Kto zrobił coś tak głupiego?

Spoglądam na niego i wzruszam ramionami.

Trafne pytanie. Zamierzam je zadać Jonathanowi Liu.

## Rozdział 17

Później jest jak we śnie, jakbym pływał. Po kilku minutach nogi uginają się pode mną, przed moimi oczyma migają i znikają atramentowoczarne plamy, upadam na ziemię. Ratownicy pytają, czy dobrze się czuję, a ja myślę – nie wiem, czy mówię to na głos, ale tak mi się myśli – że skoro przeżyłem runięcie z blisko trzech tysięcy metrów, to pewnie przetrwam upadek z wysokości stu osiemdziesięciu dwóch centymetrów. Parę minut później nadjeżdża karetka i zabiera mnie, zanim pojawiają się reporterzy. Wiozą mnie do tutejszego centrum medycznego w Watertown, tak w każdym razie mi mówią. Tracę przytomność i odzyskuję, łapię jakieś słowa, poziom krwi, sól fizjologiczna, sinica. Ładna sanitariuszka przypominająca Demi Moore, tylko blondynka, oczy też ma w innym kolorze... no dobra, może nie jest podobna do Demi...

– Bóg musiał dzisiaj być przy tobie, Benjaminie – powiada.

– Czy to on... nalał paliwa odrzutowego... do mojej awionetki?

*Odlatuję odrzutowcem. Nie wiem, kiedy wrócę. Ale wciąż tu jestem. Trzymam się na nogach, jee, jee, jee. Nienawidzę tej piosenki. Ona cię kocha, jee, jee, jee. Trochę lepszy. Ale ona mnie nie kochała. Pokochałaby, kiedyś. Diana by...*

– Moja... matka mnie kochała – wystękuje.

– Matka pana kocha? – Sanitariuszka nakłania mnie do mówienia. Trochę jest podobna do Demi Moore.

– Ona... umarła.

– Och, przykro mi. Niedawno zmarła?

– Katastrofa lotnicza – odpowiadam. Jeżeli nie można się trochę zabawić, to jaki w tym sens? Na łożu śmierci Oscar Wilde rzekł ponoć: *Moja tapeta toczy ze mną pojedynek na śmierć i życie. Jedno z nas musi odejść.* Nie wiem, czy to prawda, ale podoba mi się.

– Och, żartowniś z niego – mówi pani, która nie jest bardzo podobna do Demi Moore, ale jakby trochę. – Nie podnoś się, Benjaminie. Leż płasko.

– Czuję się... dobrze.

– Ale nie jest dobrze. Masz wstrząśnienie mózgu i hyper-coś tam, coś tam bla, bla.

Później widzę światło skierowane na moją twarz, ktoś mnie dźga i poszturchuje na łóżku i...

– ...środek przeciwbólowy, panie Casper.

– ...chce pan, żebyśmy do kogoś zadzwonili, panie Casper?

– ...reporterzy chcą z panem porozmawiać, panie Casper.

– ...Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu, panie Casper.

– ...zadać panu kilka pytań, panie Casper?

– Casper przyjazny duszek, panie Casper.

– Najprzyjaźniejszy ze wszystkich duszków, panie Casper.

Demi Moore zagrała w filmie *Uwierz w ducha* i sprawiła, że każdy pełnokrwisty facet zapragnął uczyć się garncarstwa. Nie, panie śledczy z Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu, pojęcia nie mam, jak paliwo odrzutowe trafiło do baków; owszem, przechodzę ostatnio trudne chwile, ale skłonności samobójczych nie mam. Gdybym je miał, nie posadziłbym tego pierdolonego samolotu, niech sobie gadają, co chcą, ale biore Demi Moore w najgorszym wydaniu, nawet w *G.I. Jane*.

– Dzień dobry, Benjaminie. – Władczy kobiecy głos.

Otwieram oczy powoli, tak jak podnoszą się drzwi garażu.

– Która jest godzina?

– Piąta zero zero – mówi ona. Mocno zbudowana pielęgniarzka o ciepłym wyrazie twarzy.

Piąta rano? Przespałem prawie osiemnaście godzin. Dotykam twarzy. Na czole mam gruby bandaż.

– Co się stało? – pytam.

– Nie pamięta pan, co zaszło?

– Mam na myśli, czy jestem ranny?

– Doznał pan wstrząśnienia mózgu i szoku. Ale jakimś cudem nie ma złamań kości. Jak się pan czuje?

Otrząsam się ze snu do końca i witam się na powrót z rzeczywistością. Ale ona nie podaje mi ręki. Z miejsca dobiera się do moich jaj.

Ktoś zabił Dianę, a później usiłował zabić mnie.

– Muszę iść – oznajmiam.

– Hm, może i jest pan gotowy do wypisania. Ale wiem, że goście z Narodowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu chcą tu jeszcze raz przyjechać. Wczoraj wieczorem nie był pan w stanie odpowiadać na ich pytania.

Nie byłem w stanie? Zdawało mi się, że powiedziałem im wszystko, czego potrzebują wiedzieć o karierze filmowej Demi Moore. Chcą pogadać o jej roli w *Szpitalu miejskim*?

Kręcę głową. Nie mogę zostać. Jeśli ktoś mnie szuka, to jestem wystawiony na strzał. Przeżyłem swobodne spadanie z blisko trzech tysięcy metrów, więc żal byłby wielki, gdyby ktoś wszedł sobie tutaj jakby nigdy nic i mnie zastrzelił.

– Wychodzę – mówię do pielęgniarki.



## Rozdział 18

Jadę taksówką na lotnisko w Watertown i wynajmuję lot na lotnisko Potomac. Tak, wiem, ale kombinuję, że szanse na to, że rozwalę się samolotem drugi raz w ciągu dwóch dób, są dość nikłe, a ja jestem zbyt uparty, żebym pozwolił lękowi się uziemić. Pilotuje młody Azjata, który koniecznie chce wiedzieć, co się czuje podczas przymusowego lądowania; mówię, że mogę mu zademonstrować, i dopiero wtedy mu się odechciewa. Cały czas myślę, że jeśli się rozbijemy na górskim odludziu, tak jak w *Alive*, dramat w *Andach*, i dojdzie do tego, że zaczniemy umierać z głodu, mogę mieć tylko nadzieję, że facet mnie nie skonsumuje.

Łądujemy na Potomacu i znowu budzi się mój strach. Nie mogę jechać do domu. Naprędce podejmuję decyzję i jadę triumphem sto czterdzieści pięć kilometrów na południe, do mojej górskiej chaty w Wirginii. Ten, kto chce mnie zabić, nie będzie się spodziewał takiego posunięcia. Sęk w tym, że ja też się nie spodziewałem, więc nie mam kluczy. Muszę się włamywać do własnego domku.

Chata jest obłożona balami, stoi na dwóch hektarach nad jeziorem Anna i jest w niej kamienny kominek. Działka należy do rodziny mojego ojca od trzech pokoleń, ale jezioro w obecnej postaci powstało na początku lat siedemdziesiątych, żeby pełnić rolę układu chłodzącego dla reaktorów jądrowych Virginia Electric and Power. Pierwszą drewnianą chatę na działce zbudował dziadek, lecz niespełna miesiąc po jego śmierci, w 1983 roku, ojciec ją zburzył i postawił piętrowy dom z czterema sypialniami i dwiema łazienkami. Sentymentalny to mój ojciec nie był. Nie zachował ani jednego zdjęcia z dzieciństwa i nigdy nie opowiadał o rodzicach. Dziadek robił w biznesie imprezowym. To chyba znaczy, że organizował imprezy i pobierał prowizje od ośrodków, w których się odbywały, albo coś w tym rodzaju. Zarobił miliony i wyjątkowo

dobrze je zainwestował, stąd mój fundusz powierniczy. To wszystko, co o nim wiem. Nie poznałem go i nie usłyszałem o nim ani jednego intymnego szczegółu; tylko raz, na jego pogrzebie, ciocia Grace powiedziała, że ojciec nienawidził swojego taty. Czyli my Casperowie konsekwentnie podtrzymujemy pewien wątek, snując się z pokolenia na pokolenie.

Staję i przez chwilę gapię się na sielankowe jezioro, wciągam czyste powietrze do płuc. Nad samą wodą jest długa kładka w kształcie litery L i hangar. Jednak nie ma w nim łodzi. Jest trzymana w mieście, a tego lata byłem za bardzo zajęty, żeby ją sprowadzić. Nieważne. Sam pobyt tutaj syczy we mnie spokój. Miejsce dobre dla duszy.

Ojciec był pijakiem, co starał się ukryć, a jest to trudne, bo nikogo nie nabierzesz, kiedy płacze ci się język i zataczasz się niczym uczący się chodzić berbec. Ale ograniczał picie do wieczorów, więc tylko mama i ja mieliśmy zaszczyt oglądać z honorowych miejsc show Marty'ego Caspera. Przepracował na wydziale historii American University trzydzieści cztery lata i założę się, że nikt tam nie miał pojęcia, że profesor Casper obala co wieczór butelkę szkockiej.

Okrażam chatę, szukam najlepszego miejsca na włamanie. Wybieram taras od strony jeziora, otaczający ścianę, która jest prawie w całości oszklona. Widok na jezioro zapiera dech w piersi. Inni, którzy mieszkają nad jeziorem i podpływają motorówkami, żeby obejrzeć siedliska sąsiadów, nasze nazywają szklanym domem.

Mój wybór pada na okno kuchenne, bo jest to model standardowy i łatwo będzie je wymienić. Podnoszę kamień, lecz natychmiast wypada mi z dłoni. Unoszę rękę i widzę, że się trzęsie. Pierwszy raz zdaję sobie sprawę, że mam dreszcze. Nogi znów się pode mną uginają i uświadamiam sobie, że nie doceniłem skutków tego, co mnie spotkało. Aż się dziwię, że dojechałem tutaj motorem i nie zabiłem się. Matka powiedziałaby: „Zapomniałeś wlać sobie oleju do głowy”.

Matka także nie tchnęła ciepłkiem. Zażywała masę tabletek i myślała, że o tym nie wiem. W niektóre dni sadzała mnie przed telewizorem i na całe godziny zamykała się w łazience. Pewnego razu podszedłem do drzwi, żeby ją zapytać, co się dzieje,

i usłyszałem dochodzące ze środka szlochanie i pociąganie nosem. Nigdy więcej nie popełniłem tego błędu. Siedziałem przed telewizorem i w razie potrzeby pogłaśniałem dźwięk, żeby zagłuszyć jej krzyki lub śpiew. W końcu wychodziła, zebrawszy w sobie odwagę, by zmierzyć się ze światem; otaczała mnie wtedy ramionami i nuciła po cichu, a ja oglądałem to, co akurat szło w telewizji.

Nie każdy pewnie by powiedział, że jest ideałem matki, ale była moja. I nie zasługiwała na to, co ją spotkało.

Zamiast wybić szybę kamieniem, używam łokcia. Łatwo nie jest, ale jakoś udaje mi się precyzyjnie głową naprzód do kuchennego zlewu, staroświeckiego wiejskiego zlewozmywaka ze stali nierdzewnej.

Upadam na podłogę i cudem unikam poważnych obrażeń. Nie byłbym konkurencją dla gimnastyka olimpijczyka, ale przynajmniej nie łamię sobie kości. Może jestem jak Bruce Willis w *Niezniszczalnym*. Nic mnie nie powstrzyma – ani kraksa lotnicza, ani włam do swojej chaty, ani nawet sznaucer olbrzym.

Wypuszczam powietrze z płuc, jakbym oddychał pierwszy raz od dwóch dni. Po tym wszystkim, co się zdarzyło, jestem w domu, można powiedzieć, zdrow i bezpieczny. Ale na jak długo?

## Rozdział 19

Zapada wieczór i jak na dany znak, jakby pogodą sterował Edgar Allan Poe, włącza się wiatr i zaczyna zdrowo lać. Okna grzechoczą, drewniana chata stęka. Na zewnątrz nicość, czarna jak atrament, przerywana tylko dramatycznymi grzmotami.

Ciemne myśli wdzierają mi się do mózgu, kiedy sadowię się na łóżku na piętrze z laptopem i butelką absolutu, w smolistej ciemności zakłócanej jedynie światłem ekranu komputerowego. Ktoś usiłował mnie zabić, ale chciał, żeby wyglądało to na wypadek. Podążył za mną do Wisconsin, choć nie mógł mieć pewności, że tam pojedę – nie było przesądzone, że wybiorę się na stypę po śmierci Diany – musiał więc mnie śledzić i mieć zdolność szybkiego przemieszczania się. Co oznacza, że jest inteligentny, zasobny w środki i kadry.

To zaś oznacza pieniądze. A za Jonathanem Liu stoi ich mnóstwo. Jeden dziennikarz w stolicy wie, jak dostać się do bazy danych lobbystów i dzięki temu poznałem część obrazu: dowiedziałem się, ile forsy rozprawdza Jonathan Liu albo za pośrednictwem swojej firmy Liu Strategies Group, albo przez klientów. Jonathan Liu jest przedstawicielem BGP Inc., chińskiego państwowego koncernu naftowego, Tongxin Inc., międzynarodowego giganta telekomunikacyjnego, Huò wù Global, chińskiego armatora, oraz Jinshu Enterprises, jednego z największych na świecie producentów stali. Roczne dochody tych czterech firm są większe niż PKB większości cywilizowanych państw.

Kiedy mówisz o chińskich wpływach w Waszyngtonie, mówisz o Jonathanie Liu. Firmy reprezentowane przez Jonathaną Liu, jego firma lobbystyczna i on sam powiększyli wpłaty na rzecz komitetów politycznych wszystkich głównych graczy w Kongresie, a następnie potroili sumy w cichej gotówce przekazywanej politykom niekandydującym do Kongresu. No i są jeszcze prezenty...

Co to było?

Rzucam się przed siebie na łóżku i wstrzymuję oddech. O tej porze w nocy ruch nad jeziorem Anna jest niewielki, w każdym razie tu, w tej zapadłej części, w której się znajduję. W zwyczajny wieczór można usłyszeć zbliżający się samochód z odległości stu metrów. Jednak tej nocy wirujące porywy wiatru i smagający deszcz by go zagłuszyły.

Brzmiało to jak... drapanie. Metalu o drewno. Odgłos jakiegoś mebla na patio, który przesunął się na drewnianej podłodze o kilkadziesiąt centymetrów.

Deszcz i wiatr mogły przesunąć nieco fotel.

Mogła to także zrobić osoba, która przypadkiem na niego wpadła.

Delikatnie stawiam gołe stopy na dywanie. Na palcach sunę przez pokój i wyglądam do holu. Jestem na samym końcu. Między mną a schodami jest troje drzwi po lewej stronie, do dwóch sypialni i łazienki. Po prawej stronie mam ściankę kończącą się jakieś trzy metry przed schodami, dalej jest tylko poręcz i widok na parter. Częściowy loft, tak to nazywał ojciec.

Poruszam się ostrożnie, zatrzymując się i nasłuchując. Deszcz siecze o chatę z taką zaciekłością, wiatr smaga ją tak uporczywie, że trudno usłyszeć coś poza tym. Ale zazwyczaj odgłosy są przytłumione, bo otaczają mnie ściany, a teraz jest inaczej. Dźwięki wydają się bliższe... Nie są wyciszone.

Nagle przypominam sobie o oknie kuchennym i spada na mnie poczucie ulgi. Po włamaniu się do domku prowizorycznie zatkałem je dyktą, więc pewnie to jest powód: wiatr wyrwał ją i odgłosy z zewnątrz wpadają do środka. No jasne. To musi być to.

Mimo wszystko sunę dalej aż do końca ściany. Teraz jest tylko poręcz, która świetnie uchroni cię przed runięciem na parter, ale cię nie ukryje.

Nadstawiam uszu. Nic, tylko nawałnica, głośny trzask pioruna, wicher zawodzący płaczliwie i natarczywe dudnienie kropel deszczu o dach.

Z sercem w gardle zerkam ukradkiem w dół, po czym cofam się do bezpiecznej ściany. Trwało to tak krótko, że nikt by mnie nie zauważył.

Ale wystarczająco długo, żebym ja mógł zobaczyć, bardzo wyraźnie, że szklane drzwi na taras są szeroko otwarte.

## Rozdział 20

Serce tak mi łomocze, że kradnie mi oddech. Ktoś tu jest.

Jest na parterze, pewnie zagląda do sypialni i łazienki. Ale wystarczy minuta i zorientuje się, że są puste, i że poza pokojem dziennym i kuchnią wszystko jest na górze.

Myśl. Myśl, myśl, myśl. Co on wie? Wie, że tu jestem. Ale nie wie gdzie. Wszystkie światła w domu są pogaszone. Mogę być wszędzie.

Przechodzę na palcach do łazienki sąsiadującej z sypialnią. Sunę cichutko, pstrykam światło i włączam prysznic. Wychodzę pewny, że tamten mnie usłyszał, absolutnie pewny, że już czeka na mnie w holu, aż wyleżę mu prosto na strzał, ale nie mam wyboru; idę znów do holu, uskakuję do sypialni z nadzieją, że mnie nie zobaczył. Przywieram do najbliższej ściany i po cichu wyliczam prezydentów w kolejności, starając się zapanować nad oddechem. Muszę pozostać blisko ściany.

Kiedy dochodzę do Van Burena, słyszę jęknięcie schodów, tego trzeciego stopnia, który zawsze chciałem zreperować.

Potem słyszę, że stopień jęczy ponownie.

Dwie osoby.

Są już na górze, w holu. Zauważyli światło w łazience i zapewne usłyszeli cichy, równomierny szum wody z prysznicą. Odgłos ich kroków świadczy o tym, że nie zachowują już ostrożności i poruszają się bardziej zdecydowanie. Kierują się w moją stronę, co oznacza, że nie zatrzymali się przy pierwszej sypialni na piętrze.

Jestem w drugiej.

Wyczuwam ciepło ich ciał i modlę się, żeby oni nie czuli mojego. Gdybym odwinął się w prawo, mógłbym wyciągnąć rękę i ich dotknąć. Pot spływa mi do oczu, zaciskam powieki i wstrzymuję oddech.

Mijają mnie.

Przechodzą do następnych drzwi, do łazienki, są pewni, że biorę prysznic.

Nagle rozlegają się szybkie wystrzały z broni automatycznej.

Wybiegam pędem z sypialni i do schodów.

Tra-ta-ta daje mi osłonę dźwiękową. Zbiegam susami po schodach i wtedy słyszę ich pierwszy raz.

– Szlag!

– Schody!

Zbiegam po dwa stopnie naraz, schylony całym ciałem ledwie utrzymuję równowagę. Słyszę pociski świszczące w ciemności obok mnie, słyszę staccato ich tępych łupnięć, gdy penetrują drewno i tkaninę. Ściana okien trzaska wśród gwałtownego crescendo, szkło sypie się deszczem na moją głowę, a ja schylam ją i wypadam przez otwarte drzwi na taras. Czas nie jest po mojej stronie, więc nie skręcam ku jednym lub drugim schodom po bokach. Nie zwalniając kroku napotykam zewnętrzną barierkę, wskakuję na górną deskę, przesadam ją i lecę na trawę cztery i pół metra w dół.



## Rozdział 21

Łąduję twardo na ziemi i jestem pewien, że uszkodziłem się na różne sposoby, ale to nie jest czas na analizę obrażeń. Zrywam się i rzucam sprintem do hangaru i kładki. Tamci krzyczą za mną, ale odbieram to jako szum tła zagłuszany wściekłym pulsowaniem adrenaliny.

Nie mogą cię zobaczyć.

Ale na pewno wiedzą, w jakim kierunku zmierzam. Potwierdzają to pociski wbijające się w buki i sosny dokoła. Nie mam wyboru. Nie wiem, z czym się mierzę na łądzie. Jezioro przynajmniej wyrównuje szanse w grze. Jednak od wody oddziela mnie jeszcze połowa boiska piłkarskiego.

Czuję piekący ból w nogach. Podszyt lasu rozdziera mi kostki i łydki. Moje bose stopy dudnią o ziemię. Robię za dużo hałasu. Zawsze głośno biegałem. W czasach liceum, kiedy wracałem po dwudziestokilometrowej przebieżce i wchodziłem do domu, nasza gosposia Dominga mówiła: „Boże w niebiesiech, paniczu Ben, ty dyszysz jak krowa”.

Przede mną, w pobliżu wody, trzaska szkło. To okna hangaru. Tamci muszą biec i jednocześnie strzelać.

Och, Domingo, powinnaś mnie teraz usłyszeć. Dyszę, wciągam powietrze do samego dna płuc i wypuszczam je z rozgłośnym świstem, a następnie znów je wdycham, rozmyślnie się hiperwentyluję, żeby do maksimum zwiększyć ilość powietrza w krwiobiegu. Nigdy nie próbowałem tego robić, pędząc, ale będę go potrzebował jak najwięcej do tego, co zamierzam.

Zdzieram koszulkę tuż przed wbiegnięciem na kładkę i robię ostatnie kroki: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, tak jak wtedy, gdy byłem dzieckiem. Odliczam do pięciu i skaczę; najpierw skręcam głowę w bok, żeby zerknąć na światła Anna Cabana, a potem ustawiam ją między ramionami, tworząc zwarty

opływowy kształt. Chcę oddalić się od kładki najbardziej, jak to możliwe.

Przecinam wodę i wchodzę głęboko, kopiąc nogami jak szalony. Muszę dopłynąć do kładki sąsiada, nie wynurzając się dla zaczerpnięcia tchu.

Czekam, aż wytracę prędkość, i zaczynam sekwencję pociągnięć, kopnięć i ślizgów podwodnego stylu klasycznego, tak jak Matt Damon w końcówce *Ultimatum Bourne'a*. Wydawało się, że zanim skoczył z budynku, pocisk trafił go i zabił, ale gdy zaczyna płynąć i odzywa się muzyka, wszyscy z ulgą uświadamiają sobie, że bohater przeżył.

Kiedy Nicolas Cage zeskoczył z budynku do oceanu, uciekając z więzienia w filmie *Bez twarzy*, tamci stwierdzają, że zginął, i nie podejmują poszukiwań. Wydało mi się to naciągane, lecz jeżeli oglądasz film oparty na pomysle, że komuś z dnia na dzień zrobiono transplantację twarzy kogoś innego, że nie przeszedł rekonwalescencji i nie została mu ani jedna blizna, to znaczy, że już wszedłeś w stan zawieszenia niewiary.

Pociągnięcie. Kopnięcie. Ślizg. Johnnie Shaw z klubu triathlonowego umiał przepłynąć pięćdziesiąt metrów na jednym oddechu. Ale to jest obłąd. Bogu dzięki, że do kładki nie jest aż tak daleko. Mam nadzieję.

Moje płuca już błagają o powietrze. Przy każdym odepchnięciu wypuszczam nosem małe bąbelki powietrza, żeby nie wpuścić do płuc spazmów panicznego strachu.

Czy matka oddychała, kiedy ją znalazłeś, Ben?

Mój syn nie będzie odpowiadał na żadne pytania, pani detektyw.

Mój syn nie odpowie na żadne pytania.

Otwieram oczy pod wodą, ale to nie robi różnicy. Kompletnie nic nie widzę. Całkowita ciemność. Nie ma horyzontu jako punktu odniesienia, nie wiem, czy płynę w linii prostej. Wiem tylko tyle, że skacząc, kierowałem się ku kładce. Każda część ciała piecze mnie jak ogień. Nogi, ręce, plecy, wszystko krzyczy o powietrze. Tyle czasu trenowałem triathlon, trenowałem, żeby uciekać przed ojcem, ale nigdy nie ćwiczyłem sprintów przed pływaniem. Przez te lata zrobiłem setki serii zeskoków z roweru po szybkiej jeździe, a potem biegłem, żeby przyzwyczajać się do

zmiany środowiska. Czemu miałbym przechodzić od sprintu do pływania? Więc nigdy tego nie trenowałem. Aż do teraz.

Pociągnięcie. Kopnięcie. Ślizg.

Pociągnięcie. Kopnięcie. Ślizg. Chyba nie przepłynę już dużo dalej. Pulsują mi palce u rąk i nóg, dudni mi w piersi, łaknę wielkiego, rozrywającego płuca oddechu. Muszę już być blisko. Mam nadzieję, że jestem blisko.

Policja będzie chciała cię obwinić, Ben.

W ogóle z nimi nie rozmawiaj, synu. Nie mogą cię zmusić.

Pociągnięcie. Kopnięcie. Ślizg. Czuję, że stopami muskam powierzchnię wody. Och, nigdy nie pragnąłem niczego tak bardzo jak słodkiego nocnego powietrza, które jest zaledwie centymetry nad moją głową. Jednak pociski przeszywają wodę nadzwyczaj dobrze, wbrew temu, co pokazują filmy.

Walczę z impulsami, które każą mi wynurzyć się na powierzchnię. Schodzę niżej, oddalam się od drogocennego tlenu, i chcę umrzeć.

Czy matka rozmawiała z tobą o tym, że chce umrzeć, Ben?

Mój syn nie będzie odpowiadał na żadne pytania.

Pociągnięcie. Kopnięcie. Ślizg.

Ręka ociera się o coś twardego. Wyciągam ją i macam. Żadna syrena w morzu nie zaśpiewała pieśni tak pięknej jak ta, którą moje serce śpiewa do solidnego drewnianego pala kładki. Gramolę się po słupie i moja głowa przebija się przez powierzchnię wody. Powietrze, drapiąc, wdziera się do moich płuc, a ja krztuszę się jego smakowitymi haustami; jednocześnie staram się, żeby do ust nie naleciało mi zbyt dużo deszczu. Żyję. Wciąż jeszcze żyję.

Ale ci, którzy mnie ścigali, nie mogą być daleko w tyle.

## Rozdział 22

Z minutę lub dwie dyszę niczym zdesperowany zwierz i usiłuję odzyskać pełną świadomość, po czym wciągam się na kładkę i zlegam płasko. Deszcz zelżał trochę, ale nadal mocno kropi. Nasłuchuję i nie słyszę niczego podejrzanego, ale deszcz może zagłuszać odgłosy.

Czołgam się kładką w stronę hangaru i po cichu dziękuję Steve'owi, że nie zapalił światła. Może w ogóle nie ma go teraz nad jeziorem.

Steve Sykes pozwalał mi korzystać ze swojego domu jak z kryjówki, ilekroć tego potrzebowałem. Zapewniałem ojca, że znowu trenuję, że robię setkę rowerem w jakiejś ładnej okolicy – pokonanie stu pięćdziesięciu kilometrów może trwać kilka godzin – a tymczasem przekradałem się do sąsiada i przez całe popołudnie oglądałem stare filmy. Steve zawsze zostawiał boczne drzwi niezamknięte na klucz. Ale to było lata temu. Może dopisze mi szczęście i okaże się, że stare nawyki nie giną łatwo.

Naciskam klamkę. Zamknięte. Drzwi mają szklaną szybę, ściągam więc znad drzwi wiosło z wyrytym nazwiskiem Sykes i wybijam szybę obok klamki.

Wybacz, Steve. Wyrównam ci to.

Ostrożnie wsuwam rękę do środka, otwieram drzwi i wślizguję się do cichego domostwa. Boczne drzwi otwierają się na pralnię. Grzebię pospiesznie w koszu obok suszarki, znajduję suche rzeczy i zakładam klapki. Zerkam do kuchni. Lodówka nadal stoi tuż przy drzwiach i zdaje się, że kluczyki od starego terenowego jeepa dalej tam wiszą. Przynajmniej ten nawyk się utrzymał. Biorę kluczyki i ukradkiem wychodzę bocznymi drzwiami.

Nie słyszę żadnych odgłosów na zewnątrz poza szumem wiatru i stukotem deszczu, rzucam się więc do starego jeepa CJ-7 rocznik 1986, z dużym żółtym napisem TU JEST GÓRA na górnej

krawędzi przedniej szyby. Steve był miłośnikiem sportów ekstremalnych, zanim nazwano je ekstremalnymi.

Dawno nie jeździłem samochodem z manualną skrzynią biegów, lecz auto budzi się z rykiem, a wraz z nim odzywa się Brian Johnson z grupy AC/DC i śpiewa *Back in Black*. Bez trudu przypominam sobie, jak się zmienia biegi, i ostro wyrywam do przodu. Wciskam pedał do końca i śmigam podjazdem domu, wzbijając za sobą strumienie żwiru. Leje deszcz i dziękuję Bogu za to, że samochód ma twardy dach.

Co teraz myślą te typy z pistoletami automatycznymi? Nic nie wiemy, tyle sobie myślą. Może mnie trafili i wykitowałem w wodzie. Może nadal w niej jestem, gdzieś pływam, mogę być wszędzie, nie mają pojęcia. Jezioro Anna to ogromny akwen. Prawdopodobnie dali sobie ze mną spokój.

Jadę Halls Drive do krzyżówki. Łagodny łuk w lewo poprowadzi mnie na zachód. Zwalniam nieznacznie i jadę ku zachodowi, i w tej samej chwili dostrzegam reflektory po prawej, od wschodu. Tam stoi mój dom.

To oni.

(W takiej chwili, podczas nagłego zwrotu akcji, Mel Gibson powiedziałby: „Mamy towarzystwo”. Zawsze chciałem wypowiedzieć taką fajną kwestię).

Dodaję gazu i wyciskam całą moc ze starego jeepa, lecz reflektory uporały się z krzyżówką i zbliżają się do mnie. Snopy światła biją wysoko. To prawdopodobnie terenówka. Nie prześcignę jej. Słyszę strzały i widzę błysk z lufy automatu, ale pierwsza seria chybiła całkowicie. Jadę zakosami, staram się być możliwie niestabilnym celem, a jednocześnie wciskam gaz do dechy.

Terenówka dogania mnie, szyba tylnego okna pęka i pociski rozrywają fotel pasażera z odgłosem du-du-du. Radio wybucha w chwili, gdy Angus Young zaczynał solówkę na gitarze, przednia szyba też dostaje dwa albo trzy razy. Siedzę maksymalnie schylony, wiatr gwizdże w dziurze po szybie; następna seria z głośnym ta-ta-ta-ta bębni w maskę samochodu. Terenówka jest już bardzo blisko i tamci myślą pewnie, że mnie staranują i zepchną z szosy. Zjeżdżam ostro w lewo, oni zaś trzymają się prawej strony zapewne dlatego, że ten, który strzela, potrzebuje stabilnej pozycji, żeby mógł wymierzyć.

Pewnie woli strzelać pod kątem, bo jadą prawym skrajem szosy, a ja lewym i dlatego jest mu łatwiej, ale wiecie co? Będą mieli z tym duży kłopot, ponieważ...

Szosa za chwilę skręci ostro w prawo.

Pociski roztrzaskują przednią szybę i wbijają się w deskę rozdzielczą, a ja szarpnię mocno kierownicą w prawo i wchodzę w zakręt; modlę się, żeby jeep nie zaczął koziołkować, zwłaszcza że droga jest śliska, modlę się, żeby kąt, który sobie dałem, skompensował działanie siły odśrodkowej; terenówka jest w niemożliwej do utrzymania pozycji, ja wyrabiam się na zakręcie, tamci wciskają hamulce, ale trochę za późno, i spoglądam w lusterko, ale nie mam już lusterka, więc przekrzywiam szyję, jadąc dalej, a tymczasem terenówka...

Tak, zniknęła z szosy, nie wzięła wirażu i rzuciło ją w krzaki, a jeśli istnieje jakaś sprawiedliwość, to także na nieznaną przebaczenia drzewo.

Wypuszczam powietrze z płuc. Znów ledwo, ledwo się wymknąłeś, Benjaminie.

Lecz dzwon bije, bije dla ciebie.

## Rozdział 23

Zawracam do mojej chaty, wybieram inną trasę, żeby uniknąć czarnych charakterów. Nie chcę powiedzieć, że mam nadzieję, iż zginęli w zderzeniu z drzewem, bo wcale nie chcę życzyć komukolwiek śmierci, ale poprzestańmy na tym, że dnia by mi to nie zepsuło.

Spędzam w domku pełne dwie minuty, akurat tyle, ile potrzeba na zapełnienie torby rzeczami. Staram się nie zaprzętać sobie myśli tym, że w ścianach, meblach i podłodze tkwią setki pocisków, ani faktem, że większość szyb w oknach od strony jeziora zamieniło się w malutkie odłamki. Już nigdy nie poczuję się w tym miejscu bezpieczny. I jestem winien Steve'owi Sykesowi nowego jeepa (albo przynajmniej starego).

Postanawiam zostać w okolicy i znaleźć hotel na noc, na to, co z niej zostało. Nie ma powodu, by ci, którzy do mnie strzelali, nawet jeśli są cali, kręcili się dalej w pobliżu jeziora Anna, a jeżeli wciąż na mnie polują, będą raczej obserwowali drogi wyjazdowe. Poza tym nie mam do siebie zaufania, kiedy przemierzam triumphem długie odległości w deszczu i ciemnościach.

W hotelu należącym do jakiejś sieci biorę pojedynczy pokój z łóżem jak dla królowej i maciupką łazienką. Kanapy nie ma, ale jest tania wyściełana sofa dla dwojga. Dopycham ją do drzwi. Następnie układam równo kluczyki na kłamce tak, że jeśli ktoś naciśnie ją z zewnątrz, kluczyki spadną na podłogę prosto na umieszczone w strategicznym miejscu malutkie ręczne lustro, które znalazłem w jeepie Steve'a. Dźwięk kluczyków spadających na szkło zaalarmuje mnie, mam nadzieję, jeśli ktoś spróbuje nocnych odwiedzin. Sprytne, no nie? Widziałem to w *Teorii spisku*. Mel Gibson i Julia Roberts. Możliwe, że jestem jedynym, który obejrzał ten film.

To ostrzeżenie zapewne nie będzie mi potrzebne, bo wątpię, czy zdołam zasnąć. Potrzebuję snu, tyle wiem. Nadal mam kaca

po drobnym incydencie, jakim było rozbicie się mojej awionetki, a dzisiejszy dzień także trudno uznać za sielankę. Serce bije mi w tempie wyścigowym, a głowę, podobnie jak kończyny, rozrywa tętniący ból, ale wiem, że pod rozedrganymi nerwami kryje się rozpaczliwa potrzeba odpoczynku.

Chodzę po taniej wykładzinie, a moje myśli pierzchają w dwudziestu kierunkach niczym karaluchy uciekające przed światłem. Czy prezydent James Buchanan był gejem? Czy narzeczona Johna Wilkesa Bootha miała romans z synem prezydenta Lincolna, Robertem? Czyż to nie osobliwe, że Robert Todd Lincoln był obecny przy dwóch zabójstwach prezydentów, ale nie przy zamachu na swojego ojca? No, bo jakie jest prawdopodobieństwo...

Dość. Skup się, Ben. Skup się na innym rachunku prawdopodobieństwa: szansach twojego przetrwania. Ten, kto usiłuje mnie zgładzić, musi wszak zrobić to z powodzeniem tylko raz. Mnie musi się udawać tego unikać za każdym razem.

Odkręcam do końca gorącą wodę w prysznicu i zadaję sobie torturę. Opieram czoło o ścianę i usiłuję odgadnąć, co takiego mogła wiedzieć Diana, że ściągnęło to na nią śmierć i mogło zabić mnie, a potem myślę o Janet Leigh pod prysznicem w *Psychozie*, później zaś o remake'u z Vince'em Vaughnem, że prawdopodobnie nie był to jego najlepszy ruch w karierze, ale przy okazji uprawiał seks z Anne Heche – ale zaraz, to nie było w *Psychozie*, tylko w *Powrocie do raj* – tak czy siak, jestem bezbronny, bo czy można się dobrze bronić, kiedy jesteś mokry i goły?

Nie bardzo. Ja nie stanowią dla nikogo szczególnego zagrożenia, nawet kiedy jestem w ubraniu. Ale nago mógłbym co najwyżej przez kilka sekund kogoś straszyć.

Wycieram się i wkładam parę rzeczy przywiezionych z chaty, a nienoszonych od lat, i próbuję się odprężyć, pomyśleć o czymś, co nie wpędzi mnie w panikę, oderwać się na chwilę od wszystkiego, żeby odpocząć.

O drugiej w nocy jestem przekonany, że Buchanan był gejem.

O trzeciej jest jasne, że choć Julia Roberts oczywiście daje radę w głównych rolach, to wolę ją w obsadach zespołowych, na przykład w *Uśmiechu Mony Lisy*, *Mystic Pizza* i *Stalowych magnoliach*; przez chwilę rozważam, czy ja także jestem gejem.



O czwartej układam prezydentów w porządku alfabetycznym.

Później znowu się zastanawiam, jakie są szanse, że przeżyję to, co się teraz dzieje, i pojawia się równanie na tablicy; Matt Damon odkłada mopa, atrybut stróża, bierze do ręki kawałek kredy i pewnymi ruchami wędruje poprzez skomplikowane algorytmy; wtedy ukazuje się Ben Affleck, najpierw przeprosza za *Gigli*, a następnie oznajmia Damonowi, że stać go w życiu na więcej niż szorowanie posadzek; wchodzi Robin Williams i każe mi chwycić dzień, a ja próbuję mu wytłumaczyć, że to nie ten film, ale wtedy Damon kończy długie na pół tablicy równanie, i w chwili, gdy się do mnie odwraca, rozlega się głośny metaliczny dźwięk, który nas wszystkich przestrasza, i Damon mówi: „Przykro mi to powiedzieć, Ben, ale już po tobie...”.

Nagle otwieram oczy i rzucam się w przód, żeby spojrzeć na drzwi.

Kluczyki już nie zwisają z klamki.

Spadły na lusterko na podłodze.

Ktoś właśnie próbował otworzyć drzwi pokoju.

## Rozdział 24

Po cichu zsuwam się z łóżka i czolgam się po wykładzinie. Nie mogę zajrzeć pod krawędź drzwi. Nijak się nie dowiem, czy ktoś stoi po drugiej stronie.

Ale kluczyki nie spadły ot tak. Ktoś musiał naprzeć na drzwi.

Wstrzymuję oddech, wyliczam pierwszych dwudziestu prezydentów i czekam, czy nastąpi kolejny ruch. Wlepiam wzrok w drzwi, aż oczy zaczynają mi płać figle, drzwi oddychają, rozszerzają się i kurczą.

Leżę w kompletnym bezruchu co najmniej dziesięć minut z twarzą przyciśniętą do włókien niskiej jakości i wątpliwej higieny. Może odgłos kluczyków upadających na szklane lustro, który miał mnie zaalarmować, wywarł dodatkowy skutek – spłoszył tamtych. Trochę mi trudno jednak uwierzyć, by faceci uzbrojeni w broń automatyczną zlekli się kluczyków samochodowych i ręcznego lusterka.

Dźwigam się na rękach i kucam, po czym na palcach zbliżam się do drzwi, uważając, by nie znaleźć się w ich świetle. Jeśli ci goście zechcieliby opróżnić magazynki pistoletów przez drzwi, wolałbym nie być na linii ognia.

Podchodzę, wstrzymuję oddech i nasłuchuję. Nie słyszę nic prócz cichego szumu taniego klimatyzatora w pokoju.

No dobra, kluczyki mogły spaść za sprawą siły ciężenia, a nie intruza. Lecz ja muszę mieć pewność.

Z miejsca za framugą skaczę, by tak rzec, na linię ognia, i filuję przez dziurkę. Nic. Nikogo tam nie ma.

No dobra. Może to faktycznie była grawitacja. Może powinienem wziąć się w garść.

Czas to skończyć, oznajmiam samemu sobie. Nawet nie jestem pewny, co to znaczy, bo nie panuję nad biegiem wydarzeń, ale te słowa fajnie zabrzmiały, a mnie przyda się wszystko, co niesie ulgę. Coś takiego powiedziałyby Eastwood albo Stallone przed konfrontacją z łotrem w kulminacyjnej

scenie. Załaduj magazynek, odbezpiecz i powiedz: To koniec. Albo nie: To już koniec.

– To już koniec – mówię do lusterka.

Została mi do rozegrania jedna karta. Wrócić do mieszkania Diany i zgarnąć taśmy z podglądu, które się nagrały. Dowiem się z nich, kto zepchnął ją z balkonu.

Nagle podskakuję, słysząc krótki, głośny dźwięk dzwonka, który po chwili rozlega się jeszcze raz. Przepętnia mnie trwoga i znika momentalnie, gdy do mojego mózgu dociera, że to mój smartfon, spoczywający na nocnej szafce, zakomunikował nadejście SMS-a.

Wyciągam rękę po telefon, jakby to był rozgrzany palnik kuchenki. Nadawca nieznany. Wiadomość to zdjęcie. Po chwili ukazuje się w całości.

– O nie – mamroczę.

Zdjęcie przedstawia brata Diany, Randy'ego Hotchkissa, leżącego twarzą do ziemi w kałuży krwi.

Pod fotografią widnieją słowa:

*Randy zadawał pytania i nie mógł przestać.  
A ty potrafisz?*

## Rozdział 25

Sunę triumphem w mglistym porannym powietrzu do domu, w którym mieszkała Diana, ale tym razem wybrałem inną trasę. Nie zamierzam władować się na Trzydziestą Trzecią Ulicę i wchodzić prosto na policyjnego detektywa, a tym bardziej zwracać na siebie uwagi tajemniczych gości w lexusie. O nie, tym razem dostanę się do apartamentowca od tyłu, schodami pożarowymi.

Tu odzywa się motyw z *Mission: Impossible*.

Stawiam motocykl kilka skrzyżowań od celu i ruszam ścieżką wzdłuż kanału Chesapeake i Ohio, dotrzymując towarzystwa joggerom, którzy biegają przed pójściem do pracy. Następnie kieruję się na tyły budynku i po rozchwierutanych stopniach drabiny przeciwpożarowej zmierzam do góry.

Czy nie byłoby fajnie, gdyby można było odtwarzać tematy muzyczne, kiedy człowiek chodzi i czymś się zajmuje? Zwłaszcza w dramatycznych chwilach. Myślę, że to by było inspirujące.

Nadal mam klucz, którym otwiera się wejście pożarowe i drzwi jej mieszkania. Nie mam natomiast pojęcia, kto może w tym momencie obserwować budynek ani czy popełniam przestępstwo, wchodząc do środka. Ale wyczerpały już mi się opcje.

Czuję mdłości, krocząc po chwiejnych stopniach, lecz w porównaniu z innymi wyzwaniem, wobec których stawałem w ciągu minionych paru dni, to jest jak spacer w parku. Docieram na samą górę i wchodzę z bijącym sercem do apartamentowca.

Jej mieszkanie jest na końcu korytarza. Na drzwiach wisi żółta policyjna taśma, więc pytanie, czy powinienem tam wchodzić, staje się nieaktualne.

Mimo wszystko wchodzę. Wtedy tracę oddech, falami napływają wspomnienia. Diana. Co zrobiłaś, Diano, jak

ściągnęłaś na siebie to, co cię spotkało?

Skup się, Ben. Nie trzeba nawet dwóch minut, żeby wziąć te nagrania i prysnąć.

Spoglądam w górę na detektor dymu w kuchni z minikamerką w środku. Łapię drabinkę, którą Diana chowała zawsze obok lodówki, i znajduję śrubokręt, który trzymała w spiżarni. Przystępuję do dzieła. Odkręcam drugą z dwóch śrub, kiedy słyszę hałas z drugiego końca mieszkania. Butelka przewróciła się i potoczyła po szkle.

Zastygam. Schodzę z drabinki, gdy podbiega do mnie truchtem Cynamonka, abisyńska kotka Diany.

– Cześć, malutka! – wołam, dziwiąc się, że tak się ucieszyłem na widok kota. Może cieszę się ostatnio na widok każdego, kto do mnie nie celuje. A może dlatego, że Cynamonka jest teraz ostatnią pozostałością Diany.

Biedactwo jest kłębkiem nerwów. Czy ktoś ją karmił? Nie wiem tego, naprawdę. Znajduję karmę w spiżarni i daję jej miskę. Kotka całkiem o mnie zapomina i idzie z konsumpcją na całość.

Wyciągam ostatni wkręt, zdejmuję dolną pokrywę i... w środku nie ma kamery ani mikrofonu. Sprzęt obserwacyjny usunięto.

Zeskakuję z drabinki, wchodzę do sypialni Diany i widzę, że aktywowana ruchem kamera wideo, zakamuflowana jako wtyczka, także znikła. Zaglądam za biurko, sprawdzam każde gniazdko, ale na próżno, nie ma jej.

Zniknęły oba urządzenia obserwacyjne, które zainstalowałem.

Razem z nimi zniknęła tożsamość zabójcy Diany.

Nie mam tropów i nie wiem, gdzie szukać innych.

## Rozdział 26

Zaparkowałem triumpfa i kroczę ulicami stolicy, często się zatrzymując, żeby zerknąć za siebie i sprawdzić, czy ktoś mnie śledzi. Znajduję kafejkę w Georgetown i siadam plecami do ściany, przyglądając się każdemu, kto wchodzi. Umięśniony Azjata. Dwie ładniutkie studentki. Starsza pani z dwojgiem wnucząt. Elegancki garnitur mówiący do słuchawki w uchu.

Nie wiem, kogo się spodziewać. Każdy może mnie obserwować, wszędzie.

O dziesiątej odbieram SMS z Białego Domu. Prezydent wrócił z tygodniowego urlopu w Martha's Vineyard i zaplanował konferencję prasową na czternastą trzydzieści. W tym tygodniu ja obsługuję briefingi; zastanawiam się, czy nie poprosić mojej współpracownicy, Ashley Brook Clark, żeby mnie zastąpiła. Ale dzisiaj to będzie mile widziany przerywnik.

W sali Brady'ego dziennikarze głównych sieci, wypacykowani przez makijażystów, z ufryzowanymi włosami, w równiutko odprasowanych ubraniach, na stojaka zapowiadają odbiorcom, że prezydent odniesie się do kwestii wyboru następnego ministra rolnictwa, zamieszek w Libii oraz nowych starć zbrojnych w Czeczenii. Ja, właściciel gazety internetowej, nie muszę bardzo dbać o wizerunek, ale nawet jak na mnie prezentuję się dzisiaj gorzej z powodu przemęczenia. W ciągu minionych dwóch dób przespałem zaledwie parę godzin, a że nie mogłem pojechać do domu, musiałem kupić ubranie w Brooks Brothers. Koszula jest nadal pognieciona, taka, jaką wyjąłem z paczki, a sportowa marynarka za szeroka w ramionach. Wyglądam jak rozmemłany chłystek.

Sekretarz prasowy Rob Courtney przedstawia szczegóły planu prezydenta na przyszły tydzień oraz tło nominacji, która zostanie dzisiaj ogłoszona. Dla mnie zbyteczne. Już od dwóch tygodni wiem, kto zostanie następnym ministrem rolnictwa. Opłaca się znać ludzi wewnątrz. A słowa, że się opłaca, traktuję

dosłownie. Zwykle są to bilety na mecze Redskinsów bądź Nationalsów. Parę lat temu przewiozłem moją cenną informatora w Departamencie Stanu i jego dziewczynę do Manhattanu i z powrotem, spędziliśmy tam wieczór. Dziewczyna miała wspaniały bankiet urodzinowy w Moomba, a ja fajny artykuł o tym, że ambasador w Australii zamierza zrezygnować i kandydować na stanowisko gubernatora Ohio.

– Niebieska koszula, czerwony krawat – zgaduje dziennikarka siedząca obok mnie, Wilma Grace. To taki nasz stały żart połączony z zakładem. Jako dżentelmen zawsze pozwalam jej obstawiać pierwszej.

– Biała koszula, niebieski krawat – kontruje.

Rozglądam się po sali konferencyjnej i z wolna odzyskuję spokój. Jestem bezpieczny przynajmniej tutaj, w obrębie zachodniego skrzydła, a widok znajomych twarzy dodaje otuchy.

– Prezydent Stanów Zjednoczonych – mówi Rob Courtney.

Prezydent Blake Francis wchodzi płynnym krokiem, który jest atrybutem władzy, oraz ze świeżą opalenizną po urlopie, ma na sobie niebieską koszulę i czerwony krawat.

– Już go dzisiaj widziałas – szepczę do Wilmy.

– Nie mówiłam, że nie.

– No, rewelacja, Gracie. Po prostu rewelacja.

– Mógłbyś zdjąć tę metkę z marynarki – sugeruje Wilma. Taak, od razu mi lepiej. Cieszę się, że przyszedłem.

– Dzień dobry, witam wszystkich – zagaja prezydent. – Miło tu znowu być. Aż mi trudno wyrazić, jak bardzo za każdym z państwa tęskniłem.

Z naszej galerii dla ubogich rozlega się grzeczny śmiech. Asystenci stojący u boku prezydenta rechoczą, jakby sypnął przezabawnym bon motem.

– Zanim przejdę do omówienia nominacji, chciałbym wygłosić komentarz. Wielu spośród państwa, podobnie jak ja, z wielkim smutkiem dowiedziało się o niedawnej śmierci Diany Hotchkiss, która przez kilka lat należała do personelu kongresmena Carneya, a później odpowiadała za kontakty z CIA.

Mrugam oczami. Czy on... czy ja dobrze usłyszałem?

– Wiadomo mi również, że jej rodzinę spotkała niedawno druga tragedia, którą była śmierć brata Diany – kontynuuje

prezydent. – Chcę powiedzieć, że wraz z Libby przesyłamy rodzinie Hotchkissów nasze najgłębsze wyrazy współczucia. – Mówca podkreśla swoje słowa skinieniem głowy. – A zatem, jak państwo wiedzą, obiecałem, że przed wyznaczeniem następnego ministra rolnictwa będę szukał wysoko i nisko...

Zerkam na Wilmę, a ona odwzajemnia spojrzenie, lecz nie rejestruje zaskoczenia. Wzrusza ramionami.

– Jakaś urzędniczka z Kapitolu, tak? – pyta szeptem.

Kiwam głową. Wilma nie знаła Diany, to oczywiste. Dla mnie Diana znaczyła wiele, lecz dla większości osób była jedną z tysięcy ambitnych urzędniczek bez twarzy, które harują za kulisami władzy.

Więc z jakiej przyczyny zasłużyła na wzmiankę prezydenta Stanów Zjednoczonych w czasie konferencji, którą stacje telewizyjne relacjonują na cały kraj?



## Rozdział 27

Po konferencji prezydenta znowu boli mnie brzuch. Opuszczam bezpieczny azyl Białego Domu i tak jak przedtem jestem całkowicie wystawiony na działania tych, którzy na mnie polują. Jestem skołowany, przestraszony i brak mi pomysłów.

W każdym razie tych skutecznych.

Gmach przy Connecticut Avenue znajduje się pięć minut drogi na północ od Białego Domu. Dziesięć kondygnacji z szarego kamienia i zielona markiza nad wejściem. Parkuję triumpfa i wchodzę. Ochroniarz w holu pyta, czy jestem umówiony, a ja kłamię, że tak. Wpisuję nazwisko do rejestru i przechodzę przez bramkę do wykrywania metalu. Wsiadam na dziewiątym piętrze, skręcam w prawo i przechodzę przez grube szklane drzwi. Zdobna recepcja – ma imponować. Sprzęty do siedzenia dla gości są eleganckie, czarno-purpurowe, ładne okno na całą ścianę wychodzi na Connecticut Avenue. Kontuar ma kształt półksiężyca, siedząca za nim kobieta równie dobrze mogłaby uśmiechać się z okładki kolorowego magazynu. Nazwa firmy wypisana wymyślną czcionką – takiej samej używa chyba Porsche – widnieje na ścianie.

– Mogę panu w czymś pomóc? – pyta recepcjonistka. Ma na głowie słuchawki z mikrofonem, który biegnie łukiem do jej ust.

– Ben Casper z „Capital Beat” do Jonathana Liu – mówię, pokazując jej akredytację.

Przyznam, że tej taktyce dużo brakuje do subtelności. Byłoby idealnie, gdybym przeświecił faceta cichaczem, zebrał tyle informacji, ile się da, i spotkał z nim twarzą w twarz w strategicznie optymalnej chwili. Ale nie przychodzi mi teraz do głowy żaden inny ruch, który mógłbym wykonać.

– On pana oczekuje? – pyta seksbomba.

– Powinien. – Odpowiedź nie jest daleka od prawdy.

Recepcjonistka milknie na chwilę.

– Mogę mu przekazać, czego dotyczy rozmowa?

Za nią jest szklana ściana i drzwi. Przeciska się przez nie poważnie wyglądający, dobrze ubrany mężczyzna i mija mnie, zmierzając do wyjścia. Drzwi za nim cicho zaskakują.

– Piszę artykuł o tym, że lobbyści za mało zarabiają i że w polityce potrzeba jest więcej pieniędzy, a nie mniej – mówię.

Recepcjonistka zastanawia się przez sekundę.

– Artykuł opowiada o tym, że lobbyści dbają o bezpieczeństwo firm krwio pijców z listy Fortune Pięćset, które zdzierają z biedaków, a potem rząd płaci za nie odszkodowania. Najwyższy czas, żeby Ameryka korporacyjna miała swój głos w polityce.

Pani wciąż myśli.

– Tylko żartowałem – dodaję. – W weekend robię wyprzedaż garażową, będę zbierał fundusze dla pana Liu. Ostatnimi czasy milion miesięcznie ledwo starcza na prowiant. Martwię się o niego.

Kobieta mamrocze coś do słuchawki.

– No dobrze, będę z panią szczery. – Nachyłam się, żeby na pewno mnie usłyszała. – Artykuł, który piszę, będzie o tym, że Jonathan Liu zamordował urzędniczkę wysokiego szczebla z Kapitolu. Urzędniczkę, z którą miał romans. Za godzinę artykuł idzie do druku. Ciekaw jestem, czy pan Liu zechce mnie wysłuchać, zanim to nastąpi.

Podchodzę do okna i czekam. Dzień pracy zbliża się do końca, ludziom się spieszy. Zawsze ruszają się jakoś szybciej, kiedy wychodzą z pracy, niż kiedy do niej idą.

Po chwili dobrze ubrany mężczyzna otwiera i przytrzymuje szklane drzwi.

– Pan Casper? Tędy, zapraszam pana.

## Rozdział 28

Eskortuje mnie dwóch Chińczyków z poważnymi minami, każdy ma gabaryty domku jednorodzinnego; szeroki korytarz pełen jest drogich dzieł sztuki, oświetlają go kinkiety, a na posadzce leży purpurowa wykładzina. Firmie Liu Group powodzi się ostatnio nieźle; na to w każdym razie wygląda. Nie jestem miłośnikiem purpury, ale przyznaję, że *Purple Rain Prince'a* to jeden z najlepszych albumów mojego pokolenia. Ktoś może powie, że płyta 1999 była lepsza, ale *Purple Rain* miała większą gamę uczuć.

Ci dwaj natomiast, którzy mi towarzyszą, w ogóle ich nie okazują. Gdyby się nie ruszali, przysięgłbym, że to posągi. Mijamy szereg gabinetów, a każdy kolejny jest większy i elegantszy od poprzedniego. Skręcamy za róg i maszerujemy następnym korytarzem. Zatrzymujemy się przed windą.

– Dokąd idziemy? – pytam Jacka i Placka. – Mam się spotkać z Jonathanem Liu.

– Pomylił się pan – odpowiada większy z pary.

– Ostrzegam panów, że znam karate, jujitsu oraz wiele innych słów pochodzenia azjatyckiego.

Nic, nawet uśmiechu. Winda się otwiera, wychodzimy do podziemnego garażu. Podjeżdża czarna limuzyna i otwierają się drzwi.

– Wsiadać – mówi jeden z mężczyzn.

No co, sam się o to prosiłem. To mógł być największy błąd, jaki popełniłem w życiu.

Wsiadam do limuzyny, a drzwi zamykają się za mną i blokują automatycznie. Jestem z tyłu sam i widzę tylko czarny ekran zasłaniający szofera.

Wyjeżdżamy na Connecticut Avenue, potem przez Dupont Circle docieramy do Massachusetts Avenue. Przychodzi mi na myśl, że być może wiozą mnie w jakieś opuszczone miejsce, żeby pozbyć się kłopotu.

Wtedy nagle skręcamy z ronda w prawo w Q Street i połąpałem się, dokąd zmierzamy. Nie wywożą mnie w nieznane miejsce.

Jestem transportowany do chińskiej ambasady.

## Rozdział 29

Parę lat temu uczestniczyłem w ceremonii w wielkiej sali ambasady Chin, która mieści się w nieskazitelnym gmachu z piaskowca, stojącym w północno-zachodniej części stolicy. Jednak pomieszczenie, do którego mnie teraz prowadzą, na pewno nie zasługuje na miano wielkiego. Ma szaro-czerwone ściany, jest ciasne, źle oświetlone i zimne. Dwaj mężczyźni, którzy odbierają mnie w podziemiach z limuzyny, są mniej więcej takiej samej postury jak Jacek i Placek, ale nie konwersują tak błyskotliwie jak tamte draby. Nie dotykają mnie aż do chwili, gdy wchodzimy do pomieszczenia; wtedy łapią mnie za ręce i wciskają na samotne, stojące pośrodku krzesło.

Otwierają się drzwi, których istnienia nawet nie podejrzewałem, i wchodzi dwóch Chińczyków. Jeden jest ostrzyżony na jeża, a drugi łysy. Łysol wygląda na takiego, który spędził trochę czasu na siłowni. Jeż sprawia łagodniejsze wrażenie, przypomina dyplomatę.

– Panie Casper – zagaja Łysol.

– We własnej osobie.

– Cóż to pan opowiada o Jonathanie Liu? Mówił pan recepcjonistce, że pan Liu odpowiada za śmierć urzędniczki państwowej?

Spoglądam to na jednego, to na drugiego.

– Zamierzałem rozmawiać o tym z Jonathanem Liu.

– Pana Liu tutaj nie ma. – W głosie mężczyzny słychać ślad rodzimego akcentu, ale jego angielski jest perfekcyjny.

– A pan jest...?

– Ja jestem... tym, który zadaje panu pytania.

– Chodziło mi o pańskie nazwisko.

– Wiem, o co panu chodziło. Proszę powiedzieć o oskarżeniach, które wysuwa pan przeciwko Jonathanowi Liu.

Pojęcia nie mam, czy facet jest po mojej stronie, czy przeciwko mnie. Mógłbym zgadywać na ślepo.

– Napisałem artykuł, w którym objaśniam, jak Jonathan Liu zamordował asystentkę zastępcy dyrektora z CIA, Craiga Carneya, odpowiedzialną za kontakty Agencji z Białym Domem.

Łysol zachowuje bierność.

– Ma pan na to dowody?

– Proszę przeczytać artykuł. – Nie ma żadnego artykułu. Jeszcze nie. Nawet nie zbliżyłem się do dowodów potwierdzających to, w co wierzę. Prawda jest taka, że zarzucam wędkę.

– Nie ma żadnego artykułu – oznajmia Łysol.

A ten co, czyta w myślach?

– Jak pan uważa – mówię i przychodzą mi na myśl reklamy Burger Kinga z lat siedemdziesiątych. No super, pod moją czaszką rozbrzmiewa idiotyczna piosenka o korniszonach i sałacie. Ale tamte reklamy biją na głowę późniejsze, z tym królem popaprańcem. Gość mógłby mnie straszyć w snach.

– Relacje między naszym krajem a Stanami Zjednoczonymi są dość... niepewne, zgadza się pan z tym, panie Casper?

– Jeśli się jest fanem praw człowieka, to owszem, zgadzam się.

– Prawa człowieka. – Pozwala sobie na krótki śmiech. – Pan Liu nie jest przedstawicielem Chińskiej Republiki Ludowej. Jednakże zdajemy sobie sprawę, że dysponuje szerokimi wpływami. Oskarżenia wobec pana Liu staną się oskarżeniami przeciwko Chińskiej Republice Ludowej. Dęte, niedorzeczne oskarżenia nie przystoją.

Nachylam się i jeden z drabów stojących za moimi plecami łapie mnie za ramię.

– Jestem amerykańskim dziennikarzem w Stanach Zjednoczonych. Dam do druku to, co chcę. W Ameryce mamy coś, co nazywa się wolna prasa. Powinien pan zajrzeć do słownika.

Korniszony i sałata, wolność prasy nam nie w smak...

Łysol przybliżył się do mnie.

– Może pan sobie być amerykańskim dziennikarzem – mówi.

– Ale nie jest pan w Ameryce. Nie w tej chwili.

– Boście mnie uprowadzili.

– Ależ nic podobnego. Wpisał się pan przy wejściu. Prosił pan o rozmowę ze mną i udzielał panu audiencji.

Wyrywa mi się nerwowy śmiech. Staram się grać na zimno, ale wcale nie czuję się pewnie.

– Słuchaj pan, wielbny panie Moon...

– Ach, oszczerstwo. Można się tego spodziewać po Amerykaninie. Wszyscy skośnoocy Azjaci są tacy sami, tak? Świetnie, panie Casper. Proszę dalej napawać się swoją przewagą moralną, a tymczasem nasz kraj będzie zapędzał wasz gospodarczo w kozi róg. Chińska Republika Ludowa kwitnie, a tymczasem Stany Zjednoczone Ameryki toną coraz głębiej.

Łysol podchodzi do mnie blisko i nachyla się, patrząc mi prosto w oczy.

– A teraz, proszę pana, zanim stracę cierpliwość. Proszę mówić, co pan wie o Jonathanie Liu.

– Diana Hotchkiss – odpowiadam.

Tamten kiwa pomалу głową.

– Tragedia.

– On kazał ją zabić.

– A czemu to zrobił?

– Proszę przeczytać artykuł.

Przez jego twarz przemyka uśmiech.

– Nie ma artykułu. Co się w nim znajdzie? Że pan, panie Casper, miał związek z panią Hotchkiss? Że pan, Benjamin Casper, był w jej mieszkaniu wieczorem w dniu jej śmierci?

Spalam się w zwolnionym tempie.

– Osoba zainteresowana śmiercią pani Hotchkiss, odrzucony wielbiciel, który, jak mawiacie wy, Amerykanie, miał motyw i sposobność, pisze artykuł o jej śmierci. Czy nie uznano by tego za konflikt interesów?

Ci goście mają wszystko w małym palcu. W co ja wdepnąłem?

Łysol prawie podtyka mi nos do twarzy.

– Nie ma artykułu – mówi.

Prostuje się i zaczyna chodzić.

– A jeżeli jest, to, mówiąc szczerze, zrobi się panu niemiło, panie Benjaminie Casper. Może wszyscy dowiedzą się czegoś ciekawego o pańskim życiu. W tym o dzieciństwie.

Ben, pamiętasz mnie, tak? Detektyw Amy LaTaglia.

Tata mówi, że mam z panią nie rozmawiać.

Wiem, Ben. Więc nie rozmawiaj. Ja będę mówiła. Chcę, żebyś wiedział, że dostaliśmy wyniki badania odcisków palców. Wiesz, że znaleźliśmy odciski na pistolecie, który był w dłoni twojej matki?

– Tamte akta są utajnione – syczę.

Łysol macha ręką.

– Więc może zorientuje się pan, jakimi dysponujemy środkami, skoro uzyskaliśmy dostęp do utajnionych informacji.

Zgadniesz, czyje odciski palców znaleźliśmy na tej broni, Ben?

Tata mówi, że mam nie...

Twoje, Ben. Na pistolecie były odciski twoich palców.

– Z drugiej strony, Benjaminie, chyba możemy zapomnieć o tych informacjach, jeśli pan zapomni o swoich szalonych i bezpodstawnych oskarżeniach pod adresem pana Liu.

Opuszczam głowę i usiłuję wziąć w karby swoje emocje, a tymczasem wspomnienia napływają do mnie falami.

Jesteś w poważnych tarapatach, Ben.

Powinieneś nam powiedzieć, co się wtedy stało z twoją mamą w łazience.

– Jeśli moje oskarżenia są takie bezpodstawne – cedzę słowa – to dlaczego tu jestem?

Łysol śmieje się ohydnie.

– Och, Benjaminie – mówi. – Wcale cię tu nie było. I lepiej dla ciebie, żebyś się tutaj nigdy nie znalazł...



## Rozdział 30

Wyrzucają mnie na Connecticut Avenue w pobliżu budynku, w którym firma Jonathana Liu wynajmuje lokal. Z przyjemnością oddycham gęstym powietrzem i wolnością po nieplanowanej wizycie w chińskiej ambasadzie. Teraz już wiem, że Chińczycy – i prawdopodobnie Liu w szczególności – brali w tym jakiś udział. Ale jaki? W jaki sposób moja Diana zwróciła na siebie uwagę chińskich władz i prezydenta Stanów Zjednoczonych?

Podjeżdżam na Idaho Avenue, tam mieści się komenda drugiej dzielnicy policji metropolitalnej. Pytam o Ellisa Burka, detektywa, o którym pisałem parę lat temu, kiedy rozwiązał sprawę morderstwa córki kongresmena. Od tej pory pozostajemy w kontakcie, bo to całkiem porządny gość, a moja robota polega na tym, żeby mieć wszędzie przyjaciół.

Jestem w tym dobry: umiem pogawędzić o byle czym przy obiedzie czy drinku, pożartować, uraczyć fałszywym pochlebstwem, żeby zostawić po sobie dobre wrażenie i dzięki temu następnym razem, kiedy będę człeka potrzebował, on będzie chętniejszy do współpracy. Mam nawet bazę z danymi znajomych; trzymam w niej informacje o tym, jak się poznaliśmy, o ważnych wydarzeniach, które nas łączą (w przypadku Ellisa było to morderstwo Dany Manchester), o marchewce, którą warto wyciągnąć, kiedy potrzebuję przysługi (jeśli chodzi o Ellisa, są to kubańskie cygara), o przysługach zwrotnych, o których można danej osobie przypomnieć (pochlebna charakterystyka detektywa, który rozwiązał sprawę zamordowania Manchester).

Powierzchowne znajomości to moja specjalność. Ale nie otwieram się za bardzo i nie dopuszczam do siebie klientów zbyt blisko. Trzymać palce z dala od klatki, a nikt nie ucierpi.

Na miejscu dowiaduję się, że detektyw Burk będzie za parę minut, i kierują mnie do pokoju. Pomieszczenie jest szare i bez

okien, na ścianie poziomo wisi lustro, pośrodku stoi stół z czterema krzesłami. Przypuszczam, że jest to pokój przesłuchań, gdzie obserwują cię przez lustro weneckie podczas składania zeznań.

*Korniszony i sałata,  
Pierwsza Poprawka nam nie w smak;  
Daj nam tylko cenzurować swoje słowa.*

No pewnie, skoro o tym pomyśleć.

– Ben-jamin Casper – śpiewa Ellis, wchodząc. – Człowiek, który przeżył wypadek lotniczy.

A, tak. Associated Press musiało się dowiedzieć o zdarzeniu.

– Cześć, Ellis.

Podaje mi rękę. Taksuje mnie i wyraz jego twarzy się zmienia.

– Dało ci w kość, widzę. Ale słuchaj, większość ludzi nie przeżywa katastrof lotniczych, więc od tej pory wszystko, co ci się w życiu przytrafi, uważaj za premię.

I mniej więcej tak właśnie robiłem.

– Dobrze się czujesz, stary? – pyta Ellis. – Bo wyglądasz na... jakbyś był ciut zestresowany.

Próbuję się uśmiechnąć, ale nie mogę. Nie ma sensu ściemniać.

– Miałem ciężki tydzień – mówię. – Przyjaciółka umarła. Myślę, że ją zamordowano. Od tego czasu ktoś usiłuje mnie zabić, a zaczęło się...

Ellis unosi rękę, chce mnie uspokoić. Jest wysokim i barczystym Afroamerykaninem, który wychował się w Bostonie w czasach, kiedy czarnemu nie było łatwo zostać policjantem. Wydaje się chudszy niż wtedy, gdy go ostatnio widziałem z bliska, czyli ponad rok temu. Może to dieta, a może choroba.

– Krok po kroku. Zacznij od początku. Opowiedz mi o tej swojej przyjaciółce.

Wzdycham.

– No dobra. Pracowała jako urzędniczka w CIA. Mieszkała w Georgetown i ktoś, tak myślę, zepchnął ją z balkonu...

Ellis przechyla głowę. Widać po nim, że coś kojarzy.

– ...a ja tam byłem, w jej mieszkaniu, tuż prze...

– Stop. – Ellis odgarnia ręką włosy. – Mówisz o tej Hotchchild, Hotch-coś tam...

– Hotchkiss. O Dianie Hotchkiss.

Kiwa głową.

– Diana Hotchkiss.

– Rozumiem, że znasz sprawę.

Przygląda mi się.

– Lepiej, żebyś nie miał z tym związku. Mógłbyś mieć kłopoty, Ben.

Co ty nie powiesz.

– Pracujesz nad tą sprawą? – pytam.

Wstaje od stołu i zaczyna chodzić.

– Nie byłem głównym, ale mieliśmy ją tu, w drugiej komendzie.

Łapię się czasu przeszłego.

– Już nie macie?

Śmieje się bez wesołości.

– Parę dni temu zjawili się w płasach goście z CIA. Ogłosili, że sprawa Diany Hotchkiss dotyczy kwestii bezpieczeństwa narodowego i ją przejmują. Zażądali wszystkich naszych akt, tu, na miejscu. Znaczący, zgarnęli wszystko na wózek i wywieźli. Dwadzieścia lat w zawodzie, a czegoś takiego nie widziałem.

Robi się dziwniej z minuty na minutę. Federalni położyli łapę na sprawie. Prezydent Stanów Zjednoczonych wspomniał o Dianie w czasie cotygodniowej konferencji prasowej. Chińczycy zawlekli mnie do swojej kwatery na przyjacielskie, nieoficjalne przesłuchanie.

Co, u diabła, jest grane?

– Na twoim miejscu – odzywa się Ellis – wziąłbym trochę forsy, którą odziedzyczyłeś, i poleciał sobie na daleką wyspę na miesiąc lub dwa.

Pewnie to dobra rada.

– Nigdzie się nie wybieram, Ellis. Potrzebuję jakiegoś tropu. Czegoś, czegokolwiek. CIA zabrała wam wszystko?

Ellis gapi się na mnie przez długą chwilę z poważną miną, a potem jego twarz się rozluźnia.

– Może nie całkiem wszystko – mówi.

## Rozdział 31

Do pokoju przesłuchań wraca z cienką teczką, w której są błyszczące zdjęcia.

– Fotki z miejsca zbrodni – mówi. – I parę zeznań świadków. Mogłem zapomnieć oddać federalnym wszystkie egzemplarze.

Wzdrygam się, kiedy rzuca teczkę na stół i wypada z niej kilka zdjęć. Nie jestem w nastroju do oglądania zmasakrowanej twarzy i ciała Diany.

– Zeznania świadków coś wyjaśniły? – pytam.

– Niewiele. – Ellis kręci głową. – Poza tym, że osoby, które jako pierwsze podeszły do ofiary, pierwsze się od niej oddaliły.

Sięgam pamięcią do tego wieczoru i nagle sobie uprzytamniam, że w pewnym sensie Ellis mówi o mnie.

– Najpierw podeszły dwie kobiety – relacjonuje z pamięci policjant. – Siedziały w jakimś małym niebieskim aucie obok budynku. Chyba się do niej zbliżyły i chyba sprawdziły, czy daje oznaki życia, coś w tym rodzaju. Ale wsiadły do samochodu i odjechały, zanim przybyła karetka.

Pamiętam to, widziałem dwie kobiety wysiadające z samochodu. Co stało się z nimi później, nie mam pojęcia.

Ellis patrzy mi prosto w oczy.

– Jakiś mężczyzna po drugiej stronie ulicy rozmawiał z jakimiś facetami o swoim motocyklu. Dotarł do ofiary drugi w kolejności. Po paru minutach, zataczając się, wyszedł na jezdnię i porzygał się. Następnie wskoczył na siodełko i odjechał, zanim na miejsce przybyły władze. – Ellis wzrusza ramionami. – Kto to może jeździć triumphem America model dwa tysiące dziewięć z... chwileczkę... – Zerka do zapisków, a potem znowu na mnie. – Oponami Metzeler ME osiemdziesiąt?

– Nie... Osiemset osiemdziesiąt – prostuję.

– Tak, ME osiemset osiemdziesiąt. – Uśmiezek na twarzy Ellisa.

– Wygląda na to, że ci świadkowie znali się na motocyklach – mówię.

– Tak samo jak właściciel jednośladu. Twierdzili, że fajny był z niego gość. Naprawdę życzliwy.

– I przystojny – dodaję.

– Taa, powiedzieli, że był podobny do... Skeeta... Ulricha, ktokolwiek to jest.

Spada na mnie ta wiadomość jak wielka fala. Nie jest dobrze, mówiąc oględnie. Skeet Ulrich? Diana mówiła, że jestem podobny do Johnny'ego Deppa. Znaczący, Skeet podobał mi się w pierwszym *Krzyku*, byłem zdania, że powinni go zatrzymać w serialu *Prawo i porządek*, ale Depp wcielił się w Donniego, psiakrew, Brasco, na litość boską. W ciągu tygodnia zjeżdżam z Deppa do Ulricha? Kto będzie następny, Ralph Macchio?

– Nie miałem nic wspólnego z jej śmiercią – mówię. – Ale owszem, byłem tam. Powiedziałem ci o tym, zanim pokazałeś mi zeznanie świadków.

– No tak, no tak. – Ellis wzrusza ramionami. – Może gdyby CIA nie zdjęła mnie i kolegów z tego śledztwa, może bym cię tu posadził i przesłuchał. Ale że odsunęli mnie od sprawy i w ogóle...

Ellis to dobre chłopisko. Moje oczy jak ćmy wędrują do zdjęć Diany, która leży na ziemi zgięta i połamana. Nie mogę patrzeć. Nie mogę nie patrzeć. Zdjęcie z góry: jej kasztanowe włosy, które ledwo miesiąc temu ufarbowała, spływają kaskadą po twarzy. Lewa noga leży ukośnie, ta długa gładka kończyzna, modny but z zamszowej skóry tkwi perfekcyjnie na stopie; ironiczny akcent, choć wyobrażam sobie, że ucieszyłyby się, wiedząc, że umarła w ładnym obuwiu...

Robię krok do tyłu, mój puls przyspiesza pod wpływem adrenaliny.

– Wiem, że ci ciężko – odzywa się Ellis. – Musiało ci na niej zależeć.

Zdobywam się na kiwnięcie głową, mamrocze coś nieskładnie, przepraszam i kieruję się na parking. Taak, bardzo zależało mi na Dianie.

Może nie powinienem użyć czasu przeszłego. Może powinienem użyć teraźniejszego.

Ponieważ Diana ma nad lewą kostką wytatuowanego motyla,  
a martwa kobieta na zdjęciu go nie ma.

## Rozdział 32

Z komendy policji wychodzę z rosnącym zbiorem faktów rozrzuconym na biurku mojego mózgu, ale nie ma w nim widocznego porządku, logiki. Myśl, Ben. Ostatecznie wszystko jest ogniwem w jakimś łańcuchu. Muszę tylko poskładać informacje.

Wskakuję na triumpha i zauważam samochód zaparkowany po przeciwnej stronie ulicy; w środku ciemnego chevroleta siedzi dwóch gości i patrzy w moją stronę. Nie umiem stwierdzić, czy to Chińczycy, ale Chińczycy pewnie są w stanie wynająć do pracy białych, prawda? No bo dlaczego miałbym zakładać, że Chińczycy najmują tylko Chińczyków? Może ściągną tego albinosa z *Firmy*...

Uruchamiają samochód w chwili, kiedy kopnięciem kopki budzę do życia mojego triumpha. Zbieg okoliczności? Nie wierzę w coś takiego.

Czy to tylko zbieg okoliczności, Ben? Czy twoje odciski same wskoczyły na pistolet?

Powinienem zadzwonić do ojca.

My zadzwonimy do twojego ojca, Ben. Tymczasem pojedziesz z nami. Zabieramy cię do aresztu. Dostaniesz adwokata i kuratora procesowego, i pewnie bardzo długo nie będziesz mógł mieszkać ze swoim tatą.

Chyba że opowiesz mi, co się zdarzyło.

Chevrolet cofa, żeby opuścić miejsce parkowania, i stuka w małą toyotę; ja wyjeżdżam motorem, nie wiedząc, dokąd się kieruję...

Małe autko. Dwie kobiety w małym niebieskim samochodzie, które podeszły do Diany – albo do tej, która wypadła z jej balkonu – przede mną. Odjechały, zanim policja i karetka przybyły na miejsce, tak powiedział Ellis.

Pruję gazem z parkingu, nagle wiem, dokąd jechać.

Skręcam w Wisconsin Avenue i mijam bar, który nosił dawniej nazwę Alliance Tavern, i w którym urzneliśmy się kiedyś z Ellisem tanią whisky. Nie widzę za sobą chevroleta, ale to nie znaczy, że go tam nie ma. Ruch z jakiegoś powodu jest dość duży. Robię szybki skręt w prawo w M Street i wjeżdżam na drogę numer 29 w kierunku południowym, prowadzącą do Wirginii. Pęd powietrza, czyli to, co w jeździe motorem najlepsze, przynosi mi nieco ulgi; jednak mam teraz w sobie permanentny dygot, a jedynym na niego lekarstwem, które przychodzi mi na myśl, jest szybkość, szybkość, szybkość; jestem teraz znowu na drogach głównych, dopadam do Jefferson Davis Highway i wciskam gaz do oporu, przekraczam sto pięćdziesiąt; myślę o Jefferson Starship i innych nazwach, których zespół używał, *We built this city on rock and roll*, i niewiele brakuje, żebym się porzygał...

W niespełna pół godziny jestem przy kasie biletowej linii Delta na lotnisku Reagana. Wykorzystuję korporacyjną kartę kredytową, nie osobistą, i rezerwuję lot w jedną stronę, nie w dwie, mając świadomość, że rezerwacja w ostatniej chwili, w jedną stronę, oznacza dla mnie najsurowszą kontrolę bezpieczeństwa, ale już się tym nie przejmuję. Może na tym polega mój problem: za bardzo się lękam, boję się, że zginę. Może jeśli będę bardziej lekkomyślny, nieulekły jak James Bond albo ktoś taki, jeśli z chłodnym uśmiechem będę patrzył w oblicze śmiertelnego zagrożenia, nie spotka mnie nic złego. Nowy James Bond jest zarąbiście niesamowity. Próbuje uśmiechnąć się chłodno, ale nie wychodzi.

Okazuje się, że spóźniłem się na ostatni wieczorny lot. Więc dzisiejszą noc prześpię na lotnisku.

A jutro rano wsiałę do pierwszego samolotu lecącego do Madison w stanie Wisconsin.



## Rozdział 33

Rodzina Hotchkissów jest w domu tuż po dziesiątej rano. W domu i pod wpływem, przynajmniej jeśli chodzi o panią. Ale ni cholery nie mam im tego za złe. Według ich wiedzy stracili oboje dzieci w ciągu jednego tygodnia.

Przed zapukaniem do drzwi czytam na smartfonie raz i wtóry wszystko, co media wiedzą o śmierci brata Diany, Randy'ego. Znajomy wątek: Randy Hotchkiss, zrozpaczony po śmierci siostry, popełnił samobójstwo, skacząc z dachu budynku Van Hise Hall w kampusie Uniwersytetu Wisconsin. Nic nie wskazywało na brudną zagrywkę. Nie ma zapowiedzi śledztwa, sprawa zamknięta. Taak, oczywiście.

Rodzice właściwie nie pamiętają mnie ze stypy Diany i nie są zachwyceni na widok dziennikarza, ale zapewniam ich, że nie przybywam oficjalnie. Wpuszczają mnie do środka i mam wrażenie, że bardziej z powodu zmęczenia niż z chęci porozmawiania ze mną.

Stary dom w stylu wiktoriańskim z niedzisiejszym salonem, w którym pełno jest kolorowych zdjęć dzieci i czarno-białych fotografii przodków. W pomieszczeniu panuje duszny zapach, nad którym dominuje woń palonej kawy, jakkolwiek nie wydaje się, by któreś z Hotchkissów piło ją dzisiejszego ranka.

Oczy Bonnie są przekrwione i rozkojarzone, patrzą przez mgłę żałoby i alkoholu. George jest bardziej czujny, ale widać wyraźnie, że on także cierpi. Wyrrywam ich z letargu opowieścią, którą pragnie usłyszeć każdy rodzic po stracie dziecka: w jakiś cudowny sposób stało się tak, że dziecko w istocie nie umarło.

– Czy to jest... jakiś okrutny żart? – pyta George.

– Nie przyleciałem taki kawał drogi, panie Hotchkiss, żeby sobie żartować. Widziałem zdjęcia. Diana miała tatuaż nad lewą kostką.

– W takim razie, dlaczego nie ma tutaj policjantów, nie pytają nas o to? Pan jest jedynym, który zauważył brak tatuażu?

– Nie sądzę, by policja miała czas na odnotowanie czegoś takiego – odpowiadam. – Federalni spadli z góry i przejęli śledztwo. Zanim gliniarze zdążyli cokolwiek zdziałać, sprawę sprzątnięto im sprzed nosów.

Bonnie kręci głową.

– Co to wszystko w ogóle znaczy?

Rozkładam dłonie.

– Sam chyba nie jestem pewien... Diana była w coś wplątana. Co to było, nie wiem. Czy brała w czymś udział, czy coś wykryła, nie mam pojęcia. Wiem jedynie tyle, że osobą, która wypadła z balkonu, nie była ona.

George odwraca się z wolna do Bonnie. Żadne nie dowierza, i trudno brać im to za złe, ale nadzieja to wyjątkowo mocny środek, który może rozproszyć niedowierzanie.

– I mówi pan, że ci, którzy ją znaleźli...

– Tak, dwie kobiety z małego samochodu. Wydaje mi się, że to były figurantki. Podstawiono je, miały tam być. Dołożyły starań, żeby podejść jako pierwsze. Myślę, że zasłoniły jej twarz włosami. Bo w ogóle trudno było ją zobaczyć. Był wieczór, słabe oświetlenie, a poza tym ona spadła twarzą na ziemię... proszę wybaczyć, wiem, że to drastyczne, ale ja i tak nie byłbym w stanie jej zidentyfikować.

– Ale tamte kobiety się o to postarały – mówi George.

– Tak, postarały się. Zanim się zbliżyłem, włosy już zakrywały twarz. Ta kobieta miała ubranie Diany, jej buty, dopilnowano, żeby wyglądała tak jak ona, bez dwóch zdań. Ale ten, kto to zrobił, pominął pewien szczegół, a mianowicie jej tatuaż.

Bonnie kręci głową. Łzy zebrały jej się w oczach, ale nie wypłynęły. Ostatecznie to może być dla tych ludzi dobra wiadomość, mimo że brzmi tak dziwnie.

– Wiedzieli państwo, że Diana ufarbowała włosy miesiąc przed tym zdarzeniem?

– Nie – odpowiada Bonnie.

Kiwam głową.

– Teraz o tym myślę i stawiałbym na to, że prawdopodobnie ufarbowała je, żeby je upodobnić do włosów osoby, która spadła z balkonu.

– Mówi pan, że Diana pomogła w zamordowaniu jakiejś dziewczyny? – pyta George. – Czy to...

– Nie, proszę pana. Wątpię, czy o tym wiedziała. Ale prawda jest taka, że sam nie wiem. Proszę państwa, wiem, że to brzmi obłąkańczo. Naprawdę to rozumiem. Ale istnieje łatwy sposób, żeby rozwiązać tę zagadkę.

Patrzą na mnie oboje. Wniosek jest oczywisty, lecz ich mózgi w gruncie rzeczy teraz nie funkcjonują.

– Zażądajcie państwo, żeby władze federalne wydały ciało.

## Rozdział 34

W niespełna pół godziny wracam na lokalne lotnisko okręgu Dane. Nie mam pewności co do tego, jak czuje się rodzina Hotchkissów po moim odjeździe. Nie ma podręcznika, który uczy, jak zareagować w sytuacji, kiedy ktoś mówi do ciebie: „Słuchaj, wiesz co, możliwe, że twoja córka wcale nie umarła”. A jeżeli się mylę, to popełniłem bodaj najokrutniejszy czyn, jaki można popełnić wobec rodzica pogrążonego w żałobie: dałem fałszywą nadzieję.

Samolot mam dopiero za godzinę, więc spaceruję po brązowozłotych posadzkach, zaglądam do Wisconsin Marketplace i przez chwilę zastanawiam się, czy kupić sweter Aarona Rodgersa, bo facet jest zarabisty, nawet z wąsami, a potem ruszam do męskiej toalety, która znajduje się najbliżej mojej bramki.

W drzwiach mijam otyłego faceta, jedna kabina jest zajęta. Korzystam z pisuaru, myję ręce i popełniam błąd, spoglądając w lustro. Patrzy na mnie para ciemnych oczu, głęboko osadzonych w bladej twarzy upiora. To nie jest mój najlepszy dzień, bez dwóch zdań. Może faktycznie wyglądam jak Skeet Ulrich. Gdybym grał telewizyjnego glinę, chciałbym być twardym weteranem cwaniakiem, jednym z tych, którzy psioczą na swoje byłe żony, a po znalezieniu zwłok ofiary zbrodni rzucają błyskotliwy komentarz. Gość przegrał sprzeczkę z nożem sprężynowym. Zdaje się, że nie zjem dzisiaj spaghetti na kolację. Coś w tym stylu...

Dwie rzeczy następują w tej samej chwili: drzwi kabiny otwierają się nagle za mną, a po mojej prawej stronie ktoś wchodzi do łazienki. Dwaj mężczyźni, czarny i biały, obaj wyrośnięci i ze srogimi minami, obaj w ciemnych garniturach i białych koszulach, odwracają się do mnie równocześnie. Wyrzucam łokieć w tył i cios ląduje na twarzy białego. Mam wrażenie, że trafiłem w mięso i kość, więc pewnie zaboląło.

Gdybym miał dryg do takich spraw, sprzedałbym kopniaka czarnoskóremu, który idzie prosto na mnie.

Ale nie mam. Uderzając łokciem, straciłem równowagę i facet łapie mnie obiema rękami za sportową kurtkę szybciej, niż wypowiedziałbym słowo „zasadzka”. Przyciska mnie do ściany tuż obok suszarki do rąk, a biały w tym czasie dochodzi do siebie po moim łokciu.

– Tylko bez nerwów, tylko bez nerwów – mówię.

Wbija kolano w moje krocze i zginam się wpół. „Ból” to słowo, które możesz znaleźć w słowniku, ale nie wiesz, co znaczy, dopóki ktoś nie rąbnie cię w jaja. A ten facio wiedział, jak posłużyć się kolanem. Trafił w ogórka i fasolki.

Ogórki i fasolki! Ogórki i fasolki!

Biały łapie mnie za włosy i prostuje. Opuszczam ręce, odzywa się prymitywny odruch ratowania tego, co zostało z klejnotów rodzinnych. Usiłuję złapać oddech.

– To ostatnie ostrzeżenie, Benjaminie – odzywa się czarny, poprawiając krawat przed lustrem. – Przestań wypytywać o Dianę Hotchkiss.

Jej nazwisko wyrywa mnie z otępienia, przypomina, dlaczego robię to, co robię.

– Nie boję się Jonathana Liu – wykrztuszam.

– Jonathana Liu? – Czarny chichocze, a potem patrzy w lustro na kolegę, którego twarz pokryta jest krwią. – Wielu rzeczy nie wiesz o Jonathanie Liu.

Biały zadaje cios z tyłu, trafia mnie mocno w nerkę i osuwam się na ziemię. Ból wystrzeliwuje od mojego krocza, pleców i głowy, synapsy płoną ogniem we wszystkich kierunkach. Mam mroczki przed oczami i walczę o zachowanie przytomności. Nie jestem pewien, czy jeszcze kiedykolwiek zdołam oddać mocz.

Czarny przykuca obok mnie.

– Wrócisz do stolicy i zadzwonisz do rodziny Hotchkissów. Powiesz im, że się grubo pomyliłeś, że bardzo ci przykro, ale jesteś przekonany, że Diana nie żyje, i więcej nie będziesz im truł głowy.

Oni wiedzą o wszystkim, o czym rozmawialiśmy. Kimkolwiek są, mają nieograniczone środki.

– A dlaczego... miałbym... to zrobić? – wyduszam z siebie.

– Bo jeśli nie, Benjaminie, oboje zginą. – Mężczyzna wstaje, czubki jego wyglansowanych półbutów są o centymetry od mojego nosa. – Nie dostrzegasz pewnej prawidłowości, Ben? Każdy, z kim rozmawiasz, kończy jako trup. To tak, jakbyś sam naciskał spust.

Ci dwaj skopali mi jaja i rąbnęli znieńacka w plecy. Ale w porównaniu z tym, co przytrafiało mi się w ciągu tygodnia, to jest jak skubnięcie w policzek.

Puenta: nie przyszli tutaj, żeby mnie zabić. To nie ci sami, którzy seriami z pistoletów maszynowych obrócili w perzynę moją chatę nad jeziorem.

Kim więc są?

Próbuję się poruszyć, ale ból włącza się przy najmniejszym drgnięciu. Leżę zwinięty w pozycji embrionalnej na lepkiej od brudu posadzce toalety. Przynajmniej nie muszę pytać, czy zdołam się znowu wysikać. Na moich spodniach powiększa się ciepła plama.

– Ja nie... – zaczynam, ale nawet mówić jest mi trudno, a poza tym tamci już sobie poszli. W łazience jestem ja i nikt oprócz mnie. – Ja nie... przestanę – kończę.

## Rozdział 35

– George, musi mi pan zaufać – mówię do telefonu komórkowego, idąc krytym parkingiem nieopodal lotniska Reagana.

– Zaufać ci? – ryczy w aparacie George Hotchkiss. – Mówisz mi, że moja córka żyje, a teraz każesz mi o wszystkim zapomnieć.

No, mniej więcej do tego się to sprowadza.

– Tylko chwilowo, George. Proszę dać mi czas, żebym to rozgryzł.

– Dlaczego, u diabła, miałbym na to iść? Czemu mam czekać choćby sekundę?

– Ponieważ pańska żona straciła już syna, co najmniej, a może także i córkę. Proszę na domiar wszystkiego nie robić z niej wdowy.

To go jakby ucisza.

– Proszę tylko o parę dni, George. Chociaż tyle proszę mi obiecać. Później będzie pan mógł narobić tyle hałasu, ile pan zechce.

Wyłączam stuknięciem komórkę po tym, jak dostaję od ojca Diany obietnicę, że przez dwa dni będzie siedział cicho. Nie wiem, czy te typy w łazience blefowały, ale ktoś bierze tę sprawę bardzo poważnie, a ja nie chcę mieć na sumieniu rodziców Diany, bez względu na to, jakimi uczuciami ich darzyła.

Wyjmuję kluczyki i zaczynam wsiadać na motor, kiedy słyszę pisk opon i widzę samochód pędzący po rampie z wyższego poziomu parkingu. Czarna długaśna limuzyna zatrzymuje się tuż przede mną.

Wyprężam się. Jestem jak plansza strzelnicza. Stoję na parkingu między samochodami po obu stronach, a limuzyna odcina mi jedyną drogę ucieczki.

Nie mam dobrych opcji. A nawet czasu na to, żeby wpaść w panikę.

Przyciemnione okno po stronie pasażera sunie w dół.  
Spogląda na mnie przystojny, elegancki Azjata.

– No, no – mruczę.

– Szukał mnie pan – zwraca się do mnie Jonathan Liu.



## Rozdział 36

Na tylnej kanapie limuzyny naprzeciwko mnie siedzą osławiony Jonathan Liu oraz krępy biały facet z bronią na kolanach, które wyglądają potężnie. Nie jak kolana zabijaki z baru, lecz żołnierza sił specjalnych.

Z bliska Jonathan Liu prezentuje się dokładnie tak, jak należałoby oczekiwać: schludnie ubrany, gładki lobbysta. Jednak za tą fasadą coś się kryje: ręce mu drżą, oczy pierzchają na wszystkie strony. Jonathan Liu się boi.

– Zabije mnie pan? – pytam i jeśli się zastanowić, to jest to głupie pytanie.

Liu przypatruje mi się chwilę.

– Gdybym chciał pana zabić – mówi – to już by pan nie żył.

Całkiem fajna kwestia. Słyszysz takie w filmach. No i jest przekonująca. Ale gdybym chciał kogoś ukatrupić, a nie chciałbym, żeby delikwent stawiał opór podczas jazdy w nieustalone miejsce, właśnie to bym mu powiedział. Gdybym chciał pana zabić, to już by pan nie żył. Facet się relaksuje, a ja wiozę go na wysypisko śmieci i prostuję: Żartowałem! Po czym faszeruję mu czaszkę ołowiem.

(Znaczy, gdybym był typem gościa, który mógłby kogoś zastrzelić).

– Więc może pana kolega odłożyłby broń? – sugeruję.

Liu kręci głową.

– To dla pewności, że kiedy skończymy rozmawiać, pan wysiądzie.

– Przykro mi druzgotać pańskie ego, ale to nie jest pierwszy raz, kiedy ktoś mierzy do mnie z pistoletu. – Kwestia Samuela L. Jacksona z *Pulp Fiction*. Zawsze mi się podobała, nigdy nie myślałem, że ją wykorzystam. Nigdy nie pomyślałem, że będzie pasowała do sytuacji.

Jonathan Liu obserwuje mnie przez chwilę.

– Słyszałem, że potrafi pan być uparty. Nieugięty, takie słowo usłyszałem.

Spoglądam to na Brutusa, to na Liu.

– Usłyszał je pan od... Diany?

Kiwa głową w milczeniu.

– Jak ona się miewa, à propos? – Jakbym pytał o zdrowie jego rodziców.

Moja uwaga nie od razu do niego dociera.

– Trzeba być popapranym, żeby coś takiego mówić.

– Dajże spokój, Jonathan. Nie urodziłem się wczoraj.

– Nie... nie rozumiem tej aluzji.

– A teraz jesteś cudzoziemcem, który nie za dobrze łapie język? Daj sobie siana, Jonathan. Mówisz po angielsku lepiej niż ja.

Nachyla się z łokciami na kolanach.

– Nie sugerujesz chyba, że Diana żyje.

Facet jest zawodowym lobbystą, więc charakterystyka jego profesji sprowadza się do dwóch słów: artystyczna ściema. Patrząc ci w oczy, przyrzeknie, że deregulacja nie doprowadzi do nadużyć korporacyjnych, że koncerty z listy Fortune 500 potrzebują dotacji rządowych, żeby mogły zapewnić ludziom miejsca pracy, nawet jeśli forsą idzie na złote spadochrony dla generalnych menedżerów. Jak to mówią, nasika ci na nogę i oznajmi, że wdepnąłeś w kałużę.

– Byłaby to nowina dla amerykańskich władz – mówi. – Słyszałem nawet, że prezydent poświęcił jej dziesięciosekundowy pean w czasie swojej konferencji.

– A dlaczego to zrobił? – podchwytuję. – Relacjonowałem ponad sto prezydenckich briefingów i jeśli rzecz nie dotyczyła zgonu światowego przywódcy lub innego demokratycznie wybranego dygnitarza, prezydent nigdy czegoś takiego nie zrobił. Z powodu urzędniczki, jakich wiele? Dlaczego to takie ważne dla władz federalnych, dlaczego chcą, żebyśmy wierzyli, że Diana nie żyje?

Liu nie zna odpowiedzi. W kalendarzu na dziś ma to spotkanie, więc najwidoczniej chce mi coś powiedzieć. A ja, czemu nie, mogę go wysłuchać.

Limuzyna dojeżdża do szlabanu i wyjeżdżamy z parkingu. Szofer, anonim usadowiony za przyciemnioną szybą, nie kieruje

się do autostrady, lecz zatrzymuje samochód.

Jonathan Liu zaciera dłonie i zwilża usta; takie znaki, wskazówki i tropy świadczą, że ktoś wziął na siebie rolę gniewu Bożego. Dobry dziennikarz je rozpoznaje, wszystkie.

– Stawiasz niewłaściwe pytania – odzywa się wreszcie.

– A jakie powinienem postawić, Jonathan? Mam ich do ciebie sto.

– Słyszałeś o operacji Delano?

Nie słyszałem i wyraz mojej twarzy zapewne o tym świadczy.

– To tam powinienś kopać, panie Casper.

– Bądź pomocny – mówię. – Powiedz, gdzie mam kopać.

Obdarza mnie uśmiechem i w każdy inny dzień uznałbym to za oznakę ustępstwa. Jednak teraz z jego czoła płyną strużki potu, widać, że facet ze sobą walczy.

– Delano – powtarzam. – Drugie imię Roosevelta. Sprawa dotyczy prezydenta? Powinienem kopać w Białym Domu?

Jonathan Liu spogląda mi prosto w oczy. Wyraz jego twarzy nie ulega zmianie, ale sprostowania też nie słyszę.

– Teraz już skończyliśmy. Wsiadaj – warczy.

– Nie – odpowiadam.

– Tak. Posłuchaj mnie, panie Casper. Przysporzyłeś mi masę kłopotów, przychodząc do biura i oskarżając mnie o różne rzeczy. Może nawet tego nie przetrwam.

– Chwilunia, Jonathan. Bo się zaraz popłaczę. Ostrzelano mnie z pistoletów maszynowych, musiałem lądować awaryjnie awionetką, ktoś zamordował brata Diany, a ja nie wiem, co się z nią stało. I jestem całkiem pewny, że masz z tym wszystkim coś wspólnego...

– Nie mam. Nawet nie wiedziałem, że miałeś takie perypetie. Wiedziałem o Dianie i jej bracie. Nie o tobie. Ale teraz, kiedy już wiem, panie Casper, chcę bardziej niż dotąd, żebyś wyniósł się z mojego auta.

– Taak? A to czemu?

Ochroniarz Brutus odbezpiecza broń. Jeszcze do mnie nie celuje, ale już za chwilę...

– Bo jesteś bliżej, niż ci się wydaje – oznajmia Jonathan Liu.

## Rozdział 37

Wracam triumphem do stolicy, wybierając nietypową trasę prowadzącą do K Street na wypadek, gdyby ktoś mnie śledził. Jest gorąco i tak jasno, że trzeba mrużyć oczy. Trudniej jest wypatrzyć tych, którzy cię obserwują, śledzą, polują na ciebie.

Z odrobiną ulgi i pociechy przeciskam się obrotowymi drzwiami na parterze biura „Capital Beat”. Kakofonia ulicznego zgiełku znika momentalnie i słychać stłumioną krzątaninę newsroomu. Redakcja jest mała, zajmuje tylko parter czterokondygnacyjnej kamienicy, którą odziedziczyłem, ale upakowałem tu labirynt boksów; wystarczy, by pomieścić personel napędzający firmę.

Przy biurku recepcji wita mnie twarz, której nie znam. To musi być nowa recepcjonistka, jeszcze się z nią nie spotkałem.

– Czym mogę panu służyć? – pyta grzecznie.

Zza ścianki labiryntu wychyla się głowa Shari, kierowniczkę graficznej działu reklamy, który w gwarze dziennikarskiej nazywamy „lipą”, wyszczerzona w uśmiechu.

– Hej! – odzywa się głośniejsz niż to konieczne. – Patrzcie, kto to nas zaszczycił!

Z pięciu innych boksów wyskakują główki i wykrzykują słowa powitania.

– Wyglądacie jak pieski preriowe – odgryzam się.

– To taka sztuczka, właśnie ją dopracowujemy – mówi Shari.

– Kiedyś będziemy tak dobrzy, że zaczaiemy się na trawniku przed Białym Domem i wtopimy w tamtejszą faunę. – Rozgląda się ukradkiem, wydaje parę odgłosów przypominających gryzonia, a potem znika za ścianką.

Wzdycham. Dobrze tu znów być.

Nie publikujemy niczego na papierze, a newsroom i tak pachnie drukiem. Dostajemy wszystkie najważniejsze gazety i dzień w dzień ktoś czyta je od deski do deski. A zapach tuszu i tak jest delikatny w porównaniu ze smrodem podzespołów

komputerowych. W powietrzu miesza się więc woń rozgrzanego plastiku, kurzu i wilgotnych gazet. Moim zdaniem tak pachnie ciężka, uczciwa robota.

W redakcji panuje względna cisza. Większość artykułów dostarczanych jest obecnie na odległość. Paru pracowników, których mijam po drodze do gabinetu, wygląda z grubsza tak, jak wygląda typowy stołeczny dziennikarz. Szczupli i wygłodniali, niewyspani i zestresowani. Dżinsy, mokasyny, kolorystyczny chaos, zero wyczucia smaku. Wypisz, wymaluj – ja.

Newsroom podzielony jest na sekcje. Redaktorzy działów – polityki, plotkarskiego, opinii, felietonu i fotografii – mają duże boksy otoczone wysokimi ściankami. Obok rozmieszczone są malutkie boksy reporterów, tak małe, że kiedy się siedzi, można sięgnąć rękami do obu ścian. Zazwyczaj oni i tak są w terenie i zbierają materiały. Po kiego licha im komfort pracy w biurze.

Redaktorzy wydań siedzą wszyscy w rzędzie pod lewą ścianą sali, na ich olbrzymich monitorach wyświetlane są wielką czcionką materiały, które niebawem mają trafić do publikacji. Dział sprzedaży – jedyny, w którym przyjmuje się tutaj wizyty gości – jest najokazalszy i najwygodniejszy. Po prawej stronie od wejścia, przed dobrze wyposażonymi boksami z dużymi ekranami, na których emitowane są reklamy internetowe, znajdują się recepcja i poczekalnia.

Dochodzę do pokaźnego boksu Ashley Brook Clark, która wraz ze mną kieruje działem polityki i informacji z Białego Domu; wsuwam głowę. Zadzwoiłem wcześniej i zadałem ważne pytanie.

Okręca się na krześle w moją stronę.

– Nigdy nie słyszałam – mówi. – Operacja Delano, tak powiedziałeś?

– Zgadza się.

– Nic mi to nie mówi. Chcesz, żebym zarzuciła sieć?

– Nie jestem pewny. Bo wolałbym, żebyś pozostała w jednym kawałku.

– To aż taki kaliber? – pyta, odsuwając się.

Stukam w ściankę boksu.

– Później pogadamy.

Mój gabinet mieści się na samym końcu, jest jedynym pomieszczeniem z prawdziwymi ścianami, chociaż są z przezroczystego szkła, więc i tak nie dają poczucia intymności. Na drzwiach widnieje napis BENJAMIN CASPER, REDAKTOR. Nie potrzebuję tytułu z przymiotnikiem „główny” bądź „naczelnny”. „Redaktor” to ktoś, kto zarabia na życie. Naturalnie, od kiedy Diana... Jeden z przywilejów właściciela firmy polega na tym, że mogę liczyć, iż Ashley Brook pokieruje nią pod moją nieobecność. Ten przywilej będzie mi teraz potrzebny.

Wszyscy chcą ze mną rozmawiać o wypadku samolotu – telefon eksplodował od maili i SMS-ów po tym, jak wyciekła informacja – ale się opędzam, bo jestem zmęczony, a poza tym to zaledwie ułamek tego, co działo się w moim życiu przez miniony tydzień.

Zadzwoiłem wcześniej i poleciłem sekretarce, żeby kupiła mi koszule, spodnie, bieliznę i przybory toaletowe na rachunek firmy, rzecz jasna, czyli mój; dzięki temu pozostanę mobilny. Biorę zestaw i kieruję się do łazienki.

Kiedy zamieniałem ten lokal w newsroom, kazałem wyburzyć ściany w obu łazienkach i umieścić tam prysznic; przystosowałem je w ten sposób do stylu życia pracowników, którzy mają nieregularne dyżury. Teraz sam z tego skorzystam, bo potrzebuję gorącej kąpieli. Umyję się, przebiorę i prysnę w cholerę z biura, zanim mój prześladowca znajdzie mnie tutaj i wysadzi lokal. Jestem w tej chwili radioaktywny.

Po toalecie czuję się lepiej, czuję się odświeżony, i mam diabelną ochotę położyć się w gabinecie i kimnąć.

Pisk dzwonka w interkomie. To nowa recepcjonistka. Poprzednia by się odwróciła i ryknęła na mnie z daleka.

Nie jestem pewien, czy pamiętam, jak się obsługuje maszynę, ale wciskam klawisz.

– Tak?

– Pan Casper?

A kto niby?

– Tak.

– Niejaka Anne Brennan chce się z panem widzieć – oznajmia recepcjonistka. – Mówi, że to pilne.

Anne Brennan to najlepsza koleżanka Diany.

– Proszę ją tu skierować.

## Rozdział 38

Witam Anne Brennan w drzwiach gabinetu i wskazuję jej krzesło. Zdaje mi się, że chętnie korzysta z zaproszenia. Chyba jest zmęczona i nie w sosie; rozkojarzona, powiedziałaaby Diana.

Nie znam dobrze Anne. Spotkałem się z nią parę razy, ale była jedyną osobą poza Randym, o której Diana mówiła jak o kimś bliskim. Mam więc wrażenie, że znam ją pośrednio przez Dianę.

Jest ładną drobną kobietką z kręconymi brązowymi włosami do ramion; atrakcyjną w ciepły, niedeprymujący sposób. Mary Ann i rudowłosa Diana. Mnie w takim układzie przypadłaby rola Gilligana.

– Sama nie wiem, dlaczego tu przyszłam – zaczyna. – I nie wiem, dokąd mogłabym pójść. Diana tak bardzo ci ufała.

– Więc mów – odpowiadam. Rozważam, co mogę jej powiedzieć. Ona powinna powiedzieć coś pierwsza.

– No bo najpierw Diana znika, a teraz przychodzą różni ludzie i mnie o nią wypytują.

– Jacy ludzie?

– Z CIA. Pytają, co wiem o Dianie. Dlaczego się zabiła. Czy była z kimś uczuciowo związana. Takie tam.

– I co im powiedziałaś?

Przyznaję, mam cichą nadzieję, że odpowie: Z tobą, Ben. Była związana uczuciowo z tobą.

– Ja nie... Ja... – Anne wstaje i zaczyna chodzić. Odwiedziny federalnych nią wstrząsnęły. Prawdziwi z nich spece. – Nie wiedziałam, co powiedzieć. Bo nie chciałam mówić, wiesz? Chciałam być dyskretna. Ale oni chyba wiedzieli, że coś ukrywam. Zaczęli mnie straszyć. Powiedzieli, że zajrzą do moich zeznań podatkowych za ostatnie dziesięć lat i na pewno coś wygrzebią. „Zawsze się coś znajdzie”, mówili. Powiedzieli, że mogę stracić dom, firmę cateringową i...

– Anne. Anne. W porządku. Będzie dobrze, masz moje słowo.

Wybucha płaczem, chowa twarz w dłoniach, a ja otaczam ją ramieniem i pomagam usiąść. Z malutkiej lodówki za biurkiem wydaję wodę i podaję jej oszronioną butelkę.

Anne uspokaja się po dłuższej chwili, bierze parę łyków wody i parę głębokich oddechów.

– To naprawdę krępujące, tak się rozkleić.

– Nie masz powodu czuć się skrępowana. Wyprowadzili cię z równowagi, to ich specjalność. – Kucam obok niej. – Anne, oni ci nic nie zrobią. Chodziło im tylko o to, żebyś niczego nie ukrywała. Zataiłaś coś?

Milczy. Jej milczenie jest w istocie odpowiedzią.

– Nie powiedziałam o... O jej przyjacielu.

– O Jonathanie Liu.

Anne spogląda na mnie.

– O nim wiedzieli.

Wzdrygam się.

– Był ktoś jeszcze?

Odwraca wzrok. Powoli wciąga i wydycha powietrze.

– Rosjanin – mówi. – Nie powiedziałam im o tym Rosjaninie.



## Rozdział 39

– Ma na imię Aleks – kontynuuje opowieść. – Raz tylko go spotkałam. Wpadłam na Dianę i na niego, wyglądali jak... bardzo blisko związana para. Ale parę tygodni później zobaczyłam w „Washington Post” artykuł o nim, rozpoznałam zdjęcie. Nazywa się Aleksander Kutuzow. Jest właścicielem klubu piłkarskiego w Anglii i sieci księgarni specjalistycznych, między innymi tutaj, przy Piątej Ulicy. Byłam tam nawet. Nazywa się AK Kolekcjonerstwo. Facet zarobił w Rosji miliardy na ropie, lata po całym świecie, takie tam.

Dowiaduję się ważnych rzeczy dotyczących wielu kwestii, a mimo to nie potrafię okiełznać niechęci i zazdrości. Diana miała dwóch kochasiów, Jonathana Liu i tego Kutuzowa, a ja nic a nic o tym nie wiedziałam? Musiała mnie uważać za pieska, który za nią biega i cieszy się z najmniejszego kąska uwagi, który mu spadnie. Kpiła sobie ze mnie.

Rzeczywistość to podła suka.

– No dobra, Aleks Kutuzow – przerywam jej. – Nie wspomniałaś o nim federalniakom.

Anne kręci głową.

– Nie wiem dlaczego, ale zaskoczyła mnie reakcja Diany, kiedy poruszyłam ten temat. To było mniej więcej tak: Ty, słuchaj, widziałam ten artykuł w „Post”, co jest z tym przystojnym miliarderm? A Diana struchlała. Kazała mi przyrzec, że nikomu o nim nie pisnę. Nigdy. Więc dotrzymałam słowa. – Dotyka mojej dłoni. – Dla ciebie robię wyjątek, rozumiesz?

– Tak jest.

– Diana mówiła, że może ci ufać. Że jesteś jedynym mężczyzną, któremu może zaufać.

No dobra, byłem zaufanym pieskiem. Ale jednak pieskiem.

– Nie wiem, do kogo innego mogę się zwrócić, Ben. Nie wiem, co robić.

Basta. Ja z kolei nie wiem, co sądzić o Dianie, ale postanawiam, że nie pozwolę, by coś złego spotkało Anne. Dość już niewinnych przypadkowych ofiar.

Kładę dłoń na jej dłoni.

– Zajmę się tym. Rozpracuję tę sprawę. Powiem ci, w jaki sposób.

Moja deklaracja ją uspokaja. Chciałbym, żeby i na mnie tak podziałała.

Dowiem się dziś wieczór.

## Rozdział 40

Północ. Człowiek bez domu i dachu nad głową, melinujący się po kawiarniach i marketach, kąpiący się w pracy, z ubraniami w tobołku, obawiający się użyć komórki i własnych kart kredytowych, stojący w odległości połowy boiska piłkarskiego od olbrzymiego domu w stylu Tudorów w sennym osiedlu mieszkalnym w północno-zachodnim kwartale miasta, którego mieszkańcy nie wiedzą, co to lęk o własne życie.

Podchodzę do domu od frontu, ale wolno, ostrożnie, z rękami w kieszeniach. Nie mam właściwie pretekstu, który usprawiedliwiłaby moją obecność tutaj. Facet taki jak ja nie ma powodu, by spacerować ulicami Forest Hills, ja tylko zabijam tu wieczorny czas.

Ale skoro już mi na to przyszło, muszę się poruszać jak ktoś, kto nie boi się, że go zobaczą. Nie pierwszy raz tak robię. Ładowałem się pod byle pretekstem do gmachów publicznych, na bankiety i w najrozmaitsze miejsca, szukałem tematu do artykułu albo okazji, by zadać komuś trudne pytanie, kiedy nie ma przy nim dobrze opłacanego asystenta, który podrzuci mi gotową odpowiedź.

No dobra, nigdy nie włamałem się do domu. To jest novum. Wszelako człek zdesperowany ima się desperackich sposobów, jak powiadają.

Film *W akcie desperacji* oparty był na fajnym założeniu fabularnym. Oto gliniarz potrzebuje dawcy szpiku kostnego dla syna, a jedynym, który się kwalifikuje, jest morderca skazaniec, który przejazd do szpitala wykorzystuje do tego, by zwiać. Trudno nie pokochać filmu z Andym Garcia i Michaelem Keatonem.

Ben, stop. Otrząśnij się.

Podchodzę do podjazdu i moje serce lekko przyspiesza. Im bardziej zbliżam się do celu, tym trudniej mi będzie zawrócić. Idę pomału podjazdem i docieram na tyły budynku.

Mój ulubiony film z Garcia to *Rzeczy, które robisz w Denver, będąc martwym*. Bombowa obsada. Keaton zaimponował mi w *Batmanie*, niewysoki gość na taką rolę, ale te jego oczy. *Wzgórza Pacyfiku* to był odjazd, ale była w nim scena z karaluchami, a ja nie cierpię robali.

Dochodzę na tyły domu i wygląda, jakby działka miała hektar powierzchni. W internecie znalazłem opis, wspomniano w nim o „spektakularnej posiadłości”. Kiedy na działkę, na której stoi twój dom, mówią posiadłość, to wiesz, że jesteś bogaty. Skoro masz posiadłość, to zapewne i starzejącego się lokaja z suchym brytyjskim akcentem i nazwiskiem w rodzaju Hughes albo Jeeves.

Właściwie to tego nie uwzględniłem. W domu może przebywać więcej niż jedna osoba.

Ciemno jest, raczej bym się tego nie spodziewał. Pewnie oznacza to, że założono alarm antywłamaniowy.

Alarm, chmara ludzi w środku. Co jeszcze mnie czeka?

Rozglądam się. Piętro, ładnie obudowany taras. W internetowym opisie posesji była także mowa o ozdobnym wyposażeniu – i nie dziwota.

Jonathan Liu wybulił za to 4,9 miliona dolarów jedenaście miesięcy temu. Wzbogacił się jako przedstawiciel chińskich firm. Karierę zrobił, grając na obie strony. Dobrze mu się żyło.

Ten wieczór nie będzie dla niego dobry. Zagramy w pytania i odpowiedzi, ale tym razem na moich warunkach.

## Rozdział 41

Próbuję otworzyć tylne drzwi. Są zamknięte na klucz.

Owijam pięść koszulą i wybijam szybkę koło klamki. Cofam się. Stłuczenie szkła może włączyć system alarmowy.

Nic. Nic oprócz dudnienia mojego pulsu.

Wsuwam rękę przez otwór po szybie i otwieram drzwi. Ich otwarcie uruchamia większość alarmów domowych.

Poza tym istnieje coś, co nazywa się cichy alarm, choć nigdy nie widziałem w tym logiki. Podejmuję więc skalkulowane ryzyko.

Drzwi się otwierają, a ja wstrzymuję oddech. Nie słysząc żadnego dźwięku, wycia ani trąbienia. Z tego, co widzę, Jonathan Liu nie włączył alarmu.

Wnętrze jest ogromne, zgodnie z opisem umieszczonym w ogłoszeniu internetowym. Skradam się na palcach do kuchni, która wygląda jak z marzeń: idealna do przyjmowania gości, z blatami ze steatytu i specjalnie zaprojektowanymi szafkami; mijam urokliwą malutką łazienkę z umywalką na nodze z importowanego marmuru – wszystko tutaj jest z importu – i docieram do salonu ze ścianami w regałach z książkami, dużymi ozdobnymi oknami, skośnym sufitem oraz kominkiem z marmurowym gzymsem, zapewne także importowanym, choć nie wspomniano o nim w ogłoszeniu.

Dochodzę do schodów. Każdy stopień pokonuję ostrożnie, pomалу przenosząc ciężar z nogi na nogę. Stać mnie na to, że stracę dwie lub trzy minuty. Ale nie na to, żeby Jonathan Liu usłyszał skrzypnięcie schodów, obudził się i sięgnął po pistolet leżący na nocnym stoliku...

Ben, zatrzymaj się.

Sam nie wierzę, że to robię. Co ja wyprawiam? No bo co, założę mu pętlę na szyję?

Stawiam następny krok. I następny. Odbiorę mu poczucie komfortu, oto co zrobię. Zaskoczę go i przesłucham. Racja. To

może zadziałać.

Dochodzę do szczytu schodów. Mogę skrócić w obie strony, ale główna sypialnia jest, zdaje się, po prawej.

Nagle wyczuwam jakiś zapach. Nie potrafię go zidentyfikować, ale włączają się reminiscencje sprzed lat.

Jestem ośmioletnim chłopcem. Wróciłem z domu, lecz nie wołam, że już jestem. Nie wiem dlaczego, ale zamiast skierować się do kuchni, idę od razu na górę. Wchodzę do głównej sypialni, pokoju matki i ojca, i dostrzegam jej włosy rozsypane na podłodze w kącie łazienki, który jest widoczny z tego miejsca.

I wtedy widzę, jak ojciec wychodzi z łazienki w białej podkoszulce, trzyma worek na śmieci czymś wypełniony.

Benjaminie, mówi. Wcześniej wróciłeś...

Moje stopy dalej się poruszają, mimo że ojciec próbuje mi zasłonić widok na łazienkę. Widzę, że ona leży rozciągnięta, od jej głowy odchodzi kałuża krwi, na posadzce pół metra, może metr od niej leży pistolet.

Nie! Nie! Nie! Powtarzam to tyle razy, że tracę rachubę. Wtedy ojciec łapie mnie i trzyma za barki tak, żeby patrzeć mi prosto w oczy. Zdarzył się okropny wypadek, mówi. Dźwiga mnie, wynosi z pokoju i zamyka w moim. Krzyczę, proszę i walę pięściami w drzwi, tracę oddech.

Zbliżając się do sypialni Jonathana Liu, zwalniam krok. Serce mi łomocze, brzmi jak gong między moimi uszami.

Drzwi się otwierają. Ojciec wypuszcza mnie, chwytając mocno i prowadzi do głównej sypialni. Ben, zdarzył się okropny wypadek, jak ci wcześniej powiedziałem. Przykro mi, że to zobaczyłeś. Ale pewnie i tak musisz.

Nie wypuszczając mnie z objęć, pozwala mi zerknąć jeszcze raz. W oczach matki nie ma życia, jej usta ułożyły się w łagodną O, ciało spoczywa na posadzce obok kałuży krwi. Ta sama scena, którą ujrzałem po wejściu.

Ale teraz pistolet jest w jej dłoni.

Jonathan Liu ma w rogu monumentalnego domiska ładne miłosne gniazdko. Spoczywa w nim teraz z brodą opartą na piersi i przestrzeloną lewą częścią głowy. W bezwładnej prawej dłoni tkwi pistolet.

Zabójstwo można upozorować na samobójstwo i odwrotnie: można się zabić tak, żeby wyglądało to jak morderstwo.

Nie ma wątpliwości, że gdzieś leży list napisany nie jego charakterem pisma. Nie znam wszystkich dowodów, które pozostały. Nie wiem, jakich informacji Jonathan Liu mógł mi udzielić.

Wiem tylko tyle, że muszę się stąd wynosić w diabły.  
A tymczasem wchodzę do środka.

## Rozdział 42

Krocę z wolna po podłodze z twardego egzotycznego drewna w stronę sypialni Jonathana Liu; serce podchodzi mi do gardła, tętno odbija się echem w całym pomieszczeniu, ręce i nogi mi się trzęsą. Sypialnia jest wysprzątana. Orientalne meble – dwa krzesła w wykuszowym oknie, komoda – stoją na swoich miejscach. Dywanik spoczywa równo obok wielkiej luksusowej alkowy. Łoże jest posłane, pod narzutą widać bordową pościel. Brakuje tylko herbu mennicy na poduszce.

Budowę Mennicy Stanów Zjednoczonych zatwierdzono ustawą przyjętą przez Kongres w 1792 roku, której orędownikiem był Alexander Hamilton. Gmach mennicy był pierwszym obiektem federalnym wzniesionym pod rządami Konstytucji. Czy wiecie, że ma własną służbę policyjną...

Dość. Oddychaj, Jonathanie.

Wchodzę ostrożnie do głównej sypialni, którą można by stawiać za wzór czystości i porządku. Białe ręczniki wiszą w idealnej symetrii, tak jakby powiesił je psychotyczny mąż w filmie *Sypiając z wrogiem*. Podwójna toaletka ziele pustką, jest w niej tylko elektryczna szczoteczka do zębów i buteleczka witamin z chińską etykietką.

Kieruję się znów do Jonathana Liu, nie skupiając się na nim, lecz na otoczeniu. Pistolet spoczywa na jego kolanach. Nie odważę się go dotknąć.

Chcesz spędzić chwilę z matką, Benjaminie? Zanim przyjedzie policja i karetka? Jeśli tak, to idź teraz.

Czy mogę... jej dotknąć albo pocałować, albo...

To twoja matka, Benjaminie. Wolno ci zrobić, co chcesz. Jeśli chcesz ją przytulić ostatni raz, pożegnać się i powiedzieć, że bardzo ją kochasz, droga wolna, synu.

Ale wiesz co, synu? Pamiętaj, żeby najpierw wyjąć jej z dłoni pistolet. Wsuń go i połóż obok niej. Możesz włożyć go jej z powrotem do ręki, kiedy skończysz.



Stop, Ben. To ci... nie służy. Ojca tutaj nie ma; tamto dawno minęło.

Krew i masa mózgowa rozprysnięte na ścianie na lewo od głowy Jonathana Liu, nad ciemną kałużą, która powstała na podłodze. Pocisk ugrzązł tuż pod miejscem, w którym znajdowałaby się jego głowa, gdyby była wyprostowana.

Statystyki pokazują, że w przypadku niespełna dziesięciu procent samobójstw z raną wlotową w skroni droga pocisku skierowana jest ku dołowi.

Patrząc na twarz Jonathana. Oczy są ocienione i nieobecne. Usta lekko rozchylone. Skóra już zaczęła się okrywać woskową bladeścią.

Kiedy John Wilkes Booth strzelił Lincolnowi w tył głowy, zakrzyknął: *Sic semper tyrannis*. Co powiedzieli tobie, Jonathanie Liu, zanim strzelili ci w skroń?

No dalejże, Ben. Operacja Delano.

Zaglądam pod łóżko. Wchodzę do garderoby i wysuwam szuflady, osłaniając koszulą opuszki palców. Patrząc za ubrania, buty, swetry...

Nic. Nic nie ma w garderobie, nic w...

Chwileczkę.

Na małym biurku wciśniętym w róg sypialni od strony wschodniej stoi laptop, na ekranie wyświetla się sześcianik, który orbituje i odbija się od krawędzi, jakby nic nie ważył. Podchodzę bliżej. To może być to. Jeśli Jonathan Liu ma jakieś informacje o operacji Delano, to pewnie są w jego komputerze.

Stukam środkowym palcem w myszkę i sześcianik znika, ukazuje się pod nim następujący tekst:

Nie mogę żyć ze świadomością tego, co spotkało Dianę. Zasługiwała na lepszy los, a oto moja sprawiedliwa kara.

Odczytuję wiadomość kilka razy. Ujawnia bardzo mało. Nie mówi, czy to on zabił Dianę, czy zabiła się sama, ale w jakiś sposób Jonathan Liu poczuwał się do odpowiedzialności. Ten, kto ją napisał, chciał zostawić wszystkie opcje otwarte.

Ale to niemożliwe, by Liu napisał ją sam. Autorowi chodziło o to, by stworzyć wrażenie skruchy. Jonathan Liu, kiedy z nim rozmawiałem, nie żałował. Był najzwyczajniej w świecie przestraszony.

Pisk opon na zewnątrz. Nie sędzę, by gdzieś blisko, ale nie ma sensu czekać po to, żeby się tego dowiedzieć. Odchodzę od komputera i jeszcze raz omiatam wzrokiem pomieszczenie. Śladów walki brak, jest natomiast list pożegnalny – nie musi pasować do charakteru pisma Jonathana Liu, bo wystukano go na klawiaturze.

Ktoś chce, żeby śmierć Jonathana Liu wyglądała na samobójczą.

Albo jak zainscenizowane samobójstwo.

To tłumaczy, dlaczego tak łatwo było mi się włamać.

I oznacza, że jestem w większych tarapatach, niż sądziłem.

Wychodzę z pokoju, potem się zatrzymuję. Odłączam od laptopa Jonathana Liu myszkę i przewód zasilania i zabieram komputer ze sobą.

## Rozdział 43

Biegnę podwórkami i uliczkami, nie zwalням tempa, nie dociekam, czy ktoś mnie widzi, czy moje poczynania mogą wzbudzić podejrzliwość; po prostu pędzę do mojego triumpha z laptopem Jonathana Liu pod pachą.

P: Czy zdołaliście ustalić sposób, w jaki zginęła denatka, pani Casper?

O: Denatka otrzymała śmiertelny postrzał w głowę. Dowody wskazują, że było to albo zabójstwo, albo samobójstwo, ale żadnej z tych możliwości nie wykluczają.

P: Nie możecie przeprowadzić oględzin miejsca śmierci oraz zwłok i stwierdzić, w jaki sposób nastąpił zgon?

O: Przeważnie możemy. Badanie miejsca zbrodni, autopsja, toksykologia i balistyka przeważnie wystarczają do tego, by ustalić, w jaki sposób osoba zginęła. Jednak czasem policyjnego patologa można zmanipulować, oszukać. Dowody można sfalszować, żeby ukryć prawdę.

P: Zabójstwo można upozorować na samobójstwo i odwrotnie: można się zabić tak, żeby wyglądało to jak morderstwo.

O: Otóż to.

Dochodzę do triumpha, który stoi osiemset metrów dalej przy ulicy Albemarle. Pakuję laptop do sakwy z tyłu siodełka i kopnięciem budzę jednośląd do życia. Piecze mnie w klatce piersiowej, pot kapie mi do oczu, ale przynajmniej mam dwa kółka pod sobą. Odgłosy nieba zapowiadają deszcz, który jest w tej chwili ostatnią rzeczą, jakiej mi w życiu brakuje.

P: Kto znalazł zwłoki?

O: Nieletni, Benjamin. Tak w każdym razie twierdzi jego ojciec, profesor Casper. Jako opiekun dziecka nie pozwolił nam porozmawiać z Benjaminem.

P: Możecie opisać scenę, którą zobaczył?

O: Zwłoki leżały płasko na podłodze, pistolet spoczywał w ręce ofiary. Było sporo krwi rozprysniętej na ścianach, zasłonie prysznicowej, posadzce, praktycznie wszędzie. Łazienka jest dość mała, a on objął matkę i trzymał ją w ramionach, kiedy już nie żyła. W trakcie tej czynności przesunął trochę zwłoki i rozmazał krew.

Jadę Connecticut, obok kampusu Uniwersytetu Dystryktu Kolumbii i stacji metra Van Ness; w myślach przebiegają mi różne scenariusze, kombinuję, jak by tu rozwikłać tę sprawę. No, Ben, skup się, jedź wolniej, uważaj na przepisy i rozwiąż ten cholerny galimatias...

Czekaj. Na drodze jest gliniarz, stoi na światłach, jedzie Tilden na zachód. Miń go powoli, nie oglądaj się za dużo, po prostu przejeźdź skrzyżowanie...

P: Czy analiza kształtu plam krwi wskazywała, w którym miejscu stała ofiara, kiedy padł strzał?

O: Tak. Widzi pan, kropla krwi spadająca swobodnie przybiera kształt sferyczny. Kiedy uderza o powierzchnię i powstaje dobrze uformowana plama, łatwo jest określić kąt, pod jakim kropla spadła. Jeśli plam jest wystarczająco dużo, można ustalić położenie ofiary i pozycję broni względem niej.

P: Panie doktorze, kiedy robił pan tę analizę, okazało się, że źródło – w tym przypadku rana wyjściowa – znajdowało się o prawie piętnaście centymetrów niżej, niż należałoby się spodziewać, biorąc pod uwagę wzrost pani

- Casper i umiejscowienie rany wylotowej, prawda?
- O: To prawda.
- P: Można z tego wnioskować, że pani Casper kucała, schylała się albo odsuwała, tak?
- O: Można.
- P: Taki wniosek byłby zgodny ze scenariuszem opisującym morderstwo. Można domniemywać, że nieletni siłą przewraca matkę, przykładając jej pistolet do głowy i naciska spust?
- O: Można.
- P: Albo podkradł się do niej, kiedy się schylała?
- O: To także możliwe.
- P: A czy fakt, że na broni znaleziono odciski palców nieletniego, czy to jeszcze bardziej nie uprawdopodobnia tej możliwości?
- O: Owszem.

Zaczyna padać. Szlag. I tak trudno jest kierować triumphem z rozsadzającym mnie napięciem i myślami, które pierzchają we wszystkie strony. Muszę utrzymać motor w pionie i przemieszczać się. Muszę dojechać w całości do hotelu.

Muszę się dowiedzieć, co jest w laptopie Jonathana Liu.

- P: Profesorze Casper, wiem, że to trudne, ale proszę nam powiedzieć, jak wyglądała scena, którą pan zobaczył.
- O: Kiedy wszedłem na górę, od razu wiedziałem, że coś jest nie tak. Zobaczyłem żonę leżącą na posadzce łazienki. Wiedziałem... ja... wiedziałem. Tak trudno mi...
- P: W porządku, panie profesorze. Proszę się nie spieszyć. Jeśli chce pan wody...
- O: Nasz syn, Benjamin, pochylał się nad nią i płakał. Jego ręce były wsunięte pod nią, jakby usiłował ją objąć. On chyba... chyba się z nią żegnał, tak myślę.
- P: A gdzie był pistolet?

O: W dłoni mojej żony. Jestem pewny, że Benjamin tego nie zrobił. Jestem pewny, że jej nie zabił. Bardzo kochałem żonę, ale muszę wierzyć, że sama to sobie zrobiła. Wysoki Sądzie, proszę, nie odbierajcie mi jeszcze syna.

Deszcz zamienia się w ulewę. Muszę zjechać z ulicy. Nie myślę w tej chwili logicznie i nie mogę sobie pozwolić...

Chwileczkę, ulica Calvert, hotel Omni... czy mam czas, żeby zawrócić?

W ostatniej chwili robię skręt w prawo, wysokiej klasy opony dają z siebie wszystko...

Ale chciałem zbyt wiele. Motocykl wymyka się spode mnie, ślizga po jezdni i rąbie o słup ze światłami.

Ze mną też jest niewesoło. Sunę jakieś trzy metry na prawym boku. Nogą trzeba będzie się zająć. Jednak nie łamię kości. Całe szczęście, że miałem kask. Nauczka dla was wszystkich, młodzi śmiałkowie.

O tej porze skrzyżowanie jest puste. To dobrze. A jeszcze lepiej, że motor się nie rozleciał. Odnotowuję to i podnoszę się.

A co źle?

Ekran laptopa Jonathana Liu popękał na kawałki.

## Rozdział 44

Anne Brennan wychodzi nazajutrz rano z apartamentowca, w którym mieszka, dostrzega mnie po drugiej stronie ulicy i spogląda jeszcze raz. Wskazuje pytająco na siebie, a ja kiwam głową.

– Ben – mówi, podchodząc. Wyobrażam sobie, jak jej się prezentuję. Kolejna nieprzespana noc w kolejnym hotelu; bezskutecznie próbowałem wskrzesić laptop Jonathana Liu.

Reaguje źle, kiedy przekazuję jej wiadomość o chińskim lobbyście. Źle, to znaczy przestraszonym, ale to właściwa reakcja. Przyszły ciężkie czasy na każdego, kto był jakoś związany z Dianą Hotchkiss.

– Co jest grane, do jasnej ciasnej? – pyta szeptem, osłaniając ręką oczy. To miła dziewczyna ze Środkowego Zachodu, rozrywkowa i pełna wdzięku, niepasująca do takich kryzysów.

– Nie wiem. Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. – Idealne miejsce na rozmowę, środek ruchliwego chodnika na U Street; jednak sprawa jest tak dziwaczna, że to spotkanie wydaje się jakoś pasować do całości.

Kładę jej rękę na barkach.

– Anne, posłuchaj. Zdawało mi się, że znałem Dianę. Ale chyba tylko mi się zdawało. Nie miałem pojęcia o Jonathanie Liu i Aleksandrze Kutuzowie. I nie wiedziałem, że brała środki antydepresyjne.

Po jej reakcji widzę, że Anne także o tym nie wiedziała.

– Chcę powiedzieć, że nie wiem, ilu rzeczy jeszcze nie wiedziałem. Jednak z Dianą coś się działo. Zatajałaś to celowo albo nieświadomie, ale myślę, że wiesz coś, o czym mi nie wspomniałaś.

Odsuwa się, jakby jej coś zarzucono, i kładzie sobie rękę na karku.

– Niczego nie zatajam. Przysięgam. Pytaj, o co chcesz.

A ja nawet nie wiem, o co zapytać.

– Biały Dom – mówię, przypominając sobie rozmowę z Jonathanem Liu. – Czy Diana miała jakieś powiązania z Białym Domem?

– Ben, daj spokój. Była asystentką Craiga Carneya. Czy on nie jest przypadkiem jednym z najbliższych przyjaciół prezydenta Francisa?

Wzdycham. Anne ma oczywiście rację. Craig Carney to zastępca dyrektora CIA i jeden z najbliższych sojuszników prezydenta. Biały Dom jest pewnie jego drugim domem. Z Dianą zapewne było tak samo.

– Diana ciągle tam przesiadywała – kontynuuje Anne. – Była na ty z Libby.

To znaczy z pierwszą damą. Kiedy Blake Francis był kongresmenem, zanim wybrano go na gubernatora Nowego Jorku, ożenił się z Librettą Rose, dziewczyną z wyższych sfer, dziedziczką fortuny firmy jubilerskiej. Libby Rose Francis sfinansowała mężowi kampanię gubernatorską i ten osiem lat później został prezydentem.

– No i wiesz, jak Diana mówiła o prezydencie Francisie – dodaje. – Uważała go prawie za takiego, który chodzi po wodzie.

Owszem, pamiętam.

– Operacja Delano? – pytam. – Kojarzy ci się coś?

Ruchliwe oczy Anne zastygają. Przypomina sobie. Rozchyła usta i patrzy na mnie, ale się reflektuje.

– Mówże! – ponaglę ją.

– Znam to słowo. Znaczący, samo Delano. Nie operacja Delano, ale... usłyszałam kiedyś, jak Diana wypowiada je przez telefon. Rozmawiała przez komórkę. Nie wiem, do kogo dzwoniła. Ale zapamiętałam, bo nieczęsto się słyszy to imię. To było drugie imię prezydenta Franklina Roosevelta, prawda?

– Tak.

– Wydaje mi się, że powiedziała „Mam w nosie Delano”, albo coś w tym rodzaju. Była zła, z kimś się kłóciła. Kiedy się rozłączyła, zapytałam, czy romansuje z Franklinem Delano Rooseveltem. Wiesz, tak sobie zażartowałam.

– I co ona na to?

Wiatr zwiewa kosmyki z czoła Anne. Nie wygląda na swoje lata. W innych okolicznościach może bym... Hm, w innych okolicznościach.



– Zmieniła temat i tyle. Jak myślisz, Ben, co to znaczy? Czym jest operacja Delano?

– Nie wiem – odpowiadam. Nie ma sensu wdawać się w spekulacje, zwłaszcza z Anne, która i tak jest już przestraszona. Więc nie mówię jej, co myślę.

Nie dzielę się z nią wnioskami płynącymi z tego, co wiem: podejrzana śmierć Diany, udział CIA, chińskich władz i wrażenie, że ktoś coś tuszuje na ogromną skalę.

Nie mówię jej, że moim zdaniem Diana Hotchkiss mogła szpiegować na rzecz rządu USA.

## Rozdział 45

Detektyw Ellis Burk bębni palcami w kierownicę samochodu.

– To się robi coraz dziwniejsze, im więcej mi o tym mówisz.

A nie wie nawet połowy. Postanowiłem pominąć moją wczorajszą wycieczkę do Jonathana Liu. Gliny mogą własnym sumptem dowiedzieć się o jego śmierci.

– Aleksander Kutuzow. – Ellis kiwa głową. – Zdaje się, że obilo mi się to nazwisko o uszy.

– Diana była drażliwa na punkcie znajomości z nim. To musi coś znaczyć.

– Zdaniem twojej koleżanki Anne Brennan.

– Tak, jej zdaniem.

– Więc podejmuję działanie na podstawie relacji z drugiej ręki o tym, jakie ktoś ma odczucia na jakiś temat. Solidny trop to to nie jest, Ben.

– I dlatego jesteś śledczym, Ellis. O ile pamiętam, podążałeś za tropami. Brzmi znajomo?

– Jeśli chodzi o sprawy, nad którymi pracuję? Jasne, że tak. – Patrzy na mnie. – Ale to nie jest moja sprawa, partnerze. Pewnie pamiętasz, że CIA odebrała ją nam, lokalnym stróżom prawa. Czy to coś dla ciebie znaczy?

Ellis to porządny chłop. Kiedy go poprosiłem, żeby mi dzisiaj towarzyszył, mógł powiedzieć, żebym się poszedł utopić. Miałyby do tego prawo i wszelkie powody. Jednak coś sprawiło, że nastawił antenki, a jest jednym z tych gliniarzy, których bardziej obchodzi, że coś jest słuszne lub niesłuszne, niż kwestie techniczne w rodzaju ograniczeń jurysdykcji.

A może tylko na mnie spojrzął i ulitował się. Jestem pewny, że wyglądam okropnie. Rano zerknąłem na siebie w lustrze i zobaczyłem postać z filmu Tima Burtona. I już nie myślę jasno. Widzę cienie tam, gdzie ich nie ma, i słyszę kroki, które nie istnieją. Potrzebuję pomocy.

– Jestem twoim dłużnikiem, chłopie – mówię.

– I to jak jasna cholera. – Nie odpowiadam, więc Ellis łypie na mnie okiem. – Sprawdźmy tego gościa, Ben. Spokojna głowa.

Jedziemy do Piątej Ulicy w Dupont Circle, tam mieści się sklep AK Kolekcjonerstwo. W połowie drogi między skrzyżowaniami, tak jak mówiła Anne Brennan. Wnętrze przypomina gabinet kogoś zamożnego, ma łagodne oświetlenie, regały z ciemnego dębu i fotele z czekoladowobrązowej skóry; wszystkie książki są w koszulkach ochronnych. Z góry płynie muzyka klasyczna, a od kasy spogląda na nas posępny dżentelmen w okularach.

Ellis miga odznaką i oznajmia mu, że chce rozmawiać z Aleksandrem Kutuzowem. Sądząc po reakcji sprzedawcy, równie dobrze mógłby zapytać o spotkanie ze Świętym Mikołajem lub wróżką. Mężczyzna bierze do ręki telefon i mówi coś szeptem.

Kręcimy się parę minut po sklepie. Skinieniem głowy wskazuję zamkniętą szklaną gablotę z trzytomowym wydaniem *Dumy i uprzedzenia* Jane Austen. Miałem nauczycielkę, także o imieniu Jane, która tak lubiła tę autorkę, że uczęszczała na spotkania poświęcone Jane Austen; a wszyscy ich uczestnicy przebierali się za postacie z jej powieści. Chciałbym lubić coś tak bardzo. Chciałbym nie obetrzeć sobie prawej nogi, kiedy wczoraj wieczorem spadłem z motoru i szorowałem po jezdni.

I chciałbym, żeby ktoś nie usiłował mnie zabić.

Nie widziałem tego filmu, ale Keira Knightley bardzo mi się podobała w *Domino*, gdzie zagrała łowczynię nagród. To była ostra jazda.

– Jakie szkody? – pytam sprzedawcę, wskazując gablotę z książkami Jane Austen.

Spogląda znowu nad oprawkami okularów.

– Drugi tom ma trochę rozdartą tylną obwolotę, poza tym dokonaliśmy drobnych napraw kilku stron w tomie trzecim.

– Pytałem tak naprawdę, ile kosztuje.

– Ach, tak. Patrzy pan na oryginalne wydanie z tysiąc osiemset trzynastego roku.

Jeśli nie chcesz wyjawiać ceny, to po prostu powiedz.

– Sześćdziesiąt tysięcy – odpowiada mężczyzna, który wychodzi przez drzwi za ladą. Mówi z mocnym rosyjskim akcentem. Mężczyzna jest w średnim wieku, łysy, ubrany

w czarny garnitur, czarną koszulę i czarny krawat. Ma szyję o gabarytach pnia drzewa, a jego twarz wygląda jak wycięta z litej skały.

– Sześćdziesiąt tysięcy czego? – pytam. – Rubli?

Moja naiwność budzi w nim rozbawienie.

– Pan z pewnością nie jest kolekcjonerem. – Spogląda na Ellisa. – Panie oficerze...

– Detektywie.

– Tak, detektywie. Pana Kutuzowa tutaj nie ma, to oczywiste. Chociaż sądzę, że jest obecnie w Stanach Zjednoczonych, ale nie mogę tego panu powiedzieć na pewno.

– Ale wie pan, jak go znaleźć. – Ellis przesuwając kontuarze swoją wizytówkę.

Knighthley była także dobra w którejś części *Piratów z Karaibów* i którymś prequelu *Gwiezdných wojen*.

Mężczyzna bierze wizytówkę Ellisa i daje mu inną. Ellis podnosi ją i czyta, ja też czytam. Jest to wizytówka prawnika nazwiskiem Edgar Griffin z kancelarii Griffin i Weaver.

– Źle się składa – mówi Ellis. – Miałem nadzieję, że raz-dwa zamienię parę słów z panem Kutuzowem i ruszę w swoją drogę. Ale jeśli pan wciąga w to adwokatów, to może trzeba go będzie wezwać na komendę i przesłuchać. Wtedy robi się bardziej konfrontacyjnie.

– Konfrontacyjnie. – Rosjanin pozwala sobie na krótki uśmiech. – Myślałem, że w Ameryce nie karze się za to, że ktoś prosi o pomoc prawnika.

– Dużo pan wie o naszym systemie prawnym jak na kogoś, który zarabia na życie, sprzedając używane książki – odzywam się. Nie powinienem się wtrącać, ale facet nie wie, że jestem dziennikarzem, a nie gliną. Może moglibyśmy stworzyć z Ellisem duet, tak jak w serialu *Castle*, tylko że ja nie jestem autorem kryminałów, a Ellis raczej nie jest wystrzałową brunetką.

– Proszę przekazać panu Kutuzowowi lub jego adwokatowi, że jeśli szybko się do mnie nie odezwie, przyjdę go szukać raz jeszcze, i nie będzie tak przyjemnie jak teraz – dodaje Ellis.

Tamten wpatruje się w mojego przyjaciela z płomieniem w oczach, ale w końcu ulega.

– Jak pan sobie życzy – mówi. – Przekażę pańskie zapytanie.

– Bardzo o to proszę.

Minutę później siedzimy znowu w samochodzie.

– No, długo to nie potrwało – stwierdza Ellis i patrzy na mnie.

– Ledwośmy weszli, a facet wyciąga adwokata. To jakiś początek, Ben. Zatrzęśliśmy drzewem, a teraz przekonajmy się, co z niego spadnie.

## Rozdział 46

– Wciąż nic o operacji Delano? – pyta przez telefon Ashley Brook Clark. – Jeszcze nie zdjęłam wszystkich blokad. Nadal chcesz, żebym w to nie wchodziła?

– To może być niebezpieczne – mówię do komórki. Utykam po upadku i funkcjonuję prawie bez snu, ale robi mi się źlej, kiedy rozmawiam z przyjaciółką i koleżanką z pracy. Ashley Brook jest ze mną od czasu, gdy uruchomiłem „Beat”, czyli pięć lat.

– Niebezpieczeństwo to moje drugie imię – odpowiada Ashley. – Hej, Ben, powiedz mi chociaż, w jakich okolicznościach pojawiła się ta operacja Delano?

– Jonathan Liu napomknął o niej przedwczoraj.

– Jonathan Liu, ten lobbysta? Ten, którego znaleźli martwego w domu?

– Tak, właśnie ten.

Wczoraj wieczorem donosiło o tym kilkaset mediów. Mówiono o ranie postrzałowej, przypuszczalnie zadanej przez samą ofiarę, ale od policji nic więcej nie udało się dowiedzieć.

– I mam potwierdzenie od jednej z przyjaciółek Diany, Anne Brennan. Słyszała raz, jak Diana wymieniła to słowo. Delano, nie operacja Delano.

– Taka różnica – mówi Ashley Brook.

Nigdy w gruncie rzeczy nie rozumiałem, co znaczy to wyrażenie. Znaczący łapię, co Ashley Brook ma na myśli, w końcu na tym polega komunikacja, na przekazywaniu myśli, ale wyrażenie „taka różnica” nie ma dla mnie sensu.

Ale wróćmy do ustalonego programu.

– Więc o co chodzi z tymi Rosjanami? – chce wiedzieć Ashley.

– Mówiłeś przez telefon, że ta afera Delano ma z nimi jakiś związek.

Mijam parę, która obściskuje się na ławce w parku i doświadcza silnej zazdrości wobec każdego, kto (a) nie musi

uciekać przed kimś, kto chce go wykończyć, i (b) ma kogoś, z kim może się obściskać na parkowej ławce.

– Franklin Delano Roosevelt ustabilizował relacje z Rosjanami – odpowiadam. – Oficjalnie ich uznał i dużo im dał w Jאלcie, kiedy razem z Churchillem i Stalinem dzielili łupy po drugiej wojnie światowej. Porządnie mu się za to oberwało. No, ale to już coś.

– Niezupełnie, szefuniu. Marny trop.

– Właśnie dlatego płacę ci po królewsku za to, żebyś odkrywała informacje, pani Clark.

– Płacisz mi po królewsku? Chyba coś nie bardzo czytam wyciągi.

Każdy może być kabareciarzem.

– No dobra, poszukam rosyjskiego tropu – mityguje się. – Hej, szefie, dalej żyjesz na walizkach? Śpisz co noc w innym hotelu?

– Lepsze to niż bycie trupem. A propos, jeśli ktoś przyjdzie do redakcji z pistoletem maszynowym, powiedz mu, że przeprowadziłem się na Antarktydę.

– Tak zrobię. Powiem mu, że badasz zwyczaje godowe pingwinów. Ale poważnie, Ben, bądź ostrożny, dobrze?

– Ostrożność to moje drugie imię.

– Myślałam, że Martin.

Nie przypominaj mi o tym.

– Idę znowu się spotkać z Ellisem Burkiem – informuję ją. – Mamy randkę z adwokatem Aleksandra Kutuzowa.

– Powinna być owocna. Prawnicy są zazwyczaj otwarci i skorzy do pomocy.

– Wiem. Odświeżę sobie łacinę.

– Dobrze, więc *stare incolumem*.

– Co to znaczy?

– Od liceum trochę czasu minęło – odpowiada Ashley Brook.

– Ale wydaje mi się, że to znaczy „obyś pozostał żywy”.

## Rozdział 47

Dwie godziny później jedziemy z Ellisem Burkiem do siedziby kancelarii Griffin i Weaver, jednej z firm prawniczych pełnej ustosunkowanych adwokatów i byłych polityków, którzy co rusz zmieniają front i reprezentują wielkich graczy w sądach i legislaturach, i którzy rolują nas wszystkich dzień w dzień. Ale nie to martwi Ellisa. Jest zmartwiony od wczoraj wieczór, gdy wraz z resztą ludzkości dowiedział się, że Jonathana Liu nie ma już wśród żywych.

– Wiem, że nie powinienem cię ze sobą zabierać, robię to wbrew rozsądkowi – mówi.

– Gramy jakby w jednej drużynie – zauważam. Wspominam mu o serialu *Castle*, ale nie reaguje. Większość znanych mi gliniarzy nie lubi policyjnych filmów. Jesteśmy w jednej drużynie czy nie, muszę się przyznać, że czuję się bardziej komfortowo w eskorcie policyjnego detektywa. Kto do mnie strzeli, kiedy prowadzam się z gliniarzem?

Późny ranek, ruch uliczny jest nieduży. Niebo bezchmurne, temperatura osiągnie dzisiaj trzydzieści osiem stopni. Kanikuła, czyli Psia gwiazda. A mnie przypomina się sznaucer olbrzym, który czeka na mnie na tyłach domu, pewnie podnosi teraz nogę na ścieżce...

Słyszę odgłos podobny do grzmotu, nie wiadomo skąd, i zanim mój mózg go zidentyfikuje, trzaska tylna szyba, Ellis jęczy, z jego ramienia tryska krew, a on upada do przodu. Uderza szczęką o kierownicę, ja wyciągam rękę, ale on wali stopą w pedał gazu i auto wyrywa przed siebie, ku skrzyżowaniu ze światłami; samochody hamują z piskiem, Ellis krzyczy, ale ja nie rozróżniam słów. Kieruje lewą ręką, obaj się schylamy, kołyszemy wraz z autem jadącym zygzakiem, jego pistolet upada na fotel, a on mówi: „Weź go, weź go!”. Podnoszę broń i nie mam pojęcia, jak jej użyć, i wtedy znów zaczyna się



ostrzał, wszędzie fruwa szkło, pociski łupią w karoserię raz po raz – trach, trach, trach po stronie pasażera i...

– Nic ci nie jest?! – krzyczę.

– Strzelaj! – ryczy Ellis.

...unoszę głowę, żeby wyrzeć przez okno i widzę czarnego SUV-a, widzę lufę pistoletu maszynowego, celuję i strzelam raz, dwa, trzy razy, wybijając szybę naszego wozu, a potem tamten odpowiada ogniem, pociski bzykają mi nad głową; coś ciepłego pryska na moją szyję, odwracam się i widzę twarz Ellisa, a właściwie to, co z niej zostało...

...i wtedy skręcamy ostro w lewo, coś chlaszcze mnie w twarz i odrzuca moją głowę w tył, a ja myślę... zanim wszystko ogarnia ciemność, w mojej głowie jest jedna jedyna myśl: Tylko nie Ellis, proszę, tylko nie on.

## Rozdział 48

Sanitariuszka kończy badanie i oznajmia, że nic mi nie będzie, cokolwiek to znaczy. Siedzę z tyłu w karetce pogotowia na środku Dwunastej Ulicy, którą zamknięto po strzelaninie.

– Pewnie tylko wstrząśnienie od uderzenia poduszki powietrznej, kiedy się otworzyła, panie Casper. Szczęściarz z pana.

Większy niż mój przyjaciel Ellis Burk.

– Może chciałby pan spędzić noc w szpitalu – mówi sanitariuszka. – Wiem, że policjanci bardzo chcą z panem rozmawiać, ale możemy wziąć pana na obserwację, jeśli pan chce...

– W porządku – mówię. – Oni powinni ze mną porozmawiać.

Ogląda się przez ramię. Stoi tam z tuzin radiowozów i parę nieoznakowanych samochodów.

– Tak, to niedobrze. Wie pan, stracić swojego. To poważna sprawa.

Że to poważna sprawa, to już sam zdążyłem wykombinować. Za policyjną taśmą ustawily się wozy mediów, nad naszymi głowami latają śmigłowce. Nie co dzień zdarza się strzelanina na ruchliwym skrzyżowaniu w stolicy kraju, przynajmniej po tej stronie miasta. Nie codziennie morduje się gliniarza.

Zamykam oczy i próbuję o wszystkim zapomnieć, jakby nic się nie stało. Ellis był moim przyjacielem, usiłował mi pomóc bardziej, niż wymagały tego jego obowiązki. I patrzcie, co za to dostał.

– Panie Casper. Detektyw Liz Larkin.

Otwieram oczy. Detektyw Liz Larkin jest mojego wzrostu, czyli ma ponad metr osiemdziesiąt, ale jest ode mnie szersza w ramionach. W zły dzień może przestraszyć samą prezencją, a dzisiaj jest jeden z tych dni.

– Wsiadaj pan z tej karetki, odwróć się i ręce do tyłu – mówi. Tak robię.

- Zakłada mi pani kajdanki?
- Dajcie mu nagrodę. – Zakłada mi kajdanki tak łagodnie, jakby krępowała byka na arenie.
- Jestem aresztowany?
- Znowu pan trafiłeś.
- Pod jakim zarzutem?
- Coś wymyślę – oznajmia. Prowadzi mnie do samochodu, naciska z góry moją głowę i wpycha mnie na tylne siedzenie.

## Rozdział 49

Okazuje się, że Liz Larkin nie jest taką ciepłą przytulanką, jaką się z początku wydała.

W tej malutkiej kanciapie na pierwszym posterunku policji jestem od trzech godzin. Dzwoni mi w głowie i czuję się niewiarygodnie zmęczony od odpowiadania w kółko na te same pytania i powtarzania kilka razy tej samej historii.

Chcę im pomóc. Chcę, żeby wykryli sprawcę, bo Ellis na to zasługuje. Ale Liz Larkin, jak widzę, nie traktuje tej rozmowy w podobny sposób. To nie jest wspólne poszukiwanie informacji.

– Zobaczmy, czy wszystko skapowałam. – Opiera ręce na stole przede mną i nachyla się. Jest pół metra ode mnie i to mógłbym wytrzymać, ale byłoby lepiej, gdyby użyła odświeżacza do ust.

– Pańska przyjaciółka Diana Hotchkiss wypada z balkonu. Są powody, by uważać, że ją wypchnięto. Pan myśli, że to wcale nie była Diana, tylko ktoś inny, ciało jakiejś dublerki, bo ofiara nie miała tatuażu nad kostką.

Owszem. Jakiś tic-tac, kawałek gumy...

– Później – kontynuuje – po tej tajemniczej śmierci ktoś sabotuje pański elegancki samolocik i musi pan awaryjnie lądować, ale w cudowny sposób ratuje pan życie.

Chyba nie podpisałbym się pod określeniem „cudowny”. Wolę myśleć, że to był dobry pilotaż...

– Później ktoś ostrzeliwuje pański domek na jeziorze Anna, kul jest tyle, że wygląda jak O.K. Corral, ale pan znowu w cudowny sposób przeżywa.

Tylko dzięki temu, że pierwszy ich zauważyłem. To się nazywa element zaskoczenia...

– Później ktoś pana napada w łazience na lotnisku, grozi panu, każe przestać węszyć, ale z jakiegoś powodu pana nie zabija. Czyli kolejny cud.

Taak, jeszcze nie dopatrzyłem się w tym sensu. Mogli mnie zabić, ale nie chcieli...

– A potem znajomy Diany Hotchkiss, ten szpanerski chiński lobbysta Jonathan Liu, ginie w swoim domu od postrzału. Z tym też nie miał pan nic wspólnego. – Policjantka nachyla się do mnie. – Wszystko się zgadza?

W zasadzie.

– I wszystko to jest robota wielkiego rządowego spisku, takiego, jakie można obejrzeć na kanale historycznym? Ten spisek sięga aż do Białego Domu?

Blisko, blisko.

– To dopiero. – Drapie się po głowie. – Coś mi się widzi, że wpadliśmy na grubą sprawę.

Jej martwe oczy i drwiący ton mówią mi, że jeszcze jej nie kupiłem. I chyba trudno mieć jej to za złe. Nawet mnie trudno w tę historię uwierzyć.

– Wie pan co, panie Benjamin? Cztery godziny temu głównie by mnie obchodziła Diana Hotchkiss albo Jonathan Liu, bo to jest kłopot federalnych. Ale teraz to głównie, w którym pan siedzi, zabiło jednego naszego detektywa. Znałam go ponad piętnaście lat. Ma dwie córki na Uniwersytecie Cornell. Więc teraz, panie Benjamin, to głównie już mnie obchodzi. I to bardzo, bardzo.

Ta kobieta dużo klnie. Ojciec mówił zawsze, że przekleństwa to oznaka lenistwa. Ale on był oczywiście głównie wartym pieprzonym dupkiem.

Holly Hunter w *Psychopacie* trafiła w punkt z rolą kobiety policjanta, moim zdaniem. Nie próbowała być kimś, kim nie była. Była grzeczna i miła, ale w razie konieczności twarda. Jeśli ktoś myśli, że Harry Connick junior to tylko piosenkarz, powinien zobaczyć ten obraz.

– Więc teraz, kiedy to głównie już mnie obchodzi, chcę je rozpracować. Wie pan, co my, gliniarze, robimy, Ben? Kiedy próbujemy coś rozwiązać?

Używacie tabliczki ouija? Rzucacie monetą?

– Zaczynamy od łatwego wyjaśnienia – odpowiada sobie. – Więc w tym duchu chcę ci zadać parę pytań, które mogą trochę uprościć tę sprawę. Zgoda, Ben? No, bo jesteśmy w tej samej drużynie i w ogóle.

Angie Dickinson była super w starym serialu telewizyjnym *Sierżant Anderson*. A jeszcze lepsza w roli wygłodniałej seksualnie żony w filmie Briana De Palmy *W przebraniu mordercy* i miniserialu telewizyjnym *Pearl*. Dobrze zagrała głód seksualny. Gdyby za mnie wyszła, seksu by jej nie brakło.

Uspokój się i skup, idioto. Ta gliniara usiłuje cię osaczyć.

– Pierwsze pytanie, Ben. Byłeś w mieszkaniu Diany Hotchkiss mniej więcej w tym czasie, w którym ją zamordowano?

To mnie paraliżuje. Nagle zaczynam się interesować swoimi paznokciami.

– A, język ci uciekł. Dobra, Ben, pytanie numer dwa. Byłeś w mieszkaniu Jonathana Liu w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin?

Odwracam głowę. Prawie czuję, jak ściany się do mnie zbliżają.

– Widzisz, mam inną teorię, Benjaminie Casper. Nie ma w niej przykrywek i spisków. Chcesz usłyszeć moją teorię, Ben?

Potrzebuję adwokata. Właśnie tego zacząłem się obawiać w chwili, kiedy zobaczyłem Jonathana Liu martwego w jego sypialni.

– Zamieniam się w słuch – mówię.

## Rozdział 50

Jedna z moich ulubionych filmowych scen przesłuchań rozgrywa się w *Tajemnicach Los Angeles*: detektyw ma dwóch podejrzanych w dwóch pokojach i jednym ruchem może przełączać dźwięk z jednego pokoju do drugiego, więc ilekroć jeden mówi coś obciążającego, drugi to słyszy. Najlepszą, natomiast, można obejrzeć w filmie *Podejrzani*, który wyglądał jak jedna wielka scena przesłuchania. To dwie spośród najlepszych ról Kevina Spaceya, ale w poważnej dyskusji o jego aktorstwie trzeba byłoby jeszcze wspomnieć o filmach *American Beauty* i *Siedem*.

– Nerwowy jakiś jesteś, Ben – zauważa Larkin. – Jakby dużo myśli obracało ci się w głowie.

Nie znasz nawet połowy.

– Wcale nie mam ci tego za złe – mówi. – Śmierć Diany Hotchkiss, która wygląda na samobójstwo. Dalej jest Jonathan Liu, to samo. A dalej...

Odwracam głowę, a ona puentuje:

– Śmierć twojej matki – podejmuje. – Morderstwo, które wyglądało jak samobójstwo. Opanowałeś tę sztuczkę za młodu, co? Nazywamy to *modus operandi*, Benjamin. Wyślizgałeś się z tego jako nieletni, ale sztuczki nie zapomniałeś, co? Zapamiętałeś ją na wypadek, gdyby ci się kiedyś przydała...

– Nie wie pani nic o moim życiu – mówię.

– O, wiem o twoim życiu wszystko. – Policjantka bierze teczkę ze stołu. – Ojciec był znakomitym historykiem, wykładowcą uniwersyteckim, specjalizował się w amerykańskich prezydentach. Wygląda na to, że i ty nauczyłeś się sporo drobiazgów dotyczących ich dziejów, chyba chciałeś w ten sposób stworzyć więź z tatusiem?

– Proszę nie mówić o moim ojcu.

– Twoją matkę zabito, kiedy miałaś osiem lat. Uniknąłeś oskarżenia, bo sędzia sądu dla nieletnich uznał, że nie może

wykluczyć samobójstwa. Ale na pistolecie, który szczęśliwie dla ciebie znalazł się w ręku matki, odkryto twoje odciski palców. Zabiłeś ją i postarałeś się, żeby to wyglądało jak samobójstwo.

– Nie.

– Później przez dziesięć lat byłeś praktycznie uziemiony w domu. Miałeś eleganckich prywatnych nauczycieli i dużo psychoterapii. Później tatuś wypuścił cię z domu, żebyś mógł zrobić dyplom dziennikarski na jego uniwersytecie, gdzie mógł cię mieć na oku. A teraz, mimo że masz dosyć forsy, żeby nie przepracować ani jednego dnia w życiu, kierujesz jakąś gównianą gazetką internetową, której nikt nie czyta i która by padła, gdybyś do niej nie dopłacał ze swojego osobistego majątku.

– Mamy dziesięć tysięcy odsłon dziennie – protestuję.

Larkin opuszcza ręce na stół, aż ten się trzęsie.

– Dzisiaj zaliczysz dziesięć tysięcy odsłon i raz w pysk, jak nie przestaniesz mi przerywać. – Znowż zagłąda do teczki. – Współpracownicy i przyjaciele mówią, że z wierzchu jesteś miły i życzliwy, ale nikt naprawdę cię nie zna. Stale pada słowo „nieprzenikniony”. Żyjesz w swoim świecie. Nigdy nie miałeś bliskiego przyjaciela ani dziewczyny dłużej niż na chwilę. Pojebany jesteś, Ben. Pierwszych osiemnaście lat życia spędziłeś, wyglądając przez okno, a teraz znalazłeś się na zewnątrz i nie masz pojęcia, jak się poruszać.

– Nie.

– Ale pojawia się Diana Hotchkiss. Bujasz się w niej. Na całego. Rozumie cię jak nikt inny, jest miła dla oka i różnie cię tak, jak jeszcze nikt cię nie różnął, od ściany do ściany. Ziścił się twój sen. I nagle sen pęka w kawałki. Odkrywasz, że ma innego faceta. Bogaty lobbysta, Jonathan Liu. Każesz więc zabić Dianę. Nie brudzisz sobie rączek mokrą robotą. Ucinasz sobie pogawędkę z paroma osobami na chodniku, żeby cię później pamiętały. Dobre alibi. Ale jesteś na miejscu, zgadza się? Chory skurwiol, który chce patrzeć, jak jej ciało rozpryskuje się na chodniku. Jednak wynosi się w diabły, zanim przyjeżdża policja. Jedziesz tak szybko, że policjant z patrolu wlepia ci mandat za nieostrożną jazdę na Constitution Avenue.

Wiedziałem, że ten mandat do mnie wróci.



– Stwarzasz bajeczkę o sabotażu w twoim samolocie, ostrzeliwujesz własny dom w lesie, a potem, kiedy bajeczka jest gotowa, zabijasz także Jonathana Liu. Zrobiłeś to tak samo jak z mamusią. Strzał z pistoletu upozorowany na samobójstwo.

– Nie.

– Później lecisz do Ellisa Burka i wciskasz mu swoją łzawą historyjkę, a żeby wyglądała bardziej realnie, każesz nawet strzelać swoim kumplom do siebie w obecności Ellisa, żeby mógł ją potwierdzić. Ben, masz więcej forsy niż sam Bóg. Możesz nająć każdego do każdej roboty.

Podchodzi do mnie.

– Sęć w tym, że zabiłeś przy okazji detektywa Burka. A ja ci tego nie przepuszczę.

– Nikogo nie zabiłem.

– Jasne, że zabiłeś, Ben. Jonathana Liu też zabiłeś.

– Nie.

Patrzy na mnie tak, jakby wiedziała o czymś, o czym ja nie wiem. Mam wrażenie, że domyślam się, co to takiego.

– Dlaczego znaleźliśmy twoje odciski palców na myszce komputerowej w sypialni Jonathana Liu? – pyta Larkin.

Kładę ręce płasko na stole, a pomieszczenie zaczyna się kręcić. Powinienem był to przewidzieć.

Przerywamy program, żeby ujawnić sensacyjną informację. Benjamin Casper został wrobiony!

Wiedzieli, że będę w mieszkaniu Diany, kiedy ją zabijali. Wiedzieli, że będę szukał Jonathana Liu, więc postarali się, żebym go znalazł martwego. I zabili go w taki sam sposób, w jaki zginęła moja matka.

A ja ułatwiłem im zadanie. Pokazałem się w pobliżu mieszkania Diany. Grzebałem w sypialni Jonathana Liu i zostawiłem odcisk na myszce, a jakże.

Przez cały czas pchałem im się w łapska. I nawet nie wiem, kim są ci „oni”.

Liz Larkin zbliża się do mnie jak drapieżnik do rannej ofiary.

– To tylko kwestia czasu, zanim wszystko udowodnię – mówi.

– A wtedy przekażę cię federalnym, a oni wlepią ci zarzut morderstwa i wpuszczą do żył środek paralizujący. Twoje dni są policzone.

Jej słowa odbijają się echem w pokoju, który kurczy się z każdą sekundą. Kimkolwiek tamci są, robią absolutnie wszystko, żeby mnie zabić. A teraz, nawet jeśli przeżyję, będzie to dowód mojej winy.

Załatwili mnie z każdej strony.

## Rozdział 51

Bar jest ciemny i zamglony, właśnie taki, jak chciałem. Właśnie takiego potrzebuję. Siedzę w rogu pewnego lokalu, ale wolałbym nie mówić, który to lokal i gdzie się znajduje. Z tego, co wiem, ci, którzy mnie ścigają, podłączyli się nie tylko do mojego telefonu komórkowego, ale nawet do moich myśli.

Zdołali przewidzieć moje posunięcia, zdołali być w kilku miejscach naraz. I wydaje mi się, że „onych” jest więcej. Są ci, którzy trzy razy do mnie strzelali i dobrali się do mojej awionetki. Są ci, którzy dopadli mnie w łazience lotniska w Wisconsin i którzy, jak to elokwentnie wyłożyła Liz Larkin, mogli mnie z łatwością zabić, a nie kopać w jaja i zostawiać z poważnym ostrzeżeniem.

Biorę łyk szkockiej i czekam, aż gorące, gorzkie lekarstwo rozgrzeje mi gardło. Jestem za bardzo niedospany, żeby dużo pić, bobym odjechał, ale nerwy mam rozedrgane i potrzebuję odrobiny relaksu. Rozglądam się po klienteli – większość stanowią osoby w moim wieku, modnie ubrane, w tej chwili niczym się nie przejmują, słuchają cichego delikatnego jazzu i myślą tylko o tym, żeby później dobrać się komuś do majtek – po czym zerkam w górę na telewizor wiszący nad barem.

Na ekranie widać prezydenta Blake’a Francis, pierwszą damę Libby Rose Francis i Bono, solistę grupy U2. Stoją za jakimś podestem i choć głos jest ściszony, wyobrażam sobie, że rozmawiają o światowym zadłużeniu, pokoju lub jakiejś inicjatywie pomocy globalnej. Prezydent Francis nigdy nie był najhojniejszy w kwestii filantropii wobec Trzeciego Świata, ale występ na scenie razem z Bono robi dobre wrażenie, a jemu zawsze chodziło o dobre wrażenie.

Tak samo jak jego żona Libby Rose, której przebywanie w świetle kamer sprawia o wiele większą przyjemność niż w towarzystwie małżonka. Zawsze uważałem, że związali się ze sobą dla wygody: ona była dziedziczką wielkiego majątku

i chciała wyjść za przyszłego prezydenta, on zaś był przyszłym prezydentem, który potrzebował finansowania ze strony bogatej dziedziczki. Na forum publicznym okazują sobie czułość, a na ekranie wszyscy wypadają tak plastikowo, że nigdy nie wiadomo; ja jednak nie widziałem w nich pary zakochanych. Ronem i Nancy to oni nie są.

Agenci Secret Service nazywają ją Snowflake. Nie wiem, dlaczego upubliczniają imiona kodowe, ale tak robią. Prezydent to Spider. Całkiem do niego pasuje. Ale pierwsza dama – Snowflake? Nie pomylili się w kwestii temperatury. Według mnie Icicle byłoby odpowiedniejsze<sup>2</sup>.

Żona Woodrowa Wilsona, kiedy była pierwszą damą, wspierała dążenie do poprawy warunków mieszkaniowych w mieście. Rosalynn Carter uczyniła swoim posłannictwem zdrowie psychiczne. Nancy Reagan kazała nam „po prostu mówić nie”. Slogan Libby Rose Francis brzmi: „zostać w szkole”. Trudno przeciw temu oponować, ale kiedy się widzi tę panią z wyższych sfer, wychowaną w luksusie i oblepioną klejnotami, w otoczeniu łobuziaków ze śródmiejskich gett, którzy rzucili szkołę, to tak jakby patrzeć na Donalda Trumpa dojącego krowę.

Bono to fajny gość. Przeszedł ze dwadzieścia muzycznych metamorfoz, jest frontmanem bodaj najlepszej grupy rockowej mojego pokolenia, a teraz stara się karmić głodnych i uzdrawiać chorych. Zastanawiam się, czy mógłbym osiągnąć tyle co on. Chyba tak. Wystarczyłaby kopalnia talentu muzycznego, ambicja i jaja. Oraz ciemne okulary.

Może w następnym życiu. Swoją drogą ciekawe, kiedy ono nadejdzie. Sądząc na podstawie rachunku prawdopodobieństwa, mój czas w tym życiu się kończy.

Dzwoni mi komórka. Nie jestem do niej przyzwyczajony. Kupiłem ją dzisiaj w tanim sklepiku. Jest w niej sto minut.

– Przepraszam, że nie odebrałam twojego telefonu – odzywa się Ashley Brook Clark. – Nazwa się nie wyświetliła.

– Nie korzystam już z mojej osobistej komórki. Jest dla mnie martwa.

– Ledwo cię słyszę. Telefon ci wysiadł?

– Założyli w nim podsłuch – mówię nieco głośniej, ale staram się nie ściągać na siebie uwagi. – Nie mogę z niego korzystać. Używam telefonu na kartę.

– Założyli ci podsłuch w telefonie? Jesteś pewny, Ben?

Mija mnie kelnerka, która jest ładniejsza niż wszystkie dziewczyny, z którymi chodziłem. Opada mnie chwilowa tęsknota, potem wracam do spraw bieżących.

– Niczego już nie jestem pewny – odpowiadam.

W telewizji Bono i prezydent unoszą zaciśnięte pięści w geście triumfu. Chciałbym być z jakiegoś powodu tak szczęśliwy, żeby triumfalnie wznieść do góry pięści. A właściwie to pieprzyć szczęście, przestałbym teraz na umiarkowanej satysfakcji.

– No to jak się czujesz? – pyta.

– Mamy piękny dzień.

– Taak? Gdzie jesteś? Chyba w jakimś klubie. Słyszę jazz.

– Lokal nazywa się Vertigo.

– Nie znam. Gdzie to jest? Przy U Street?

– Tam gdzie ulice nie mają nazw.

– Tam gdzie... No dobrze, nie chcesz powiedzieć. Jak ci idzie z poszukiwaniem operacji Delano?

– Wciąż jeszcze nie znalazłem tego, czego szukam.

Drzwi klubu otwierają się. Wchodzi dwoje Azjatów, młodych i ładnych, rozglądają się po lokalu z pustym wyrazem twarzy. Mogą być zabójcami. Czemu nie? Kulę się na kanapie.

– Wydaje mi się, że jesteś podenerwowany – stwierdza Ashley Brook. – Boisz się.

– Czemu to mówisz?

– Bo cytujesz mi tytuły piosenek U2. Robisz tak, kiedy jesteś w nerwach. Jeszcze chwila i zaczniesz mi opowiadać, którzy prezydenci lubili jazz.

– Najbardziej chyba Clinton. Prezydent Czech podarował mu saksofon tenorowy. Poza tym...

Przypominam sobie, co detektyw Liz Larkin powiedziała o wkuwaniu drobnych faktów z życia prezydentów: że w ten sposób chciałem stworzyć więź z ojcem. Dosyć tego. Nie wiązałem się z ojcem. Pieprzyć go...

Drzwi otwierają się ponownie i wchodzi dwóch mężczyzn wyglądających jak zawodowi koszykarze; są rośli, barczyści i mają groźne miny. Ścisną mnie w brzuchu, w głowie przemyka pytanie: „Jak mnie znaleźli?”, na czoło ochoczo występują krople

potu, zanim uświadamiam sobie, że ci dwaj naprawdę są zawodowymi koszykarzami, grają w drużynie Wizards.

Odczekuję chwilę, żeby moje serce zaczęło znów bić w ludzkim tempie. Nie wytrzymam tak dłużej. Trzęsę się na widok cienia.

– Powiedz mi coś pomyślnego, Ashley Brook – wyduszam z siebie.

– A, proszę. Ten rozwalony laptop, którego zostawiłeś u naszych techników. Ich zdaniem da się odzyskać dane. Potrwa to parę dni, ale sądzą, że dadzą radę.

Ma rację. To dobra wiadomość, pierwsza od dość dawna.

– Przekaż im, żeby się sprężali – mówię. – Bo zaczyna mi brakować czasu.

## Rozdział 52

Garfield Park jest dzisiaj po brzegi wypełniony rozradowanymi dziećmi: brykają po przyrzędach, kopią piłkę albo po prostu biegają bez celu. Mieszam się między matki pchające wózki główną alejką, lecz tak jak zawsze, kiedy przychodzę popatrzeć na mój własny dom, w miarę możliwości trzymam się południowej strony, tej obok Southeast Freeway. Jeśli ktoś obserwuje dom i chce mnie w nim osaczyć, kręci się w północnej części parku przy F Street.

Właśnie tam się teraz kieruję. Przed kilkoma dniami zaryzykowałem, podbiegłem do kamienicy i zgarnąłem pocztę. To trwające całą minutę zdarzenie wiele mnie kosztowało; byłem pewny, że ktoś zacznie do mnie strzelać, i później postanowiłem, żeby przesyłki kierowano do redakcji.

Mimo to czuję potrzebę, by skontrolować dom. Dzięki temu mam wrażenie, że ocieram się o normalność. Normalni ludzie mają domy. Normalni ludzie spędzają w nich mnóstwo czasu. Muszę tutaj zwrócić uwagę na ironiczną stronę tej sytuacji: Liz Larkin słusznie zauważyła, że w dzieciństwie większość czasu spędziłem zamknięty w domu i wyglądałem na dwór, a teraz jestem zmuszony pozostawać na dworze i zaglądać do środka. Może życie wszystko jakoś wyrównuje, tak jak w odcinku serialu *Kroniki Seinfelda*, w którym wszystko wyrównywało się przed Jerrym...

Stop. Oto on, jest niespełna trzy metry ode mnie. Oscar, sznaucer olbrzym z długą szarą brodą i kikutem ogona; moja sąsiadka, pani Tooley, trzyma go na długiej smyczy. Nie mogę tego udowodnić, ale mam teorię, która mówi, że kiedy szatan wróci na ziemię, objawi się pod postacią sznaucera olbrzyma. Może nawet już się objawił.

Może to ojciec go zesłał. Może ojciec przerwał na chwilę partyjkę pokera z Hitlerem, Stalinem, Jeffreyem Dahmerem oraz wynalazcą muzyki disco, żeby doradzić Lucyferowi, w jaki sposób najlepiej mnie udręczyć.

Schodzę z chodnika i wciąż usiłuję iść w stronę domu, ale trzymając się z dala od Oscara. Moim zdaniem najlepszy odcinek *Kronik Seinfelda* to ten z policjantem bibliotecznym, Bookmanem, który był najlepszą postacią drugoplanową wśród plejady innych, też dobrych. Cenię go nieco wyżej niż Jacopa Petermana, ale muszę przyznać, że wybór jest trudny. Czy jestem jedynym widzem, który uważa, że Zupa Nazi nie był tak śmieszny jak inne postacie? Bo w *Kronikach Seinfelda* nie ma złych odcinków, ale...

Chwileczkę. A to co?

Zbliżając się do F Street, widzę parę osób, które zebrały się w parku i patrzą na drugą stronę ulicy w kierunku mojego domu.

Wtedy dostrzegam policyjny radiowóz.

Drzwi kamienicy się otwierają.

Po schodkach, z miną kota, który zjadł kanarka, zbiega susami nie kto inny jak detektyw Liz Larkin.



## Rozdział 53

Nurkuję za drzewo, jakbym miał coś do ukrycia, jakby to było przestępstwo, stać przy ulicy i obserwować policję przeszukującą twój dom.

Wyjmuję komórkę i dzwonię do Ashley Brook.

– Dwa szybkie pytania – odzywam się, kiedy odbiera. – Który odcinek *Kronik Seinfelda* podobał ci się najbardziej i co to znaczy, kiedy mówisz, że ktoś wygląda jak kot, który zjadł kanarka?

– Ja też mam do ciebie pytanie – mówi ona.

– Byłem pierwszy.

– No dobrze, jeśli wyglądasz jak kot, który zjadł kanarka, to masz winę wypisaną na twarzy.

– Czy to nie znaczy, że złapano cię z ręką w pudełku z ciasteczkami?

– Och. Ale kotu nie wolno zjadać kanarków, więc ma poczucie winy. Zgadza się?

Na chodniku przed moim domem detektyw Larkin naradza się z dwoma mężczyznami w sportowych kurtkach i dżinsach oraz z dwoma w mundurach.

– Mnie się zdawało, że to oznacza zadowolenie – mówię. – Przyjemność. Kot jest szczęśliwy, bo właśnie spożył smaczny posiłek. Wreszcie dorwał kanarka.

– Hm. A mój ulubiony odcinek *Kronik Seinfelda*? Jest remis.

– Nie może być remis.

– Ale u mnie jest, Ben. Pogódź się z tym. Pierwszy to ten, w którym dochodzi do sporu o to, kto jest „panem” ich dominium; drugim ulubionym jest ten, w którym Elaine myśli, że jej chłopak jest czarny, a jemu się zdaje, że ona jest Latynoską, ale oboje lękają się o tym mówić; trzeci to ten, w którym dyskutują o byciu gejem i powtarzają „nie żeby w tym było coś złego”.

No, zgoda. Wszystkie te odcinki weszłyby do mojej pierwszej dziesiątki. Pomięła ten, w którym Kramer bierze sprzęty z programu *The Merv Griffin Show* i zaczyna własny talk show w swoim mieszkaniu. Albo ten z kurczeniem się, w którym George dla podkreślenia kwestii nosi koszulki o trzy rozmiary za małe.

Detektyw Larkin wyjmuje telefon komórkowy i dzwoni. Pozostali czterej gliniarze wchodzi do mojego domu.

– A o co ty chciałaś zapytać? – mówię.

– Kiedy ostatnio się wyspałeś?

– W zeszłym tygodniu.

– Potrzebujesz snu. Zachowujesz się głupio. Bo dlaczego do mnie dzwonisz? Żeby zapytać o *Kroniki Seinfelda* i jakiś durny idiom?

– Idiom czy wyrażenie? – dopytuję.

– A co za różnica?

– Dlaczego odpowiadasz pytaniem na pytanie?

– A ty dlaczego?

Jeden z mundurowych wychodzi z domu z moim komputerem stacjonarnym. Drugi niesie segregator pudełkowy z nieokreśloną zawartością.

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego zadzwoniłem – mówię. – Wyślij mi SMS-em numer Szybkiego Eddiego.

– Eddiego Volkera?

– Właśnie jego.

– Dlaczego chcesz rozmawiać z Szybkim Eddiem?

Jeden z detektywów wysuwa głowę i woła Larkin. Ta kończy połączenie telefoniczne, wchodzi pośpiesznie na schody i znika w moim domu.

Wygląda na to, że znaleźli coś dobrego. Dobrego dla nich. Niezbyt dobrego dla mnie.

– Bo myślę, że nadszedł czas, żebym wreszcie postarał się o prawnika.

## Rozdział 54

Hart Senate Office Building to trzeci gmach zbudowany jako biurowiec Senatu Stanów Zjednoczonych. Stoi na północny wschód od Kapitolu i przylega do Dirksen Senate Office Building przy Constitution Avenue; widać z niego budynek Sądu Najwyższego.

Recepcja biura na drugim piętrze jest utrzymana we wszystkich kolorach ziemi. Siedzę w fotelu, który opisałem jako pomarańcz wschodu słońca – właśnie to wymyśliłem, ale podoba mi się – a pani w średnim wieku, zajęta odbieraniem telefonów, rzuca na mnie spojrzenia nad okularami.

Dzwoni jej intercom, ona podnosi słuchawkę, po czym kiwa mi głową.

W głównym gabinecie panuje kolorystyka patriotyczna. Nawet flaga stanu Iowa, stojąca obok gwiazdzistego sztandaru, pasuje do wzorca, choć prawdę powiedziawszy, flaga stanu Iowa bardziej przypomina francuską niż amerykańską. Jest w tym jakaś ironia, bo ówczesny kongresmen Craig Carney był jednym z polityków prowadzących szarżę agitacyjną pod hasłem zmiany nazwy „francuskie frytki” na „frytki wolności”, kiedy to Francuzi nie okazali entuzjazmu dla naszej inwazji na Irak.

Nie wiem, dlaczego spotykam się z człowiekiem numer dwa w CIA w biurze senatorskim. Carney był kongresmenem z Iowa i koleguje się z senatorem z tego stanu, który zajmuje biuro, ale dlaczego nie zaprosił mnie po prostu do siedziby Agencji?

Carney to przystojniak z kanciastą szczęką, stalowoniebieskimi oczami i gęstą czupryną na głowie, którą ledwo dotknęła siwizna. Niektórzy politycy, kiedy nie widzi ich kamera, nie modelują włosów. Nigdy nie widziałem Carneya z niewymodelowanymi włosami. Nie jestem pewny, czy byłby do tego zdolny. Wygląda elegancko jak zawsze w równo odprasowanej koszuli, granatowym krawacie z maleńkimi

czerwonymi gwiazdkami i spinkami do mankietów w gwiazdy i pasy.

Uważa się, że to on w największym stopniu przyczynił się do sukcesu Blake'a Francisa na posiedzeniu komitetu wyborczego Partii Republikańskiej w Iowa, a to sprawiło, że ze środka stawki kandydatów tej partii do urzędu prezydenta Francis wysunął się na jej czoło. Carney był nawet jednym z głównych kandydatów na wiceprezydenta. Powiedzieć, że łączy go bliska przyjaźń z prezydentem, to powiedzieć za mało.

Zastępca dyrektora obraca się na skórzanym fotelu i wskazuje mi krzesło obok orzechowego biurka, niewyglądające na tak wygodne jak jego siedzisko. Ostentacyjnie spogląda na zegarek.

– Mam dzisiaj zapełniony terminarz – informuje mnie.

Odnótowuję, że znalazł jednak czas dla mnie. Zadzwońłem dopiero rano. Przeważnie potrzeba tygodnia, co najmniej, żeby umówić się na takie spotkanie.

– Chciał pan porozmawiać o operacji Sunshine – kontynuuje. Jest to nazwa operacji, którą rozpoczęły Stany Zjednoczone, by udzielić pomocy humanitarnej ludności Boliwii po katastrofalnym trzęsieniu ziemi. Taki pretekst podałem, żeby umówić się na rozmowę.

Uśmiecha się, ja także się uśmiecham.

– Obaj wiemy, że nie dlatego tutaj jestem – odpowiadam. Nie rzuciłby wszystkiego i nie zgodził się na rozmowę poza swoim biurem, gdyby jej tematem była operacja Sunshine.

Nie pokazuje niczego oprócz białych jak perła zębów.

– Jeśli jest coś innego – mówi.

– Diana Hotchkiss, panie dyrektorze.

Carney z powagą kiwa głową, marszczy czoło i przybiera zatroskaną minę, którą waszyngtońscy politycy opanowują w czasie tygodnia wstępnego.

– Będzie nam jej brakowało.

Omam nie parszam śmiechem. Trafił prawie w sedno.

– Rozmawiał pan z nią ostatnio? – pytam.

Chcę zobaczyć jego reakcję. Jeśli Craig Carney jest zdolny do szczerości, to jeszcze jej nie zobaczyłem. Wyobrażam sobie, że gość może pewnego dnia zostać prezydentem, i nie jest to komplement.

Bierze parę migdałów z naczynia na biurku, waży je w dłoni i przygląda mi się. Ciekawe, czy senator zajmujący ten gabinet jest świadom, że Carney podjada mu migdały.

– Proszę mi coś powiedzieć, Ben. Ma pan na imię Ben, prawda?

Nienawidzę tego w tym mieście. Te drobne szturchnięcia wymierzone grzecznie, ale mające poniżyć rozmówcę. Dupek bardzo dobrze wie, kim jestem. Gdyby nie wiedział, nie wpuściłby mnie tutaj z tak krótkim wyprzedzeniem.

– Tak, mam na imię Ben.

– Ben, dlaczego zadajesz mi takie prowokacyjne pytanie?

– Żeby pana sprowokować.

– No tak, chyba tak właśnie postępują dziennikarze. Potrzęsają drzewami.

Tego samego wyrażenia użył Ellis Burk.

– Jeśli ktoś trzęsie drzewem, Ben, to musi być przygotowany, że coś zleci mu na głowę.

– Och, jestem przygotowany, panie dyrektorze. Gdyby miał pan za sobą taki tydzień jak ja, też by pan był.

Carney nie spieszy się z jedzeniem migdałów, pozwala mi patrzeć, jak je chrupie po kolei.

– Cóż – mówi między jednym a drugim. – Chyba masz informacje, których ja nie posiadam. Szkoda, że nie mogę ci pomóc.

Kochani ci politycy. Oto następna umiejętność, którą muszą sobie przyswoić, przekraczając drzwi Kapitolu: jak mówić najróżniejsze rzeczy, nie odpowiadając na pytanie. Jak dotąd facet ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził, że Diana żyje.

– Myślę, że Diana szpiegowała na rzecz amerykańskich władz – mówię. – Zapewne dla CIA. I myślę, że usiłowała zinfiltrować jakąś organizację i została ujawniona, zdemaskowana, straciła przykrycie – jak zwał, tak zwał. Więc upozorowaliście jej śmierć, żeby tamtych zmylić. Może ją chroniliście. Może chroniliście tajne informacje. Nie wiem. Nawet mnie to nie obchodzi, jeśli chce pan znać prawdę. „Capital Beat” nigdy nie dążył do ujawniania informacji wywiadowczych. Nie tym się zajmujemy.

– Dziękuję – mówi zastępca dyrektora. Nawet to słowo brzmi w jego ustach jak „odpieprz się”.

– Ale rzecz w tym – kontynuuję. – Że ktoś uważa, że wiem, co wiedziała Diana, bo usiłuje mnie zabić. Poza tym próbuje mnie zrobić w „śmierć” Diany i Jonathana Liu, tego lobbysty. Może nawet spadnie na mnie wina za to, że parę dni temu w zasadzce na Dwunastej Ulicy zginął policjant, mój dobry przyjaciel, nawiasem mówiąc. Więc teraz mnie to obchodzi, panie Carney. I przewrócę do góry nogami wszystko, co będzie trzeba, żeby ocalić życie i oczyścić nazwisko.

Zastępca dyrektora CIA opiera się na fotelu i patrzy na mnie przez zmrużone powieki. Mocno mu przyłożyłem. Jednakże nie wygląda na zaskoczonego.

– Wszystko to brzmi bardzo intrygująco – mówi. – Ale nie wiem, w jaki sposób mógłbym ci być pomocny.

– Och, wie pan i zrobi to pan. Powiem panu dlaczego.

## Rozdział 55

– No to mów, Ben, bardzo cię proszę. – Zastępca dyrektora CIA wydaje się rozbawiony. – Czekam z zapartym tchem, aż mi powiesz, dlaczego i w jaki sposób mam ci pomóc. Tobie, dziennikarzyni ze szmatławca, którego nikt nie czyta, motającym bajeczkę, w którą nikt nie uwierzy.

Z wielką chęcią przywaliłbym temu nadętemu palantowi. Ale muszę poprzestać na tym, że napędzę mu stracha.

– Panie Carney, pamięta pan Gary’ego Conditą?

Nawet się nie poruszył, to dla niego typowe, ale zdradziło go drgnięcie oka.

– Kongresmen Condit nie zabił Chandry Levy – kontynuuję. – On z nią tylko sypiał. Romanse stale się zdarzają i szkodzą politykom, ale prawie zawsze można się z nich wywinąć. Urządza się grzeczną konferencję prasową z żoną u boku, kornie przyznaje do uchybień za pomocą takich zwrotów, jak: „Popełniłem błędy” lub „Nie byłem doskonały”, wrzuca się odwołanie do Boga, a jeśli to konieczne, poddaje się odwykowi lub terapii, i voilà, wygrywa się ponownie wybory. Ale Gary Condit miał pecha, bo romansował z kobietą, którą znaleziono martwą. Więc mimo że nie miał z jej śmiercią nic wspólnego, splamiło go skojarz...

– Czy to do czegoś zmierza, panie Casper?

Hm, teraz jestem pan Casper.

– Więc zastanawiam się, jak to wpłynie na pańską karierę polityczną, jeśli wyjdzie na jaw, że romansował pan z kobietą, która popełniła samobójstwo.

Carney zwilża wargi. Twarz mu czerwienieje, ale robi, co może, żeby przypominać manekina. Dla niego to żaden wysiłek. Bardzo dużo ćwiczy.

– Coś jakby paragraf dwudziesty drugi, prawda, panie Carney? Jeżeli mamy wierzyć, że ona nie żyje, pan musi trzymać się swojej historyjki, tak? Wychodzi na to, że były kongresmen,

a obecny zastępca dyrektora CIA Craig Carney miał romans z kobietą, która wyskoczyła z balkonu. Jak pan będzie wtedy wyglądał? Dobrze? Źle? Brzydko?

(W tym miejscu można by dać skojarzenie z Clintem Eastwoodem, ale jestem teraz ciut zaaferowany).

Carney zaciska zęby. Wiem, co chciałby powiedzieć: Romans z Dianą skończył się lata temu. Ze słów Diany wynikało, że jest to prawda. Jednak obaj wiemy, że to tylko detal. Żeby rozróżnienie było możliwe, musiałby się przyznać do romansu.

– Wygląda pan jak kot, który zjadł kanarka, panie dyrektorze.

Raptownie mruga oczami, trawiąc moją uwagę. Szlag. Moja wersja była chyba trafna, a Ashley Brook się myliła. Powinienem wrzucić kwestię z ręką w pudełku z ciasteczkami. Kolejna nauczka dla was wszystkich: idźcie za tym, co mówi instynkt.

Długie milczenie, które wtedy nastąpiło, muszę zaliczyć do najlepszych chwil w całym tygodniu. Carney odchrząkuje i przesuwa się w przód na fotelu.

– Młody człowieku – zaczyna równym tonem, ale wychwytyuję drżenie w jego głosie. – Ma pan pojęcie, w jakie kłopoty może się pan wpakować, szantażując zastępcę dyrektora CIA?

Wzruszam ramionami.

– Może być coś gorszego niż zastrzyk w ramię za morderstwo? Niech pan pamięta, panie Carney, że świat, w którym żyję, spieprzyliście tak dokumentnie, że mam mało do stracenia.

Wstaję i zapinam kurtkę. Kupiłem nową wczoraj w sklepie przy M Street, bo dalej wiodę tułaczy żywot. Jest z dzinsu, bardziej na luzie i odpowiedniejsza dla Benjamina Caspera, dziennikarza, który zamienił się w uciekiniera.

– Mam dowód świadczący o pańskim romansie i opublikuję go – mówię, układając dłonie w linię tytułu. – „Konserwatysta, zwolennik prawa i porządku oraz wartości rodzinnych, obecnie stróż naszego głównego ośrodka wywiadowczego, przyłapany na pikantnym romansie z ważną asystentką, która z rozpaczyny popełniła samobójstwo”. Aha, poza tym policja bada możliwość, że kobieta sama nie wyskoczyła, że być może została zepchnięta z balkonu. Że ją zamordowano. Ojej, kto może być



podejrzany? Nie minie dziesięć, dwanaście sekund, a wszystkie główne media w kraju podchwycą wątek. Jest pan przygotowany na tego rodzaju popularność? A żona?

Nachylam się nad biurkiem, żebyśmy mogli sobie na koniec spojrzeć prosto w oczy.

– W artykule mogą przy okazji paść słowa: „operacja Delano”. Jest już napisany, à propos. Zabicie mnie nie powstrzyma jego publikacji.

Prostuję się, kiwam głową wstrząśniętemu Carneyowi i kieruję się do drzwi.

– Ma pan dozę, panie dyrektorze – mówię. – Proszę udzielić odpowiedzi na moje pytania, bo inaczej wyląduje pan znowu w Des Moines i będzie sprzedawał farmerom traktory. A prezydent zacznie się rozglądać za kandydatem na kolejnego dyrektora CIA.

## Rozdział 56

Wychodzę z Hart Building i puszczam się biegiem Pierwszą Ulicą do stacji metra Capitol South. Oglądam się, czy ścigają mnie mężczyźni w czerni lub samochody, ale nie widać ani jednych, ani drugich. Zaryzykowałem, umawiając się z Craigiem Carneyem, ale mam nadzieję, że moje groźby przystopowały go choć na parę godzin, że będzie się teraz głowił nad następnym ruchem.

Spędzam godzinę w metrze, przeskakuję z pociągu do pociągu, licząc na to, że zgubię tego, kto może mnie śledzić. Wszyscy są podejrzani: uprzejma babunia, dobrze ubrana młoda kobieta, która wygląda, jakby zmierzała na rozmowę kwalifikacyjną, bezdomny z okruchami jedzenia w brodzie. Nie ufaj nikomu.

Między przesiadkami znajduję bankomat, wyciągam pięćset dolarów, a potem wskakuję do następnego pociągu, zanim ktoś zdąży namierzyć transakcję.

Wieczór spędzam w delikatesach na Czternastej Ulicy i przeglądam notatki, które sporządziłem do artykułu o Craigu Carneyu i Dianie Hotchkiss. Rzecz jasna, blefowałem, mówiąc, że artykuł jest gotowy, ale teraz muszę go dokończyć. Treść jest w dużej mierze niepoparta dowodami; łągałem również wtedy, gdy mówiłem, że mam dowód świadczący o tym, że Diana romansowała z Carneyem. Nic takiego nie posiadam. Mam tylko słowo Diany. Zgodnie ze standardami edytorskimi nigdy bym tego artykułu nie oddał do druku bez dalszego potwierdzenia. W tej chwili jednak nie martwię się o kryteria dziennikarskiej rzetelności. Bardziej troszczę się o to, żeby uratować swój tyłek.

Czy puszczę to, jeśli Craig Carney przejrzy mój blef? Nie wiem. „Capital Beat” może i nie jest najpopularniejszą gazetą w sieci, ale nigdy nie goniliśmy za sensacją. Nigdy nie złamaliśmy standardów. Czy jestem gotów zrobić to teraz?

Na razie nie ma sensu się tym kłopotać. Po prostu napisz to, Ben.

Macham więc szkic, wysyłam go mailem do biura Carneya i do siebie dla bezpieczeństwa, po czym zamykam laptop. Wmuszam w siebie kanapkę z pieczoną wołowiną, gdyż brak snu i niedożywienie czynią z Bena łatwiutki cel.

Dochodzi dwudziesta pierwsza. Zaszło słońce, lecz nabrałem trochę otuchy po ukończeniu artykułu. To błaga. Ale jednak coś.

Wyjmuję telefon komórkowy, mój prawdziwy, a nie szajs na kartę, z którego ostatnio korzystam. Z drugiej kieszeni wyciągam baterię. Widziałem w jednym filmie, że komórki nie da się namierzyć, jeśli wyjmie się z niej baterię. Więc teraz ją włożę i przejrzę wiadomości, a potem prysnę stąd w diabły i wyniosę się do innej części stolicy, zanim spadną na mnie z góry czarne helikoptery.

Po wejściu do skrzynki głosowej widzę cztery wiadomości. Jedna pochodzi od nieznanego nadawcy. Dwie są od George'a Hotchkissa z Wisconsin.

Ostatnią zostawiła kwadrans temu Anne Brennan. Wybieram ją i unoszę aparat do ucha.

„Ben... to ja, Anne. Ja... przyjedź tutaj, Ben. Oni powiedzieli, że następnym razem mnie zabiją... Proszę cię, nie wiem, do kogo jeszcze mogę zadzwonić...”

Zrywam się z ławki, chwytam torbę i ruszam w kierunku wyjścia.

## Rozdział 57

– To ja, Ben – mówię do drzwi. – To ja, otwórz.

Anne otwiera i coś szarpie mnie za serce. Jej długa dżinsowa koszula jest rozdarta przy kołnierzyku, większość guzików odpadła. Widzę przekrwione oczy Anne, rozmazany makijaż, zakrwawioną wargę. Pokój dzienny wygląda tak, jakby przetoczyło się po nim tornado.

Szybko zamyka za mną drzwi i podwójnie zabezpiecza.

– Usiądźmy – odzywam się najspokojniej, jak potrafię, ale serce mi się kraje i burzy się we mnie krew.

– Do-dobrze – odpowiada Anne, ale nie dochodzi do kanapy, tylko osuwa się na podłogę. Płacze spazmatycznie, jej drobnym ciałem wstrząsają niekontrolowane drgawki. Siadam obok niej i biorę ją w ramiona, jakbym kołysał maleńkie dziecko do snu. Minie dużo czasu, zanim będzie mogła mówić, a ja jej nie ponaglęm. Powtarzam „Już dobrze, jestem tu”, jak gdyby to mogło ją teraz ukoić.

– Było... było ich dwóch – zaczyna, głośno przełykając łyż między słowami. – Powiedzieli, że są... z władz i... i chcą tylko porozmawiać.

– Mieli dokumenty? Odznaki?

Anne kręci głową.

– Wpuściłaś kogoś bez... – Nie kończę. Ona nie potrzebuje ode mnie wykładów. Nie znam jej aż tak dobrze, ale z tego, co dotąd wywnioskowałem, wynika, że jest ufna i mogła wpuścić nieznanym do mieszkania.

– Opowiadaj – zachęcam. – Co tu się wydarzyło.

Relacja wyłania się spośród szlochów i głębokich westchnień. Anne zacina się i gubi, ale wyłapuję sens. Wpakowali się siłą. Przystawili jej nóż do gardła. Zerwali jej koszulę i ściągnęli spodnie.

– Powiedzieli, że następnym razem... że mnie zgwałcą, a potem poderzną mi gardło – mówi, jękając się. – Powiedzieli,

że jeśli Benjamin Casper nie przestanie wtykać nosa w nie swoje sprawy, to ja za to zapłacę...

Długo trzymam Anne w objęciach; zaciskam szczęki, moje ciało drży od gniewu.

– Chcesz, żebym został? – pytam szeptem. – Mogę spać na kanapie...

– Chcę, żebyś przestał – wykrztusza. – Chcę, żeby to wszystko... się skończyło.

W mieszkaniu piętro wyżej zamykają się drzwi. Oboje podskakujemy. Dranie, którzy przekazali wiadomość, zapewne dzisiaj nie wrócą. Ale może wiedzieli, że przyjdę.

Anne spogląda na mnie.

– Wiem, że nie mam prawa o to prosić. Wiem, że Diana była dla ciebie ważna. Dla mnie też. Ale czy warto?

Ma rację. Ryzykować moje własne życie to jedno, w tej kwestii nie mam właściwie wyboru. Ale narażam ludzi, na których mi zależy. Ellis Burk, teraz Anne – niewinne ofiary poniosły karę za to tylko, że mnie wysłuchały i chciały mi pomóc.

– Postaram się coś wymyślić – mówię i jest to najbardziej pusta obietnica, jaką mogłem jej złożyć.

## Rozdział 58

Noc spędzam u Anne, siedząc na kanapie i co jakiś czas przysypiając, ale przez większość czasu obserwuję drzwi i kombinuję, jak by tu wydobyć się z tego bagna.

Rano mam mgłę w głowie, trzęsę się, a w moim żołądku zagnieździł się permanentny ból. Z telefonu na kartę dzwonię do George'a Hotchkissa, który wczoraj dzwonił dwa razy na moją starą komórkę, ale nie zostawił wiadomości.

– George, tu Ben Casper. Wiem, że bardzo byś chciał dowiedzieć się więcej o Dianie. Ale potrzebuję więcej...

– Nie wiesz, co ci chcę powiedzieć – wpada mi w słowo. – A ja chcę, żebyś zapomniał o tym, co nam mówiłeś. Nie chcę, żebyś robił szum z powodu Diany. Chcę, żebyś dał spokój.

On chce, żebym dał spokój?

– George...

– Ona odeszła, Ben. A im szybciej żona i ja się z tym pogodzimy, tym szybciej będziemy mogli znowu zacząć żyć. Straciliśmy dwoje dzieci w ciągu tygodnia.

Wzdycham. Oczywiście go rozumiem. Ale gdyby istniała szansa, że moje dziecko nadal żyje, rzuciłbym się w pogoń za tą nadzieją jak wcześniej za niczym innym. Czemu George Hotchkiss nie chce tak postąpić?

Och. Och, jasne.

– Dobrali się do ciebie, prawda, George? Oni...

– Nikt nic nie zrobił – zaprzecza podniesionym głosem, jakby się zląkł. – Nikt nic nie zrobił, kapujesz? Wciąż mam żonę i nie chcę stracić także jej. Więc nie zwrócę się do władz z prośbą o wydanie zwłok Diany, zrobienie testu DNA ani niczego innego, i tobie także nie udzielam zgody na takie posunięcia. I mówię ci, że masz zaprzestać badania tej sprawy. Chcę, żebyś dał spokój. Diana nie żyje, dobrze? Ona nie żyje.

Szlag. Ci goście są cwani. Naciskają na każdy czuły punkt, jaki mogą znaleźć. Dobrali się do George'a i go nastraszyli.

– Niech pan przestanie, panie Casper – mówi George. – Proszę pana.

## Rozdział 59

– Nie jest dobrze, Ben.

Eddie Volker wypowiada te słowa, zanim powie mi cześć. Jestem w jego kancelarii, dotarłem tutaj najbardziej okrężną trasą, jaką mogłem znaleźć.

– Wcale nie jest dobrze.

Eddie to adwokat naszej gazety, reprezentuje nas w sądzie w rzadkich przypadkach, gdy ktoś pozywa nas za zniesławienie albo ma jakieś inne pretensje w związku z artykułem, który opublikowaliśmy. Jednak główne pole jego praktyki to obrona w sprawach karnych, i właśnie dlatego kazałem mu się skontaktować z detektyw Liz Larkin i omówić moją sprawę. Przybyłem tutaj, żeby się czegoś dowiedzieć, i pierwsze słowa Eddiego nie są tymi, które pragnąłem usłyszeć.

Wnętrze biura zapracowanego prawnika: wszędzie stosy papierów, ozdobne dyplomy i wyróżnienia na ścianie, na biurku stoi kubek gorącej kawy ze Starbucksa. Eddie przegrywa ostatnio walkę z łysieniem tak samo jak z rosnącym brzuchem, ale nadal prezentuje się imponująco. To, że mam go po swojej stronie, dodaje mi trochę otuchy.

– Jak ci wiadomo, przeszukali twój dom. Mieli nakaz i na moje oko nic mu nie brakuje. Nie ma podstaw, żeby się o to kłócić. Ale to, co znaleźli, nie jest dla nas korzystne, Ben.

Nie odpowiadam. Jest w moim domu wiele rzeczy, które byłyby dla mnie kłopotliwe, ale nie wyobrażam sobie, co mogłoby stanowić dowód, że zabiłem Dianę lub Jonathana Liu, zwłaszcza wobec drobnego faktu, że żadnego z tych dwojga nie zabiłem.

– Narobiłem dużo hałasu z powodu Pierwszej Poprawki, że gliny nie mogą kraść notatek dziennikarza ani wytworów jego pracy, zagroziłem, że pójdę do sądu i zdobędę nakaz ochrony. Ale nie widziałem, by ktoś wyskoczył ze strachu z butów, Ben. Ja na ich miejscu też bym się nie przestraszył.



– A to dlaczego? – pytam.

Eddie przesuwa papiery na biurku. Taktyka unikowa, robisz coś takiego, kiedy nie chcesz przekazać złej wiadomości.

– Znaleźli na twoich butach ślady włókien z wykładziny w mieszkaniu Diany Hotchkiss.

– I co z tego? Wiele razy bywałem w mieszkaniu Diany.

– Na innej parze butów znaleźli ślady włókien z dywanu z parteru domu Jonathana Liu.

– To niemożliwe. – Po wyjściu z domu Jonathana Liu nie wchodziłem do mojego mieszkania. Ciągle uciekałem.

Eddie kiwa krótko głową. Nie pierwszy raz w karierze Eddiego ktoś, kto siedzi na moim miejscu, zaprzecza, że coś zrobił. Zapewne nawet dzisiaj nie jest to pierwszy raz. Słowa „Nie zrobiłem tego” odbijały się od ścian tego gabinetu tak często, że wryły się w tynk.

– Ben, oni mówią, że zabiłeś Jonathana Liu w taki sam sposób jak swoją matkę. Mówią, że albo podkradłeś się do niego od tyłu, albo go obezwładniłeś, przystawiłeś mu pistolet do skroni i nacisnąłeś spust. Potem upozorowałeś to na samobójstwo.

Gapię się na sufit.

– Nie mają na to żadnego dowodu. Nie mają dowodu nawet na to, że byłem w jego domu, kiedy go mordowano. Włókno z dywanu...

– Oraz twoje odciski palców na myszce komputerowej Liu...

– No dobrze, jedno i drugie może potwierdzać, że kiedyś tam byłem, ale nie wtedy, gdy został zabity.

Eddie patrzy na mnie tak, jakby miał więcej do powiedzenia, jakby ekspres złych wieści jeszcze się nie zatrzymał.

– Wykrztuś to – mówię.

Wzdycha.

– Ben, oni znaleźli w twojej sypialni portfel Jonathana Liu.

– To bzdura! – prawie krzyczę. – To jest bzdura!

– A on użył karty kredytowej do zakupu biletu lotniczego dla siebie tego wieczoru, kiedy zginął. Więc ten, kto mu ukradł kartę kredytową, musiał to zrobić później. W zasadzie oznacza to, że mają potwierdzenie twojej bytności w jego mieszkaniu mniej więcej w czasie, który jest zgodny z czasem zgonu ofiary określonym przez koronera.

Podrywam się z krzesła.

– To nie do wiary. Podrzuć mi portfel i włókna z dywanu Jonathana Liu. Wrobili mnie. Do kurwy nędzy, wrobili mnie!

– Wierzę ci i będę o ciebie walczył – mówi Eddie. – Ale wygląda to bardzo źle. Chcą, żebyś zgłosił się na dalsze przesłuchanie. A jeśli nie dostarczę cię im przed końcem dnia, wystawią nakaz twojego aresztowania.

Zakrywam twarz dłońmi i opieram głowę o ścianę. W końcu zapędzili mnie do narożnika.

Eddie podchodzi i kładzie mi ręce na ramionach.

– Czas zadbać o ograniczenie strat, przyjacielu. Zawiozę cię tam. Spiszą cię, pobiorą odciski palców, a ja zobaczę, czy uda się coś zrobić w sprawie kaucji.

Śmieję się gorzko.

– Kaucja za podwójne morderstwo? Czy jest na to jakaś szansa?

– Raczej nie. – Eddie zawsze mówił mi wszystko wprost. – Grozi ci długi areszt w oczekiwaniu na rozprawę. Ale postawimy wszelkie blokady...

– Nie dojdzie do rozprawy – wcinam mu się. – Oni do tego nie dopuszczą. Jeśli znajdę się w środku, już stamtąd nie wyjdę.

Biorę oddech i kiwam Eddiemu głową.

– Będę w kontakcie.

– Wystawią nakaz, Ben. Zaczną cię szukać. Zrobi się paskudnie.

Proszę cię, zakończ to, mówiła Anne.

Proszę cię, przestań, błagał George Hotchkiss.

Oddaj się w ręce policji, radzi mi Eddie.

Wyjmuję rękę z jego dłoni.

– Daj mi parę godzin na zastanowienie – odzywam się po chwili. – Będę w kontakcie.

## Rozdział 60

– Poproszę z zastępcą dyrektora Carneyem – mówię do nowego telefonu na kartę, który kupiłem godzinę temu.

– Mogę wiedzieć, kto dzwoni?

– Jego ulubiony dziennikarz – odpowiadam. Biorę oddech i sprężam się. Dasz radę, Ben. Graj pewnego siebie. Nie zachowuj się, jakbyś się bał albo postradał zmysły. Utrzymuj przewagę.

Po chwili:

– Mówi Craig Carney.

– Witam, panie dyrektorze. Doba upłynęła. Pamięta pan, że wyznaczyłem nieprzekraczalny termin.

– Owszem, pamiętam.

– Przeczytał pan artykuł, który wysłałem mailem do pańskiego biura?

– Przeczytałem dokument, który nie wykazuje najmniejszego związku z prawdą, panie Casper.

– Tak czy owak, pstryknę palcami i znajdzie się online, jako duży tytuł na głównej stronie. Mam pstryknąć, panie dyrektorze, czy zechce mi pan coś powiedzieć?

– Coś panu powiem.

– Spodoba mi się?

– Tak, mnie na pana miejscu by się spodobało. Ale nie przez telefon. Proszę przyjść do mojego biura.

To najmniej zaskakująca rzecz, jaką mógł powiedzieć.

– Do pańskiego biura? Nie sądzę. Muszę chwilę pomyśleć. – Biorę łyk wody z butelki, którą trzymam w ręku. W ustach mam sucho jak w piaskownicy. Serce mi wali tak wściekle, że ledwo słyszę własne słowa.

Robię kilka krótkich oddechów. Zwłoka działa na moją korzyść, bo on myśli, że zastanawiam się, w którym miejscu mamy się spotkać. Prawda jest taka, że już wiem.

– Obok pomnika Waszyngtona – mówię. – Za godzinę. Proszę stanąć po wschodniej stronie twarzą do Kapitolu. I jeszcze jedno, panie Carney, będziemy tylko my dwaj, tak?

– Oczywiście.

– Oczywiście – powtarzam, przedrzeźniając go. – Jeśli będzie nas więcej, pstryknę palcami. Wie pan, co to znaczy?

Carney wzdycha.

– Będziemy tylko my dwaj, panie Casper.

– Dobrze. Więc do zobaczenia. Niech pan założy czapkę Nationalsów.

– Co mam założyć?

– Czapkę drużyny baseballowej Nationals. Żebym wiedział, że to pan.

– Będzie pan wiedział, że to ja.

– Proszę założyć czapkę Nationalsów, a oprócz tego niech pan trzyma w ręku ich proporczyk. Wie pan, taki do machania.

– Do czego to potrzebne?

– Bo nie pokażę się, dopóki pana nie zobaczę. A na odległość pana nie rozpoznam. Więc proszę mieć na głowie czapkę Nationalsów i machać proporczykiem.

– Nie mam żadnej z tych rzeczy.

– Jest pan jedną z najważniejszych osób w kraju, panie Carney. Ufam, że poradzi pan sobie z tym zadaniem. Proszę zrobić to, co mówię, bo w przeciwnym razie za godzinę opublikujemy artykuł. Aha, założyłem nowe konto internetowe pod fałszywym nazwiskiem, oczywiście, jest ustawione tak, by wysłać tekst do „Washington Post”, „Timesa” i dziesięciu innych gazet, półtorej godziny od teraz. Zostanie rozesłany, jeśli tego nie zastopuję.

Carney nie odpowiada. To dobrze. Pozwala mi rozgrywać.

– Za godzinę – kończę. – I proszę mi podać numer swojej komórki.

Podaje. Rozłączam się, ścieram pot z czoła, zginam się w pół i wymiotuję na krzak.

## Rozdział 61

Godzinę później wybieram numer, który podał mi Craig Carney.

– Witam, panie Casper – mówi zastępca dyrektora CIA. – Jestem obok pomnika Waszyngtona, jak pan widzi. A pan gdzie jest?

Gdzie jestem? Wśród około pięciuset osób spacerujących po zachodniej stronie National Mall i oglądających liczne pomniki. Ale on nie musi tego wiedzieć. Tak jak prawie wszyscy tutaj, mam aparat, ale nie pstrykam fotek. Wykorzystuję go jako lornetkę, powiększam obraz, jeśli chcę się czemuś przyjrzeć, i staram się nie robić tego zbyt ostentacyjnie.

– Proszę przejść na drugą stronę pomnika, panie dyrektorze. Niech pan przejdzie na zachodnią stronę i stanie twarzą do pomnika Lincolna.

– Dobrze, przechodzę na drugą stronę pomnika.

Mam wrażenie, że nie kierował tych słów do mnie. Myślę, że sygnalizuje komuś – agentom FBI lub CIA, straży Kapitolu lub jeszcze komuś innemu – co robi. Na pewno jest odrutowany. To tak samo zaskakujące jak gorący dzień w sierpniu.

– Nie macha pan proporczykiem, panie Carney. Kazałem panu machać.

No dobra, to nie było potrzebne, ale miejcie litość, jestem strzępem nerwów. Usiłuję sam sobie wmówić, że mam przewagę. To jest partia pokera o wysoką stawkę, a ja nie grałem nigdy w nic oprócz pasjansa.

– I co, zadowolony pan teraz?

– Tak tylko żartowałem. Nie wiem, czy macha pan proporczykiem, czy nie. Nie ma mnie na National Mall. Przykro mi. Zaszła zmiana planów.

Często pada taka kwestia w filmach, kiedy ktoś ma zostawić gdzieś okup albo gdy chodzi o kontrolowane spotkanie. Wypowiadam ją więc z maksymalną brawurą, na jaką mnie

stać, robiąc wszystko, by panować nad drzeniem głosu. A mało brakuje, żebym się posikał w spodnie.

– Proszę iść na stację metra Foggy Bottom, wsiąść do pociągu Orange Line i dojechać do przystanku Landover.

– Landover? To idiotyczne.

– Albo pan to robi, albo stanie się pan narodową hańbą. Zegar tyka.

Stukam palcem w telefon i słucham, jak przewodnik tłumaczy mnie i tuzinowi innych osób, co symbolizuje każda kolumna pomnika poświęconego drugiej wojnie światowej. Ciekawe.

A co jest jeszcze ciekawsze? To, co teraz nastąpi. Craig Carney stoi obok pomnika Waszyngtona i mówi do swojego kołnierza. Potwierdza tym samym, że jest odrutowany; najwyraźniej informuje swoich ludzi o następnym ruchu.

Rusza w kierunku północno-zachodnim ku stacji Foggy Bottom. Kilka osób ubranych jak turyści nagle traci zainteresowanie atrakcjami, które rzekomo przyszli oglądać, i jednocześnie zmienia kierunek. Mężczyzna w mundurze marynarki wojennej i okularach przeciwsłonecznych, stojący obok pomnika wojny koreańskiej, nagle zaczyna iść w stronę pomnika Waszyngtona i z pewnej odległości śledzi Carneya. Mężczyzna w szarej koszulce i dżinsach obok pomnika Waszyngtona odbija ku północy i biegnie, co oznacza, że albo jest człowiekiem Carneya, albo lubi uprawiać jogging w dżinsach. Dwie kobiety, jedna w niebieskim kostiumie, a druga w lekkiej brązowej sukience, które szły spacerem na wschód wzdłuż lustrzanej sadzawki, nagle przerywają spacer i jakby nigdy nic ruszają w przeciwnym kierunku. Luźno ubrani mężczyzna i kobieta, którzy są obok pomnika drugiej wojny światowej nie dalej niż dwadzieścia metrów ode mnie, zatrzymują się nagle, przelotnie dotykają uszu, a następnie podążają za Carneyem, kiedy ten mija ich w drodze do stacji metra. Jakaś kobieta, sobowtór Patricii Arquette z *Żegnaj, kochanku*, schyla się i poprawia pasek u szpilek. Nie sądzę, by była z Carneyem, ale moim zdaniem Patricia Arquette jest w tym filmie absolutnie wystrzałowa.

Znowu wybieram numer Carneya.

– Jeszcze jedno, panie Carney. Zadam panu pytanie, a jeśli nie odpowie mi pan szczerze, kończymy zabawę. Artykuł pójdzie w świat. Jest pan gotów?

Carney zatrzymuje się.

– Proszę pytać.

– Czy przyszedł pan sam, tak jak prosiłem?

Rozgląda się. Nie wie, czy tam jestem, czy mnie nie ma. Powiedziałem, że nie, ale on nie może być pewny.

– Nie, Ben. Jestem drugim najważniejszym urzędnikiem Centralnej Agencji Wywiadowczej i umawiam się na spotkanie z kimś, kto jest poszukiwany za dwa morderstwa i kto usiłuje mnie szantażować. Mowy nie ma, żeby pozwolili mi się z panem spotkać bez zabezpieczenia. Ale ich zadanie ogranicza się tylko do tego, Ben. Nikt pana nie aresztuje ani nie zrobi panu krzywdy.

W porządku. Przyznał się. Powiedział prawdę. Dobre i to na początek. W życiu nie ma żadnych gwarancji.

– Proszę się odwrócić, panie Carney. Minął mnie pan dwie minuty temu.

– Och, pan tu jest... Dobrze. Gdzie pan jest?

– Obok pomnika drugiej wojny światowej. Grupa turystów obok łuku atlantyckiego. Jestem tym facetem na wózku.

## Rozdział 62

Kiedy wstaję z wypożyczonego wózka, inni członkowie grupy wzdychają głośno.

– Stał się cud! – mówię. – Ja chodzę!

Zostawiam ich i idę na spotkanie Craiga Carneya, który wygląda olśniewająco w szykownym trzyczęściowym garniturze i karmazynowym krawacie, czapeczka i proporczyk Nationalsów leżą już na ziemi. Postanawiamy przespacerować się wzdłuż sadzawki lustrzanej. Upał sprawił, że na czole zastępcy dyrektora CIA zebrały się krople potu i jest to dla mnie jakaś pociecha, bo ja także pocę się pod ubraniem.

Staram się oddychać równomiernie, lecz jest to trudne. Czekałem na to spotkanie, ale mam nieprzyjemne przeczucie, że nie odejdę z niego usatysfakcjonowany. Jednak nie widzę innych możliwości na horyzoncie.

– Wiem o panu wszystko, co można wiedzieć, Ben – zaczyna Carney. – Wiem o pańskim dzieciństwie. Wiem o ojcu i matce. Wiem, że tę swoją gazetkę robi pan z zamiłowania, a nie po to, żeby opłacić rachunki. To pana dziecko. I dlatego wiem, że bez względu na wszystko nie wydrukowałby pan artykułu, o którym pan wie, że nie jest prawdziwy. Nie zrobiłby pan tego swojemu dziecku.

– Strach przed śmiercią potrafi wyczyniać cuda z ludzkim poczuciem rzetelności – zauważam.

– Och, nie musi do tego dojść – mówi zastępca dyrektora, jak gdybym przesadnie dramatyzował sytuację. Mam nadzieję, że się nie myli. – Wie pan, Ben, kiedy mój ojciec był w senacie, miał takie powiedzonko: Nie stawaj przed kulą toczącą się z boczem wzgórza. Innymi słowy, trzeba wybierać bitwy, w których chce się uczestniczyć. Jeśli nie można czegoś powstrzymać, nie warto marnować na to czasu.

– Więc zapewne nie był wielkim miłośnikiem takich osób, jak Martin Luther King czy Susan B. Anthony.



Carney śmieje się cicho.

– Przyrównuje się pan do lidera walki o równouprawnienie?

– Żaden ze mnie bohater – mówię. – Daleko mi do tego. Ale mamy ze sobą coś wspólnego. Obaj walczymy z naszym rządem. Nie uświadamiałem sobie tego, dopóki ktoś nie zaczął do mnie strzelać i wrabiać mnie w morderstwo.

Dochodzimy do pomnika Lincolna. Abe'a Uczciwego człowiek musi kochać, ale nie jestem fanem tego posągu przypominającego grecką świątynię. A jednak trudno powstrzymać podziw. Byłem tutaj z pięćdziesiąt razy i dostaję dreszczy, ilekroć na niego spojrzę.

– Rząd Stanów Zjednoczonych nie zabija swoich obywateli – stwierdza Carney. – Jeżeli ktoś usiłował pana zabić, to nie my.

Co innego może powiedzieć, skoro nosi na sobie sprzęt podsłuchowy?

– Nie miałem romansu z Dianą Hotchkiss, Ben. Jeśli usłyszał pan od niej coś przeciwnego, to jest to tylko jedno z kłamstw, którymi pana uraczyła.

Przy narożniku sadzawki skręcamy w lewo, na południe.

– Dlaczego pan tego nie powiedział, panie dyrektorze? Cała sprawa jest nieporozumieniem. Mój błąd. Przepraszam, że sprawiłem panu kłopot.

Ani odrobiny uśmiechu na ustach Carneya. Nie da się o nim powiedzieć, że jest skory do żartów.

– Jest pan skołowany i wzburzony. Nie mam panu tego za złe, stoi pan wobec poważnych zarzutów kryminalnych. Pańskie życie może się bardzo szybko skończyć. Ale wie pan co, Ben? Nie zdaje pan sobie sprawy, jaki z pana szczęściarz.

– Szczęśliwe jest dla mnie to, że wiem o pańskim romansie z Dianą.

Pomija milczeniem moją uwagę. Znowu skręcamy obok narożnika sadzawki, tym razem kierujemy się na wschód.

– Dużo pan wie o drugiej wojnie światowej? – pyta.

– Chyba wystarczająco dużo. – Obejrzałem *Szeregowca Ryana* i serial na HBO, który zrobił Tom Hanks. To się liczy?

– Zna pan historię o tym, jak naziści zbombardowali miasto Coventry w Anglii? Wielu ludzi uważa, że Churchill wiedział o zbliżającym się nalocie, bo brytyjski wywiad przechwycił

i odszyfrował zakodowane wiadomości radiowe wysyłane przez nazistów. Wie pan o tym, Ben?

– Wiem, że niektórzy uważają, że Churchill wiedział o nalocie, ale nic nie powiedział, bo bał się, że naziści się domyślą, że Brytyjczycy złamali szyfr. Postanowił więc, że lepiej pozwolić im zrównać z ziemią jedno miasto, żeby utrzymać tę przewagę w tajemnicy. Zgodził się, żeby Coventry oberwało, bo na szali było większe dobro, czyli zwycięstwo w wojnie.

– Słusznie. Właśnie tak było, Ben.

– Wiem też, że większość ludzi uważa tę historię za brednie.

– Może tak – mówi zastępca dyrektora CIA – a może nie. – Przychodzi mi na myśl, że rozmawiam z jedną z szyc CIA, człowiekiem, który może wiedzieć, czy ta historia jest prawdą, czy fikcją. – Ale na pewno rozumiesz, do czego zmierzam, Ben. Czasem nie obejmuje się wzrokiem całości. Istnieje, jak pan to nazwał, większe dobro.

– No tak, ale jak to się ma do Diany? Albo do mnie?

Carney staje i odwraca się w moją stronę.

– To znaczy, że są rzeczy, które z wielką chęcią bym panu powiedział, gdybym mógł, rzeczy, dzięki którym wszystko by się panu wyjaśniło. Ale ze względu na bezpieczeństwo narodowe, nie mogę tego zrobić.

– Proszę więc wybaczyć, bo nie nadążam – mówię. – Co jest w tym dla mnie szczęśliwego?

Zastępca dyrektora CIA kiwa głową.

– Bo chcę, żeby to się skończyło. Złożę więc panu propozycję, której nie może pan odrzucić.

## Rozdział 63

– Uniknie pan wszystkich kłopotów z zarzutami kryminalnymi – kontynuuje Carney. – Wszystkie dochodzenia, które ich dotyczą, zostaną zamknięte. Śmierć Diany zostanie uznana za samobójstwo. A odpowiedzialność za śmierć policyjnego detektywa? Będzie wymazana. Mały szantażyk, który chciał pan wobec mnie wykręcić, wszystko zostanie wybaczone, Ben. – Kiwa palcem. – Na lepszy układ niż ten nie może pan liczyć.

Zachowuję pokerową minę, okazuję lekkie niedowierzanie. Ale nie da się zaprzeczyć, że modliłem się o coś takiego. O szansę, by odzyskać życie. Iść dalej. Tego samego pragnąłem dla Anne Brennan i rodziców Diany. Muszę mieć wzgląd nie tylko na siebie.

– A ci, którzy próbowali mnie zabić? – pytam.

Długo mierzy mnie wzrokiem. Przysięgnęłbym, że widzę cień uśmiechu, ale może to tylko złudzenie. Jeśli długo wpatrywać się w ścianę, powstaje wrażenie, że ściana się porusza.

– Tak jak powiedziałem wcześniej, amerykańskie władze nie mają z tym nic wspólnego.

– Jasne, że nie.

– Ale może wiemy, kto ma z tym coś wspólnego. I być może uda nam się jakoś temu zaradzić.

Nie daję rady dłużej ukrywać, co czuję. Nie jestem na to zaprogramowany tak jak Carney. Zaczynam więc znowu iść w kierunku pomnika Waszyngtona, wzdłuż południowego brzegu sadzawki. Pot kapie mi do oczu i cieknie po policzku. Carney zdaje sobie sprawę, że stąпам po nieznanym gruncie. To wszystko mnie przerasta, i to bardzo.

– A w zamian za to wszystko, za to, że nie będę ścigany i skończą się zasadzki z ostrzałem z broni maszynowej, co muszę zrobić?

– Nic, Ben. Dosłownie nic. Nie będziesz zadawał kolejnych pytań, prowadził śledztwa. Po prostu dasz sobie z tą sprawą spokój. Tak jest słusznie z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego, a przy okazji ocalisz życie. Wszyscy wygrywają.

Jakoś w tej chwili nie czuję się zwycięzcą. Nie bardzo wiem, jak dalej postąpić. Instynkt nakazuje mi rzucić się na ten deal łąpczywie jak pies, zgodzić się od razu. Tego chce Anne. Tego chce George Hotchkiss. Tego...

Tego chcę ja.

– Zgodzisz się – mówi Carney.

– Tak?

– Tak, Ben. I to z kilku powodów. Po pierwsze, wiesz, że jeśli puścisz tę lipną historyjkę o mnie, zrujnujesz opinię swojej gazety. Pozwę cię i wygram. Bo obaj wiemy, że Diana i ja nie mieliśmy romansu. A nawet jeśli będziesz ciągnął to swoje śledztwo, poudawajmy chwilę, że dokopiesz się do czegoś, co warto wydrukować, osiągniesz tylko tyle, że nadszarpniesz bezpieczeństwo kraju, ujawniając przewagi taktyczne, które udało nam się wypracować przeciwko naszym wrogom. Zakładamy, że zdołasz uniknąć więzienia i nie będziesz ścigany za dwa morderstwa. Oraz że zdołasz przeżyć, co jak wnoszę z twoich słów, jest bardzo niepewne.

Idziemy przez chwilę, a ja usiłuję rozszyfrować wszystko, co usłyszałem od Carneya. Byłoby fajnie, gdybym nagrywał tę rozmowę, żebym mógł ją później sobie odtworzyć.

Dlatego cieszę się, że ją nagrywam i później ją sobie odtworzę.

– Czy Diana żyje? – pytam.

Carney się uśmiecha.

– Nie na tym polega nasza umowa. Zgodnie z umową nie zadajesz pytań.

– Kto zabił Jonathana Liu?

– Jak to kto, Ben, ty go przecież zabiłeś.

– Czym jest operacja Delano?

Parska śmiechem.

– Dość tego, Ben. Chcę usłyszeć od ciebie odpowiedź. Tu i teraz. Wolisz spędzić tych parę dni, które ci zostały, na walce z wiatrakami czy wrócić do dawnego życia?

Odchodzę na bok, żeby chwilę pomyśleć. Mój wzrok wędruje po zachodnim krańcu National Mall. Obok pomnika Lincolna Martin Luther King wygłosił swoją mowę ze słowami „I have a dream”. Protesty przeciwko wojnom w Wietnamie i Iraku, marsze poparcia dla praw kobiet i robotników – wszystko to odbywało się na National Mall. Każdy stojący tutaj monument jest wyrazem hołdu dla odważnych ludzi, którzy walczyli z siłami zła, widzialnymi i niewidzialnymi, żeby ten kraj i świat stały się lepsze.

Żaden ze mnie bohater. Nigdy nim nie byłem. Żyłem bezpiecznie i ostrożnie. Dlaczego teraz miałbym zmieniać kurs? Tym bardziej że Carney ma rację: prac dalej, osiągnę tylko tyle, że trafię za kratki albo zginę.

– Chcę usłyszeć twoją odpowiedź od razu – mówi zastępca dyrektora. – No, Ben. Przecież wiesz, że jest tylko jedna.

– Może pan poczekać dwadzieścia cztery godziny. Proszę nie dzwonić, ja do pana zadzwonię.

## Rozdział 64

Powietrze tego wieczoru jest łagodne, jakby Matka Natura chciała nam dać dzisiaj krótkie wytchnienie od duchoty. Idaho Avenue została zamknięta dla ruchu na odcinku od Macomb Street do Newark Street. Słońce już zaszło i mrok rozprasza blask setek świec trzymanyh przez funkcjonariuszy w pełnym umundurowaniu, cywilów, a nawet dzieci; wszyscy zgromadzili się, żeby oddać hołd detektywowi Ellisowi Montgomery'emu Burkowi.

Prywatna ceremonia pogrzebowa odbędzie się innego dnia w tym tygodniu. Takie było życzenie wdowy po Ellisie, Delores, i jego córek Jody i Shannon.

Obok komendy policji ustawiono podest. Przemawiał minister, przemawiał komendant drugiej dzielnicy. Kościelny chór wzruszająco odśpiewał *Amazing Grace*.

Robi się cicho i słyszymy głos Delores Burk:

– Ellis kochał swoją pracę, kochał w niej wszystko. Lubił rozwiązywać problemy. Lubił pomagać ludziom. Ale przede wszystkim kochał was. Każdego uważał za członka rodziny. Cieszyłby się, widząc was wszystkich. Tak jak ja się cieszę. Mój mąż miał takie proste powiedzenie: Miej siłę, żeby postąpić słusznie. W sam raz do niego pasowało, jeśli znaliście Ellisa. Zawsze sprowadzał wszystko do prostych określeń. Postąpić słusznie. Jest na tym świecie to, co słuszne, i to, co niesłuszne, a Ellis zawsze wiedział, gdzie biegnie granica. Nigdy jej nie przekraczał. Uważał to za swój obowiązek jako funkcjonariusz Metropolitalnej Komendy Policji. Uważał to za swój obowiązek jako ojciec i mąż. Uważał to za swój obowiązek jako człowiek.

Stoję po drugiej stronie barierki. Źle zrobiłem, wchodząc w ten tłum. Nie dlatego, że mogą mnie rozpoznać i aresztować – choć istnieje taka możliwość – lecz dlatego, że mógłbym zakłócić uroczystość. Ellis zaś na nią zasługuje.

To na mnie spada wina za jego śmierć. Zwróciłem się do niego, kiedy nie było innych opcji. A on mi pomógł, mimo że sprawa wykraczała poza obszar jego uprawnień. Pomógł mi, bo uważał, że tak jest słusznie.

Delores Burk ma rację. Istnieje to, co słuszne, i to, co niesłuszne. Istnieje czerń i biel. Waszyngton, stolica kraju, jest miastem żyjącym pośrodku, w szarej strefie. Ale to nie znaczy, że i ja tak muszę.

Jestem to winien Ellisowi. Ja go w tę walkę wciągnąłem i muszę ją doprowadzić do końca. Jeśli zginął za sprawę, która ostatecznie okaże się słuszna, jego rodzina powinna o tym wiedzieć. Jeżeli zginął dlatego, że ktoś usiłował zatrzeć ślady swoich podłych machinacji, rodzina także powinna się o tym dowiedzieć.

Ceremonia dobiega końca, a ja wyjeżdżam motorem na Trzydziestą Dziewiątą Ulicę, a potem skręcam w Massachusetts Avenue i kieruję się na południe. Jeszcze jedna długa noc, jeszcze jeden hotel. Przez krótką chwilę naprawdę myślałem, że dni uciekania dla mnie się skończyły.

– Panie Carney – mówię do komórki. – Nie dobieję z panem targu. Albo się dowiem, co jest grane, albo zginę. Więc zapnij pas, Craig. To będzie szalona jazda.

## Rozdział 65

Mam trochę czasu do zabicia przed następnym przystankiem, znajduję więc bar przy Piętnastej Ulicy, sączę powoli piwo i oglądam CNN w telewizorze, który wisi nad barmanem. Głos jest wyciszony, ale z paska dowiaduję się, że Rosjanie aresztowali kogoś, kogo nazywają szpiegiem Gruzji, i składają oficjalny protest. W 2008 roku doszło do konfliktu zbrojnego między Rosjanami a Gruzinami i istnieje obawa, że pożar może znów wybuchnąć.

Na ogół opowiadam się za pokojem i przeciwko wojnie, ale jeśli dojdzie tam do zbrojnej konfrontacji, może Ruscy odwołają gości, którzy ścigają mnie z pistoletami maszynowymi. Każdy może sobie pomarzyć.

O północy robię krótki spacer do skrzyżowania Piętnastej i Caroline. Anne Brennan mieszka na parterze dwupiętrowego ceglanego apartamentowca, światła są zapalone, więc domyślam się, że nie położyła się spać.

Najpierw uważnie się rozglądam. Nie sądzę, by ktoś mnie w tej chwili śledził, ale mogą obserwować Anne, licząc na to, że znajdą mnie. Być może sam wchodzę w sieć.

Ale nie mam jak tego sprawdzić. Nie widzę nikogo w autach stojących przy Piętnastej, a przechodnie zmiierzają gdzie indziej. Żaden nie ma na plecach napisu INWIGILACJA albo CZARNY CHARAKTER – dobre i to – lecz prawda jest taka, że jeśli ktoś obserwuje teraz mieszkanie Anne, nie dowiem się tego. A muszę pomówić z nią osobiście. Muszę zatem podjąć ryzyko.

Nie jestem jednak zmuszony zabierać się do tego na wariata. Ruszam Caroline, oddalam się od domu Anne i zataczam szeroki łuk do następnej ulicy, a potem podchodzę do budynku alejką od tyłu. Zabiera mi to dwadzieścia minut, ale warto dla spokoju umysłu.

Anne mieszka wprawdzie na parterze, lecz tył posesji otacza trzymetrowy parkan, na który pewnie zdołałbym się wspiąć,



gdyby mi naprawdę zależało. Ale mi nie zależy. Wybieram jej numer na jednym z wielu telefonów na kartę, które mam.

– Jestem w alejce za twoim domem. Mogę na chwilę wejść? Nie zapalaj światła na tyłach, jeśli nie są już zapalone. Nie ściągaj uwagi na mieszkanie.

Niespełna pięć minut później otwiera drzwi i podchodzi szybko do furtki, żeby mnie wpuścić. Jest bardziej zdenerwowana niż ja. Ale o wiele ładniej wygląda. Ma na nogach sandały i jest ubrana w za dużą zapinaną na guziki górę od piżamy, która sięga jej do kolan.

Wchodząc do mieszkania od tyłu, pierwszy raz widzę jej sypialnię i moje serce pierwszy raz drga leciutko. Kuchnia jest mała, ale panuje w niej nieskazitelny porządek. Anne prowadzi mnie do pokoju dziennego, tego, w którym napadły ją zbiry.

Siada z podwiniętą nogą na kanapie i patrzy na mnie dużymi czekoladowymi oczyma. W piżamie wielkiej jak namiot wygląda niczym nastolatka, a nie trzydziestoparolatka. Jest roztrzęsiona, ale trudno mieć do niej o to pretensje.

– Będę się streszczał – zaczynam, ujmując ją za rękę, a ona chętnie na to pozwala. – Anne, wyjedź z miasta. Zrób sobie wolne. Zapłacę za przelot i pobyt w hotelu. Stać mnie na to, więc się nie kłóć.

– Czemu chcesz, żebym...

– Bo nie zamierzam odpuścić tej sprawy, a nie chcę, żeby coś ci się stało. Nadal nie wiem, co jest grane, ale wiem, że to jest coś wielkiego i może eksplodować jak bomba. Nie mogę cię ochronić.

Zastanawia się przez chwilę, po czym kładzie rękę na mojej dłoni.

– A kto ciebie ochroni?

– Nic mi się nie stanie – mówię z pewnością siebie, której wcale nie mam. – Dziennikarz ma kilka narzędzi do dyspozycji.

Prawie się uśmiecha, mierząc mnie wzrokiem i oceniając.

– To nie brzmi zbyt przekonująco, Ben. Nie jesteś bezpieczny, prawda?

– Siedząc beczynn timer, też nie jestem bezpieczny. Nie mam wyboru. Ale ty go masz, nie jesteś w to uwikłana. Twoje jedyne wykroczenie polega na tym, że jesteś przyjaciółką Diany.

Spogląda na nasze złączone ręce. Zastanawiam się, co to dla niej znaczy. Ciekawe, co to znaczy dla mnie. Łapię nosem zapach lawendy i czuję, że na przekór rozsądkowi przybliżam się do niej.

A ona zbliża się do mnie.

Jesteśmy coraz bliżej.

Mój plan tego nie zakładał.

## Rozdział 66

– To nic złego powiedzieć dość. – Anne patrzy na mnie; jesteśmy tak blisko, że czuję jej oddech na podbródku. – Wydaje ci się, że jesteś coś winien Dianie, ale nie jesteś jej winien życia. Ja też nie chcę, żeby spotkało cię coś złego.

Dotyka mojego policzka i mój opór topnieje. Nie. To byłoby niedobre. Narażasz ją na niebezpieczeństwo, Ben. Samą swoją tutaj obecnością.

Opiera się o mnie. Jej usta są miękkie i wilgotne, delikatne i ostrożne. To najśłodszy pocałunek, jakiego zaznałem.

– Boże mój, ty drżysz – szepcze.

Przewinienie osobiste, niedozwolony kontakt. Wznowienie.

A więc wznawiamy. Moje wargi się rozchylają i nasze języki znajdują wspólny teren. Moja ręka wsuwa się pod jej piżamę, Anne wzdycha, a potem cicho jęczy.

Niedozwolone użycie rąk.

Rezygnacja z wykonania karnego, druga baza. To znaczy drugie przyłożenie.

Unosi ręce, a ja ściągam jej piżamę, ona ciągnie moją koszulkę i opary naszej rozpacz, lęku i tęsknoty rozpalają się wspólnym płomieniem pierwotnego instynktu. Nie jesteśmy dwojgiem ludzi, których życie jest zagrożone. Jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy mają tylko tę chwilę i nic prócz niej. Anne jest agresywna, zdesperowana i głodna, jej język wdziera się do moich ust; wbija paznokcie w moje włosy, bierze mój palec wskazujący i wkłada go sobie do ust; wygina plecy, unosi nogi i owija mnie nimi; szepcze mi do ucha „mocniej, mocniej”, zaciska zęby i powieki, krzyczy „mocniej, mocniej...”.

Nie powinieneś, nie powinieneś. Mimo to nie mogę się powstrzymać i nie chcę; chcę sobie przypomnieć, że nadal żyję, że nadal coś czuję do kogoś innego, a jeżeli zostały mi na tym świecie tylko godziny lub dni, chcę choć odrobinę tego czasu

spędzić z kimś, kto jest dobry, istnieje jeszcze na tym świecie dobro...

– O rety. – Leżę na plecach i gapię się w sufit. Nie wiem, ile czasu minęło, ale zgaduję, że więcej niż godzina. Dyszymy i wracamy z wysokości, a ja myślę o seksie uciekiniera; to znowu z *Kronik Seinfelda*; George spotykał się z więźniarką, podobało mu się to i przez niego nie dotarła na komisję przyznającą zwolnienia warunkowe. Dlaczego ten odcinek nie wszedł na moją listę dziesięciu najlepszych?

– Może byłoby dobrze, gdyby częściej ktoś nastawał na nasze życie – odzywa się Anne, jej głowa opiera się o moją klatkę piersiową.

– Trenowałaś gimnastykę czy coś w tym rodzaju?

To jej się spodobało. Jej włosy łaskoczą mnie w brzuch. Moje kończyny są jak z gumy, do niczego. Mam mgłę w głowie. Nigdy nie czułem się lepiej.

Przerywamy program, kontrola realiów. Mowa była o tym, że ktoś nastaje na nasze życie.

– To nic nie zmienia – szepczę. – Musisz stąd wyjechać. Nie jesteś bezpieczna.

Anne przesuwa głowę i patrzy mi w oczy, jej broda dotyka mojej piersi.

– Nigdzie nie wyjeżdżam. Jeśli ty w to wszedłeś, to i ja wchodzę – mówi. – Więc lepiej zapnij pasy, słodziaku.

## Rozdział 67

Zostaję na noc u Anne, żeby zadbać o jej bezpieczeństwo. Ściśle w tym celu. Z żadnych innych powodów. No bo gdzieś tam czają się łotry, prawda? Możliwe, że wieczorem będę musiał wrócić i dopilnować, żeby była bezpieczna.

Jednakże rano ruszam w drogę. Łydki, mięśnie ramion, brzucha i szyi mam zbolące nie do opisanego. Najwyraźniej brakowało mi ćwiczeń fizycznych. Poza tym w gorączce wydarzeń wczorajszej nocy zapomniałem, że strasznie dokucza mi noga po tym, jak przed kilkoma dniami zaliczyłem upadek na motorze. Poranek na szczęście odświeża mi pamięć.

W torbie, którą ostatnio wszędzie ze sobą noszę, oprócz paru rzeczy do ubrania, przyborów toaletowych i laptopa trzymam również kolekcję bejsbolówek; uchronią mnie przed wykryciem przez kogoś, kto mógłby, powiedzmy, obserwować ulice, poszukując mnie.

Ale wiem, jak jest: w końcu i tak mnie znajdą. Dystrykt stołeczny Waszyngton to nie Manhattan. Wystarczy, że rozstawią się na różnych posterunkach i nie ruszą ani o centymetr, a prędzej czy później sam im się napatoczę. Chodzę więc ze spuszczoną głową, w bejsbolówce, i mam nadzieję, że rozpracuję sprawę, zanim mnie namierzą.

Na dobry początek muszę się dowiedzieć, co właściwie jest do rozpracowania.

Idąc T Street, dzwonię do mojej zaufanej współpracownicy, Ashley Brook Clark, która pod moją nieobecność w gruncie rzeczy kieruje gazetą.

– Udało się coś zdziałać z komputerem Liu?

– Już są blisko, Ben. Mówiłam chłopakom, że to priorytetowa sprawa, ale komputer był rozwalony w drobny mak. Coś ty z nim zrobił, walnąłeś nim o ziemię?

Coś w tym rodzaju.

– Jeszcze jedno, Ben. Jakiś facet tu był, szukał cię. Gość z prawdziwym zacięciem.

– Nosił ciemne okulary i prochowiec, skradał się?

– Nic z tych rzeczy. Nazywał się... o, tu jest... Sean Patrick Riley.

– Sean Patrick Riley? Skąd go przywiało? Z Pakistanu? Z Somalii?

– Wydaje mi się, że z Wenezueli.

– No dobra, Sean Patrick Riley – mówię. – I czego chciał ten Irlandczyk?

– Mówi, że jest prywatnym detektywem.

– Czego dotyczy jego prywatne śledztwo?

– Był bardzo, hm...

– Przywiązany do prywatności?

– Tak, informacje traktował jak własność prywatną. Rany, ale ci humor dopisuje. Przespałeś się z kimś wczoraj może?

Ma rację, tego ranka chodzę sprężyście. Może perspektywy zaczynają się przejaśniać. A może to tylko dlatego, że od bardzo dawna nie uprawiałem seksu.

– Czy temu gościowi źle z oczu patrzyło? – pytam. – Sprawiał wrażenie szemranego typu?

– Prywatny detektyw? Użyłeś słowa „szemrany”?

– Powiedzmy, bardziej szemrany niż większość. Taki, co to zamiast zadawać pytania, byłby gotów wpakować mi kulkę w łeb.

– Nie, na zabójcę mi nie wyglądał. Może na szowinistę. Na dupka, to bez dwóch zdań. Ale nie na zabójcę. Chyba poszukuje osoby, która zaginęła.

Osoby, która zaginęła.

Dochodzę do Vermont Avenue, na skrzyżowaniu zebrał się tłum. Trzymam się z dala, wolę nie wchodzić w grupę osób, których nie znam.

– Jeśli nie chce mnie ukatrupić, pogadam z nim. Daj mi jego numer.

## Rozdział 68

Dostrzegam Seana Patricka Rileya, zanim on dostrzega mnie; siedzi niedaleko okna kawiarni. Nie jest trudno zauważyć gościa ubranego jak irlandzki skrzat i zajadającego kolorowe chrupki.

Ale poważnie: facet jest w średnim wieku, ma czuprynę jasnorudych włosów, ogorzałą cerę i pijacki nos; jest ubrany w koszulę z guzikami i dżinsy. I nie je kolorowych chrupek, choć ich smak może oczarować; pije popołudniową kawę.

Taak, humor wciąż mi dopisuje po wczorajszej nocy uciech cielesnych.

Witamy się uściskiem dłoni.

– Fajny jednoślad – mówi.

Dobry nastrój pryska. W normalnych okolicznościach uznałbym to za komplement, bo facet mówiłby o moim triumfie, który jest fajny, a jakże. Ale triumph stoi na parkingu na osiedlu Adams Morgan. Jeżdżę teraz prawdziwym jednośladem, to znaczy góralem, a dokładnie używanym rockhopperem, którego kupiłem w City Bikes. Bardziej nadaje się na szlak niż do miasta, ale możliwe, że będę kiedyś musiał zrobić nim parę akrobacji, i chcę mieć rower, który nada się do szybkich zwrotów i ostrej jazdy.

Tak czy siak, nie cieszy mnie to. Już tęsknię za moim motocyklem. Jednak na triumphie byłem widzialny. Na góralu, w kasku i kamizelce odbłaskowej wyglądam jak kurier rowerowy, jeden z tych, którzy narażają życie i kończyny, przemykając wśród pojazdów ulicami stolicy.

– Pan jest Ben Casper, szef gazety? – pyta mój rozmówca.

– Tak, to ja. – Spojrzał na mnie i pewnie pomyślał, że jestem doręczycielem gazet. – I nie mam dużo czasu.

Nie reaguje na to. Domyślam się, że był kiedyś gliną, a sądząc po sposobie mówienia, był gliną w Chicago. Jeśli mnie pamięć nie myli, mieli tam paru Irlandczyków.

Jeśli oni posyłają jednego z naszych do szpitala, ty posyłasz jednego z nich do kostnicy! Sean Connery to Szkot, ale w *Nietykalnych* zabijał ludzi jako irlandzki gliniarz. Zabijał.

– Wynajęła mnie rodzina Jacobsów. Mieszkają na przedmieściu Chicago. Ich córka Nina zaginęła tutaj ponad tydzień temu.

Nina... Jacobs. Tak, słyszałem...

– Koleżanka Diany – rzucam. Spotkałem kiedyś Ninę w klubie. Była wysoka tak jak Diana, szczupła i zgrabna, ale nie miała włosów blond. Miała kaszt...

O szlag. Nina miała kasztanowe włosy.

I mogę się założyć, że nie miała wytatuowanego motyla nad lewą kostką.

– Diany Hotchkiss, chciał pan powiedzieć – odzywa się Riley, przerzucając kartki w notatniku.

Biorę oddech i przypominam sobie Ninę. Bardzo ładna, nie miała doskonałych rysów Diany, ale była całkiem atrakcyjna. Trochę młodsza od Diany. Z bliska nie pomyliłbyś jednej z drugą, ale z odległości mogły być nie do odróżnienia. Zwłaszcza gdyby Nina włożyła ubranie Diany.

A tym bardziej, gdyby Diana ufarbowała włosy na kolor włosów Niny, a tak właśnie zrobiła przed miesiącem.

Pamiętam tamten wieczór w klubie, odniosłem wrażenie, że podziwia Dianę, wzoruje się na niej. Co za ironia, jeśli spojrzeć z perspektywy czasu.

Sean Patrick Riley poszukuje nieboszczki.

– W tej chwili rozpytuję u dalekich znajomych – mówi. – Rozmawiałem z każdym, kto dobrze ją znał, i dotarłem do martwego punktu. Miała w organizerze pana wizytówkę, więc pomyślałem, że może mógłby mi pan jakoś pomóc. Kojarzy pan coś, co mogłoby mi pomóc ustalić, co się z nią stało?

Jej rodzice muszą przeżywać katusze. Pomogę im znaleźć sprawiedliwość dla córki. Nie odpuszczę tej sprawy. Powiem im wszystko o tym, co spotkało ich córkę.

Ale jeszcze nie teraz.

– A powie mi pan, co udało się panu do tej pory zbierać? Może przyjdzie mi coś do głowy.



## Rozdział 69

– Przez tydzień przed jej zniknięciem – relacjonuje Sean Patrick Riley – korespondencja Niny Jacobs leżała na poczcie, a ona zawiadomiła „Washington Post”, żeby przez siedem dni nie doręczano jej gazety. Poza tym światła w jej mieszkaniu były włączane za pomocą automatycznych włączników. Dlaczego podjęła takie kroki? Zrobiłaby to – kontynuuje po przerwie na oddech – gdyby wybierała się na tygodniowy urlop i nie chciała, żeby stos korespondencji i gazet zalegał na progu mieszkania. A włączniki nastawiła po to, żeby wyglądało, że jest w domu, a nie na urlopie; żeby zabezpieczyć się przed włamywaczami. Ale sęk w tym, że Nina nie wyjechała na urlop. Dzień w dzień była w pracy. Pracowała w Public Face, firmie piarowskiej przy Siedemnastej Ulicy. Nie opuściła ani jednego dnia. – Riley rozkłada ręce. – Była więc w mieście, ale mieszkała gdzie indziej.

– Może pilnowała domu koleżanki – sugeruję.

– Tak. To najlepsza możliwość, jaka mi przychodzi na myśl. Ale nie wiem której. Miała krąg trzech czy czterech koleżanek, z którymi spędzała dużo czasu. Rozmawiałem ze wszystkimi. Wszystkie były w mieście, a Nina nie pilnowała ich mieszkań. Wróc, rozmawiałem ze wszystkimi z wyjątkiem Diany Hotchkiss. Nie wiem, czy pan o tym słyszał, ale ona nie żyje.

– Słyszałem – mówię. – Współpracuje pan w tej sprawie z miejscową policją?

Tamten wydaje stęknienie.

– Federalni im je capnęli. A to znaczy, że współpracy mam tyle co nic.

Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Nina Jacobs została wrobiona. Wpuszczono ją w rolę Diany Hotchkiss: zamieszkała w jej mieszkaniu, nosiła jej ubrania i na koniec zrzuciono ją z jej balkonu. Ale kto ją w to wrobił?

Diana? Czyżby była do czegoś takiego zdolna?

– Z którymi koleżankami Niny pan rozmawiał? – pytam.

– Hm, zobaczmy. – Odwraca karteczkę małego notatnika. – Lucy Arangold, Heather Bilandic i Anne Brennan.

– Co powiedziała Anne?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– To samo co inne. Nic nie wiedziały o pilnowaniu domu. Wydaje mi się, że myślały, że dokąś się wypuściła. Mówiły, że była... impulsywna, chyba takiego słowa użyły.

Wciąż niepokoi mnie to, co słyszę. Nie mogę uwierzyć, by Diana pozwoliła zepchnąć swoją przyjaciółkę Ninę z balkonu swojego mieszkania. Może CIA, może jakiś dygnitarz rządowy, któremu odbiło, ale nie Diana.

– Potrzebuję pana pomocy – mówi Riley. – Wyczerpały mi się środki, a pan kieruje gazetą. Mam nadzieję, że zrobi pan z tego duży artykuł. Może ktoś go przeczyta i udzieli mi pomocy.

– Z powodu artykułu w malutkim internetowym piśmie takim jak „Capital Beat”?

Riley wyklada karty na stół.

– Nie udało mi się zainteresować tematem „Posta” ani „Timesa” – przyznaje. – Myślę, że federalni ich zniechęcili, powiedzieli, że to bujdy, ale nie mogę tego udowodnić. Ale pan znał tę kobietę, więc pomyślałem, że by się pan zgodził.

– Może i tak.

Przygląda mi się.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że potrzebne mi będą pańskie notatki. I że od tej pory, panie Riley, jesteśmy drużyną.

## Rozdział 70

Przejazd Massachusetts Avenue jest powolniejszy niż zwykle, przecież jadę rowerem, ale dobrze jest wycisnąć kwas mlekowy z mięśni bolących po ćwiczeniach, które zafundowała mi wczorajszej nocy Anne. Smażę się w południowym słońcu, ale ogólnie rzecz biorąc, bywało gorzej.

– A zatem... Nina Jacobs – mówi głos Ashley Brook Clark w słuchawce, którą podłączyłem do telefonu na kartę, czwartego, który kupiłem w tym tygodniu; to owoce mojej uzasadnionej paranoi. (Czy to jest oksymoron? Czy o paranoi można powiedzieć, że jest uzasadniona?)

Tak czy owak, dobrze, że mam forszę na komórki i hotele. Przypominam sobie, że kończy mi się gotówka. Muszę znaleźć bankomat, a to dla mnie teraz wyzwanie.

Wzdycham przeciągle. Pobieranie gotówki z bankomatu znaczy, że uchwyci mnie kamera, to zaś oznacza, że nie mogę być w moim kostiumie cyklisty, gdyż tamci dowiedzieliby się, iż tak wygląda mój kamuflaż. Będę musiał ubrać się normalnie, wziąć pieniądze, prysnąć czym prędzej od bankomatu, zanim z nieba spadną czarne śmigłowce albo wydarzy się inna katastrofa, i znów założyć kostium rowerzysty.

To się staje dziwne, a moje siły się wyczerpują. Nie wiem, jak Harrison Ford poradził sobie z tym w *Ściganym*. Rzecz jasna, wtedy była zupełnie inna technika, o wiele łatwiej było się ukryć i pozostać w ukryciu. Poza tym to był tylko film, a ze mną dzieje się to naprawdę.

Tommy Lee Jones był rewelacyjny w tym filmie i zasłużenie dostał Oscara, ale tamtego roku powinni byli dać dwie nagrody za role drugoplanowe, bo John Malkovich fantastycznie zagrał zabójcę w filmie *Na linii ognia*. (Tak, przyznaję, że Ralph Fiennes dał popis w *Liście Schindlera*, ale Malkovich kradł show, ilekroć pojawiał się na ekranie).

(Dlaczego biorę swoje myśli w nawiasy? Co będzie dalej – przypisy? Czyżbym tracił rozum?)

– Więc chcesz, żeby artykuł poszedł na pierwszej stronie – mówi Ashley Brook. – Ma być duże ładne zdjęcie Niny Jacobs i kilkakrotnie ma się pojawić nazwisko Seana Patricka Rileya.

– Jego zdjęcie też – wtrącam.

– A to dlaczego? On nawet nie zrobił na mnie dobrego wrażenia, kiedy z nim rozmawiałam.

– Dzięki temu będzie bezpieczniejszy – mówię. – Jeśli go przyłapią na tym, że węszy, i będą chcieli się go pozbyć, trudniej będzie zabić kogoś, kto jest publicznie znany. Będzie o wiele bardziej widoczny.

– Myślisz, że ludzie, którzy walili do ciebie w środku dnia z broni maszynowej na ruchliwym skrzyżowaniu, przejmują się tym, że ktoś jest widoczny?

– Staram się, jak mogę, dzieciно. – Zatrzymuję się na zbiegu trzech ulic, w miejscu, gdzie Idaho Avenue i Massachusetts Avenue łączą się z Trzydziestą Dziewiątą Ulicą, i biorę łyk wody z butelki. – Jeśli o zaginięciu Niny zrobi się głośno, trudniej im będzie zatrzeć ślady, po prostu zabijając ludzi.

– No to dlaczego nie zastosujesz tej logiki do siebie? – pyta ona. – Napisałeś artykuł o Dianie Hotchkiss. Czemu nie opublikujemy go z tym samym zamysłem? Żebyś był bezpieczniejszy?

Dobre pytanie. Właśnie tym zagroziłem Craigowi Carneyowi, że roztrąbię tę historię na czołówce mojej gazety internetowej: o powiązaniach Diany z Carneyem, o morderstwie Jonathana Liu, o operacji Delano itd. Są dwa powody, dla których nie nacisnąłem dotąd cyngla. Jeden z nich Ashley Brook już zna.

– Ty i te twoje pismackie skrupuły – jęczy.

No, powiedzmy. Nie mam żony i dzieci i pewnie nigdy nie będę miał. „Capital Beat” to moja jedyna rodzina, jedyna rzecz, jaką stworzyłem. Jeśli opublikuję coś, czego nie mogę dowieść, skompromituję coś, co kocham. Poza tym narażam się na pozew i utratę dobrej opinii „Beat”. Może nie jesteśmy „Washington Post”, ale uderzamy mocno, rzetelnie i śmiało, a to więcej, niż może o sobie obecnie powiedzieć większość mediów. Jeśli więc mam spłonąć, chcę wiedzieć, że zostawiłem na tym świecie

przynajmniej jedną dobrą rzecz. A oni zawsze mogą puścić artykuł po mojej śmierci.

Lecz jest jeszcze jeden powód.

– Do tej pory nie postawili mnie w stan oskarżenia – zauważam. – Nie wystawiono na mnie nakazu aresztowania.

– No dobra. Więc?

– Więc... Carney zagroził, że tak zrobi, prawda? Federalni to kontrolują, a zastępca dyrektora zapowiedział mi, że jeśli nie zagram razem z nim, gliny przedstawią nakaz lada chwila. Ale póki co tego nie robią. Trzymają ręczki przy sobie. Więc na razie ja też tak zrobię.

– Naprawdę nie nadażam za twoją logiką – mówi Ashley Brook.

– Myślę, że boją się mnie tak samo jak ja ich. Nikt nie chce nacisnąć spustu, bo jeśli jeden to zrobi, drugi odpowie tym samym.

– To tak jak w czasie zimnej wojny z Rosjanami – stwierdza ona. – Nie przygrzali nam atomówką, bo wiedzieli, że my też im przygrzejemy. Zapewniona wzajemna zagłada.

Malkovich był hipnotyczny w *Niebezpiecznych związkach* i prześmieszny jako bluzgający były agent CIA w *Tajne przez poufne*. Ilekroć zaklął, śmiałem się w głos.

Światło na skrzyżowaniu zmienia się z czerwonego na zielone. Sznur pojazdów rusza w kierunku północnym. Naciskam pedały roweru i przejeżdżam przez skrzyżowanie.

– Więc zbliżasz się do jakiegoś dużego odkrycia – mówi Ashley Brook.

Przyspieszam. Do celu zostało mi tylko dziesięć minut.

– A jeśli się nie mylę, to za chwilę zbliżę się jeszcze bardziej – odpowiadam.

## Rozdział 71

Siedzę na ławce przed Bender Library i patrzę na plac Quad, na którym przez cztery lata jadałem lunche, rzucałem frisbee albo grałem w zośkę. Quad to coś w rodzaju serca kampusu American University, prostokątny trawnik między biblioteką z jednej strony i Kay Spiritual Life Center z drugiej. Przecinają go pieszne alejki, a pośrodku znajdują się miejsca do siedzenia z betonowymi ławkami. Sąsiaduje z nim część głównych budynków uczelnianych. Nie byłem tutaj od bodaj 2008 roku, kiedy relacjonowałem studencki protest przeciw ludobójstwo w Darfurze; był nawet obóz uchodźców z „umieralnią”, w której studenci kładli się, udając masowe ofiary.

Opowiadam przydługą historię o tym, co spotkało Benjaminą Caspera w ciągu minionych dwóch tygodni, a profesor Bogomolov, który siedzi obok, kładzie mi swoją wątlą dłoń na ramieniu.

– Wszystko to brzmi bardzo niepokojąco – podsumowuje.

A on wie sporo o niepokojących zdarzeniach. Andrei Bogomolov urodził się w radzieckim mieście Leningrad, obecnie Sankt Petersburg, i studiował tam psychiatrię oraz historię. Ale pragnął żyć jak wolny człowiek na Zachodzie. Więc w 1974 roku, służąc jako psychiatra na sowieckim okręcie, skoczył za burtę u Wybrzeża Kości Słoniowej i dopłynął do brzegu. Agenci KGB ścigali go w Ghanie, a tam wolontariusze Korpusu Pokoju ukryli go ponoć w swoim obozie, później zaś przemycili do ambasady amerykańskiej w Akrze, gdzie udzielono mu politycznego azylu. Sprawa wywołała międzynarodowy skandal w najgorętszym okresie zimnej wojny. (Czy w czasie zimnej wojny może być gorąco?)

Andrei wstąpił na American University, żeby zrobić doktorat z historii, i już tam pozostał. Od tamtej chwili jest członkiem wydziału historycznego, jednym z tych wykładowców, którzy lubią siadać na skwerze Quad; je lunch razem ze studentami,

radując się dotykiem promieni słonecznych na twarzy, a także, jak przypuszczam, poczuciem wolności.

Chodziłem na jego wykłady, gdy studiowałem na tej uczelni, ale prawdę rzekłszy, znam Andreia, od kiedy byłem dzieckiem. Mój ojciec był jego kolegą na wydziale historii przez dziesiątki lat. Andrei przychodził do nas na obiady, zawsze przynosił jakiś prezent, zwykle rosyjską monetę, której towarzyszyła jakaś historia.

Po śmierci mojej matki był dla mnie szczególnie miły. Pamiętam, jak opowiadał o surowych zimach w Rosji, bolącym z głodu brzuchu, o poczuciu, że nie ma się kontroli nad swoim losem, i o tym, jak wiara w Boga pomogła mu przez to wszystko przebrnąć. Wszystko możesz przecierpieć, Benjaminie, mawiał, jeśli wierzysz w siebie i w Boga.

Od lat nie rozmawiałem z Andreiem, bodaj od pogrzebu ojca, ale zapamiętałem go jako zwolennika niedopowiedzeń. Wydaje się, że w porównaniu z tym, czego on doświadczył, większość spraw po prostu błędnie.

– Wszystko to brzmi bardzo niepokojąco – powtarza Andrei.

– Operacja Delano, Andrei – mówię.

Kiwa głową. Jest świadom, że właśnie o to chcę go zapytać, a jego reakcja świadczy, iż dobrze trafiłem. Odkąd usłyszałem tę nazwę i dowiedziałem się o Aleksandrze Kutuzowie, myślałem o Rosjanach. Jeśli ktoś coś o nich wie, to właśnie Andrei.

– No dobrze – odzywa się po chwili. – Operacja Delano.

## Rozdział 72

– Przejdźmy się. Powiedzieli mi, że spacerować są dobre. – Andrei uśmiecha się.

Nie rozumiem tej wzmianki i chcę o nią zapytać później. Andrei zawsze niewiele mówił, tę rezerwę wpoił sobie dawno temu, gdy jako dziecko planował ucieczkę na Zachód, ale musiał się dostosować do stroju sowieckiego i czekać na dogodną chwilę. Jeśli zechce mi powiedzieć o swojej dolegliwości, sam to zrobi.

Jego drobna, sterana życiem postać zsuwa się z ławki. Chowa ręce w kieszeniach spodni, dopełniając obrazu profesora, na który składa się również jego sportowa tweedowa marynarka, i skinieniem głowy wskazuje drewnianą rzeźbę orła stojącą nieopodal.

– Kocham tego ptaka. Wiesz dlaczego, Benjaminie?

Orzeł zrobiony jest z drewna stuletniego drzewa, które musiano usunąć ze skweru. Jedna z klas wyrzeźbiła tego pięknego ptaka i podarowała uczelni.

– Dlatego, że to nasz symbol narodowy? – zgaduję.

Andrei zdobywa się na uśmiech. Kiedy tutaj dotarłem, czekał na mnie, siedząc na ławce, więc gdy widzę teraz, z jakim trudem się porusza, jestem wstrząśnięty.

– Dlatego, że coś pięknego powstało z czegoś, co umierało.

Idzie przodem, kroczy po obrzeżach placu, obok Mary Graydon Center. Pamiętam, jak przychodziliśmy tam co tydzień na zebrania Młodych Demokratów Ameryki. Nie byłem wprawdzie ani demokratą, ani republikaninem, a do organizacji wstąpiłem z tego samego powodu, z którego wstępuje większość studentów: w grupie była fajna laska. Uganiałem się za Cassandrą Richley przez ponad dwa lata. I warto było czekać.

– Jałta to był okres wielkiej niepewności – odzywa się Andrei, nawiązując do konferencji jałtańskiej, podczas której Stalin, Roosevelt i Churchill dzielili łupy po tym, jak nazistowska



Trzecia Rzesza spłonęła w pożodze. – Oczywiście uczyłeś się o tym.

– Oczywiście.

– Stalin naprawdę występował z pozycji siły. Już okupował wiele krajów, które chciał zamknąć w bloku sowieckim, i miał dwa razy liczniejsze wojska niż alianci. Mimo to nie wiedział, czy ma zaufanie Roosevelta. Był raczej pewny, że nie ma zaufania Churchilla. Szukał w negocjacjach czegoś, co da mu przewagę.

Zatrzymuję się. Andrei nie od razu to dostrzega, lecz po chwili także staje i odwraca się do mnie.

– Co chcesz mi powiedzieć, Andrei? Celem operacji Delano było uzyskanie przewagi nad Franklinem Delano Rooseveltem?

Rosjanin kieruje na mnie spojrzenie zmęczonych oczu.

– Nic z tego nie zostało potwierdzone – mówi. – Była tylko pogłoska.

– Zatem opowiedz mi o tej pogłosce.

Odwraca się i spogląda w dal; pamiętam, że kiedyś często tak robił. Wtedy emanowała zeń spokojna siła: miał wyprostowane ramiona, szeroką pierś i zawadiacko wysuniętą brodę. Teraz jest wątłym mężczyzną, ramiona ma zgarbione, chodzi pochylony, skóra na jego twarzy jest nierówna i obwisła, głowę zakrywają jedynie kosmyki białych włosów. Jednak oczy o szklistym spojrzeniu mają ten sam wyraz. Pewnie nikt nigdy się nie dowie, co chowa w sobie. Przypuszczam, że wspomnienia. Wspomnienia rzeczy, które powinny odejść w niepamięć.

– Według tej pogłoski operacja Delano polegała na tym, że Sowieci usiłowali szantażować prezydenta Stanów Zjednoczonych.

## Rozdział 73

– Zawsze krążyły pogłoski o Roosevelcie – kontynuuje Andrei.  
– Od tego czasu o niektórych pisano jako o faktach, ale w moim pojęciu pozostają pogłoskami. Roosevelt, rzecz jasna, był człowiekiem uprzywilejowanym. Tacy mężczyźni... nie traktują ślubów małżeńskich z najwyższą powagą.

Czytałem o tym. Mój ojciec pisał o Roosevelcie; uważano, że latami romansował z sekretarką swojej żony zajmującą się korespondencją. Eleonora podobno wykryła romans i zaproponowała mężowi rozwód. Romans został zakończony, lecz zaiskrzył ponownie podczas ostatniej kadencji Roosevelta. Była ponoć jeszcze jedna kobieta, osobista sekretarka prezydenta. Andrei ma rację, większość tych informacji opublikowano drukiem, bez względu na to, czy były prawdziwe.

Ale wtedy, bezpośrednio po drugiej wojnie światowej, nie były znane.

– Stalin chciał zaszantażować Franklina Delano Roosevelta informacjami o jego romansach?

Znowu idziemy, mijamy gmach Battelle-Tompkins, w którym odbywałem studia licencjackie. Poruszamy się wolno. Widać wyraźnie, że Andreiowi trudno jest chodzić.

Macha ręką.

– Operacja Delano może być fikcją, babskimi plotkami. Na pewno wiem tylko to, że jeśli Stalin dostał tak wiele w negocjacjach jałtańskich, dlatego że szantażował Franklina Delano Roosevelta, nikt nigdy tego nie wyjawiał. A o Jałcie powiedziano i napisano dużo.

Słowa prawdziwego naukowca, który musi mieć argumenty, zanim wygłosi jakieś stwierdzenie. Do tej pory postawił wiele znaków zapytania, zaznaczał, że nic nie zostało udowodnione, ale to nie znaczy, że nie wierzy w to, o czym mówił.

– Muszę usiąść – oznajmia Andrei i znajduje ławkę na placu obok Kay Center. – A ty musisz wybaczyć zmęczonemu starcowi.

Siadam obok.

– Wybaczam ci, stary przyjacielu. Ale czy to znaczy, że Rosjanie usiłują szantażować prezydenta Francisa?

Andrei przez chwilę wyrównuje oddech. Odkasłuje boleśnie i przeprosza. Nie czuje się dobrze, to jasne.

– Tego nie mogę wiedzieć – mówi. – Z pewnością nie wiem nic o obecnym prezydencie.

Podobnie jak ja, lecz śledzę jego poczynania o wiele dokładniej niż Andrei. Blake Francis i Libby Rose Francis pasują do siebie mniej więcej tak jak Jerry Falwell i Paris Hilton. Zawsze miało się wrażenie, że jest to małżeństwo z rozsądku. Prezydent zdradza Libby? Czemu nie.

– Ale wiesz dużo o Rosjanach – zauważam. – Dlaczego mieliby szantażować Blake’a Francisa?

Andrei śmieje się z cicha, a ja w pierwszej chwili biorę to za napad kaszlu.

– A dlaczego by nie? – mówi, żartobliwie przeciągając słowa.  
– Po co komu możliwość kontrolowania przywódcy wolnego świata?

No tak. To całkiem prawdopodobne.

– Ale masz słuszność, Benjaminie, że taka sytuacja nie mogłaby trwać długo. Nawet skompromitowany prezydent nie mógłby pozwolić innemu mocarstwu robić, co mu się żywnie podoba. Byłyby jakieś ograniczenia, oczywiście.

– Chcesz powiedzieć, że może to być jedna rzecz?

Przechyla głowę na bok, jakby sygnalizował, że jestem blisko.

– Ale jaka? – pytam. – Do czego dążą Rosjanie?

## Rozdział 74

Mój były profesor patrzy na mnie, jak gdybyśmy powrócili do dawnych ról, jakbym ja był znów magistrantem, a on dawałby mi wykład.

– Nie mam pojęcia, czy Rosjanie szantażują naszego prezydenta ani czy próbują to robić – mówi. – Ale jestem przekonany, że trafnie oceniam obecne rosyjskie władze. Załóżmy więc, że szantaż się odbywa. – Andrei rozkłada ręce. – Jaka jest jedyna rzecz, której pragnie Rosja?

Wzruszam ramionami.

– Ropy? Władzy?

Andrei patrzy na mnie z twarzą bez wyrazu. Czuję się, jakbym brał udział w odcinku starego serialu *Kung Fu*: Andrei jest niewidomym mistrzem Po, a ja Davidem Carradine'em. Rozczarowujesz mnie, Koniku Polny. Ale to nie mnie zawiodłeś, lecz siebie. Wejrzyj w głąb, Koniku Polny.

– Ziemi – mówię.

– Ziemi – potwierdza Andrei.

Dobrze się spisałeś, Koniku Polny.

– A gdyby Rosjanie pragnęli ziemi, Benjaminie, gdzie by poszli? – Andrei kiwa palcem. – Historia, Benjaminie, to najlepsza nauczycielka.

– Do Afganistanu – odpowiadam i od razu wiem, że to zła odpowiedź. To, co było prawdziwe w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, nie jest prawdziwe dzisiaj. Po rozpadzie Związku Radzieckiego między Rosją a Afganistanem znajduje się obecnie szereg niepodległych państw: Kazachstan, Uzbekistan, Turkmenistan. Oraz pewnie jeszcze kilka, których nazwy trudno jest wymówić.

– Historia, Benjaminie, ale nie tak odległa.

Ach tak, oczywiście.

– Gruzja – mówię. Rosja od lat wspiera ruchy niepodległościowe w różnych republikach Gruzji. W 2008 roku

doszło do konfliktu zbrojnego między Gruzją i dwiema zbuntowanymi republikami w Osetii Południowej; większość obserwatorów uważała go za wojnę między Gruzją a Rosją.

Jak szybko puściłem w niepamięć obrazy, które widziałem wczoraj w CNN, zanim wybrałem się do Anne i uprawialiśmy seks, który pozmieniał mi wszystko w głowie.

– Rosjanie aresztowali w Moskwie gruzińskiego szpiega.

Andrei kiwa głową.

– Podobno. I bardzo im to na rękę. Spodziewaj się teraz ataku terrorystycznego w którymś z dużych rosyjskich miast, któremu winni będą Gruzini.

Zatem Rosjanie przygotowują sobie grunt do wojny z Gruzją.

– Gdyby Rosja naprawdę chciała zagarnąć Gruzję, Benjaminie, czy byłoby to trudne?

– Pod względem wojskowym? Nie.

– Pod względem dyplomatycznym, Benjaminie.

– Dyplomatycznym, tak. Gruzja ma teraz ustanowione partnerstwo z NATO.

– I to jest kłopot – potwierdza mój rozmówca. – Powiedz, Benjaminie, czy amerykańską opinię publiczną obeszloby bardzo, gdyby Rosjanie napadli na Gruzję i ją zajęli?

Wzdycham.

– Hm, tym z nas, którzy żyją od jakiegoś czasu, odświeżyłoby to obrazy starego Związku Radzieckiego. Ale nasze siły zbrojne są teraz rozproszone...

– No właśnie.

– ...i zdaje się, że mamy większe zmartwienia na głowie.

– Zapewne tak. – Andrei kiwa powoli głową. – Ale czy na pewno? Czy Rosjanie mogliby mieć pewność co do naszej reakcji? Nie zapominaj, Benjaminie, że w naszej rozmowie uwzględniamy obecność NATO. Mogłaby powstać presja na amerykańskiego prezydenta, żeby przeciwstawił się agresji. Jeżeli nie zbrojnie, to co najmniej poprzez sankcje.

– Więc Rosjanie chcieliby dysponować jakimś narzędziem perswazji.

– Otóż to – potwierdza Andrei. – Gdyby Stany Zjednoczone przyzwoliły na tę napaść, kto inny rzuciłby wyzwanie Rosji?

– Nikt – odpowiadam.

– Z pewnością nikt, kto się liczy. Jeśli Rosjanie zdołaliby skompromitować prezydenta Stanów Zjednoczonych, ich plan mógłby się powieść.

A więc Rosjanie odkrywają, że prezydent Francis ma romans. Jakoś udaje im się to udokumentować. Organizują prywatną pogawędkę z prezydentem. Proponują mu układ. Będziesz siedział cicho, kiedy najedziemy Gruzję, a my nie zrobimy szumu wokół tych zdjęć. Jeśli się nam postawisz, umoczymy cię w skandal, który będzie cię kosztował drugą kadencję.

O rany, śmiały plan. Ale tacy są Ruscy.

Zastanawiam się nad tym chwilę.

– Uważasz, że Rosja posunęłaby się do czegoś takiego tylko po to, by zagarnąć małego sąsiada?

Andrei przygląda mi się znowu z beznamietną miną, po czym parska śmiechem.

– Jasne, że nie. Historia się kłania, Benjaminie, historia.

Unoszę ręce.

– Oświeć mnie, Andrei. Mam za sobą długi tydzień.

– Jest ci to wybaczone, przyjacielu. – Andrei klepie mnie w kolano. – Oczywiście, że Gruzja byłaby tylko poligonem, na którym Rosjanie sprawdziliby, jak zareaguje świat. I stworzyliby precedens dla reakcji USA. Prawie na pewno byłby to początek, a nie koniec.

Odchylam głowę w tył. Niebo ciemnieje, zanosi się na deszcz.

– Powiedz, że nie zmierzasz do tego, co mi się wydaje, Andrei.

– Z wielką przykrością muszę ci powiedzieć, że do tego właśnie zmierzam. Och, Benjaminie, nie mam prawie żadnych wątpliwości, że Rosjanie zamierzają odbudować dawny blok sowiecki, państwo po państwie.

## Rozdział 75

Pędzę rowerem po kampusie American University, w moich żyłach tętni adrenalina. Muszę znaleźć bankomat, ale nawet się nie rozglądam, tylko jadę, a moje myśli śmigają na wszystkie strony; tyle pytań, tyle zakrętów i wiraży...

Ale nareszcie zobaczyłem sedno obrazu, w końcu go mam. Rosjanie odkurzyli płytę z czasów stalinowskich, nawet nadali akcji ten sam kryptonim, sentymentalni kolesie. Operacja Delano to plan szantażowania prezydenta Blake'a Francisa i spowodowania, żeby stał z boku, kiedy Rosja zacznie napadać sąsiadów. Już podjęli wstępne przygotowania do inwazji na Gruzję. Czyżby więc teraz szantażowali prezydenta? Czy plan się powiódł? A może dalej go realizują? Nasze władze o nim wiedzą, to jasne. Więc jaka gra obecnie się toczy? Czy prezydent dopuści, by to się stało?

I jaka jest rola Diany? Przykleiłem jej łatkę szpiega CIA. A zatem? Próbowwała ich powstrzymać i... Czemu ktoś upozorował jej śmierć...

Ach. O szlag...

Robię ślizg i hamuję, niemal lądując na ziemi.

Nie, to wykluczone.

Diana bardzo często bywała wieczorami w Białym Domu jako asystentka bliskiego sojusznika prezydenta Craiga Carneya. Spisek i szantaż. A teraz amerykańskie władze rozpaczliwie pragną, by wszyscy uwierzyli, że Diana nie żyje. Jest więc dla nich niewygodna.

Czy to możliwe?

Czy kochanką prezydenta jest właśnie Diana?

## Rozdział 76

Wiele jest tych rzeczy do przemyślenia, ale najpierw to, co konieczne. Potrzebuję forsy.

Oddaliwszy się sporo od kampusu, zauważam bankomat na rogu Columbia Road i Euclid Street. Ale teraz muszę wykonać swoją procedurę. Wchodzę do łazienki w Burger Kingu i przebieram się w normalne rzeczy – koszulę i dzinsy – a następnie podchodzę do bankomatu. Rower zostawiłem w sporej odległości stąd, więc kamera go nie uchwyci. Rosjanie i CIA szukają gościa w cywilnym ubraniu, zasuwanego na wystrzałowym motorze. Po co ich zawiadamiać, że jestem ubrany jak rowerzysta i jeżdżę na góralu.

Jeżeli Diana jest kochanką prezydenta, co w takim razie wydarzyło się na balkonie jej mieszkania tamtej nocy? Czy amerykańskie władze upozorowały jej śmierć, żeby udaremnić szantaż? Czy to znaczy, że pozbawiły życia Ninę Jacobs? Jest tak wiele możliwości. Ale przynajmniej się zbliżyłem. Uważaj pan, panie Carney, oto nadchodzę.

Unikam patrzenia w małą kamerkę, która mnie obserwuje; szybko macham kartą i załatwiam transakcję. Hasło, pobranie gotówki, sprawdzenie stanu konta, tysiąc dolarów. Oglądam się przez jedno i drugie ramię, nie dostrzegam nikogo, czyj widok zjeżyłby mi włosy na głowie.

Jednak kiedy spoglądam na ekran bankomatu, włosy same mi się jeżą.

Komunikat brzmi: Brak dostępnych środków.

– Bzdura – mówię. Przełałem sobie w tym tygodniu tysiąc dolarów, żeby zachować płynność.

Powtarzam czynności, hasło, pobierz, stan konta, ale tym razem wybieram kwotę pięciuset dolarów. Przez cały czas mam świadomość, że zegar tyka. Jeśli ktoś monitoruje mój rachunek, zna już dokładnie moje położenie.

Brak dostępnych środków.



– Nie. Nie, nie, nie. – Wybieram opcję nowa transakcja, sprawdzenie stanu konta. To bez sensu, ale co tam, oszczędności jest dużo...

Transakcja nieuprawniona.

– Nieuprawniona? – wrzeszczę do maszyny. – Nieuprawniona?!

Muszę się stąd wynosić. Zapamiętuję podany numer telefonu, pędzę do roweru, wsiadam i pedałuje ile sił, żeby oddalić się od bankomatu. Podłączam słuchawkę telefonu na kartę i wybieram numer. Rozlega się nagrany komunikat.

Przerywam połączenie i skupiam się na tym, by pokonać jak największą odległość. Skręcam w lewo na Quarry Road, a potem w prawo na Lanier Place. Zatrzymuję się pośrodku spokojnego osiedla mieszkalnego i zsiadam z roweru. Dzwonię, stojąc na chodniku.

Przeskakuję automatyczne polecenia i oddychając ciężko, wreszcie słyszę w słuchawce ludzki głos. Rozmówca dziękuje za telefon, podaje mi nazwisko tak szybko, że nie sposób go zrozumieć, pyta o moje nazwisko i numer rachunku. Znam tylko swoje nazwisko, muszę więc podać mu nazwisko panięskie matki (Mapes) i wreszcie możemy rozmawiać. Ale rozmowa jest krótka.

– Czemu, u diabła, bankomat mówi, że nie mam środków na koncie? I dlaczego nie mogę przelać pieniędzy z konta oszczędnościowego na płatnicze?

Mężczyzna milknie, po czym oznajmia mi, że musi mnie przekierować do działu „usług specjalnych”, cokolwiek to diabelstwo znaczy; wtedy rozlega się muzyka, piosenka *Train in Vain* grupy Clash i to jest jak posypanie rany solą, bo Clash to jedna z najlepszych grup wszech czasów, a *London Calling* to mój ulubiony utwór wszech czasów, ale rozgłośnie radiowe nadają kiczowate *Train in Vain* oraz *Rock the Casbah*, a poza tym dlaczego, do kurwy nędzy, to tak długo trwa...

– Panie Casper, mówi Jay Rowe z działu usług specjalnych. Jak się pan dzisiaj miewa?

– Miewam się dosyć, kurwa, podle, Jay, jeśli chcesz znać prawdę.

– Proszę pana, pańskie konto zostało dezaktywowane.

– Dezaktywowane? Więc je oddezaktywujcie. Albo aktywujcie. Zróbcie to, co trzeba, jak zwał, tak zwał!

– Nie możemy, proszę pana.

– To moja forsa! Nie możecie na niej siedzieć!

– Możemy i musimy, proszę pana – mówi tamten, ale ja już się połapałem. Facet wykonuje rozkaz. Tej decyzji bank nie podjął sam. – Proszę pana, pańskie konto zostało zamrożone na polecenie Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego Stanów Zjednoczonych.

## Rozdział 77

Rozłączam się i rozwalam aparat na dwadzieścia pięć kawałków. Kopniakiem rozrzucam je po chodniku i bluzgam potokiem przekleństw, które zawstydzilyby kierowcę ciężarówki; dopiero wtedy ogarniam się. Czuję się jak Keanu Reeves w filmie *Speed: Niebezpieczna prędkość* po usłyszeniu, że jego partner Harry został wysadzony w powietrze przez Dennisa Hoppera. Czuję się jak Dennis Hopper w... no nie wiem, on wścieka się w niejednym filmie, więc sami wybierzcie.

Craig Carney nie chce grać swoją kartą atutową, którą jest postawienie mi zarzutu morderstwa i aresztowanie, więc zwiększa presję innymi sposobami. Wyeliminował jedyną przewagę, jaką miałem, czyli swobodny dostęp do pieniędzy. W kieszeni mam sześćdziesiąt dwa dolary i bilon.

Biorę inny aparat na kartę i dzwonię do Ashley Brook Clark w redakcji gazety. Staram się zachować chłodny umysł, lecz fala strachu się podnosi; no, Ashley Brook, odbierz połączenie, odezwij się do swojego...

– Halo? – mówi przyspieszonym głosem Ashley Brook.

– Ashley Brook, musisz mi...

– Ben, Bogu dzięki, że...

– ...pomóc, mam prawdziwe urwanie...

– ...to ty, wszystko przewraca się do góry nogami...

Szlag! Ja przestanę mówić i ona też, wtedy będzie można pogadać. Kroi się niezły ubaw.

– Ben, mamy tu w redakcji istny obłęd. Księgowość mówi, że zamrozili nam konto bankowe. Przed chwilą byli tu ludzie z CIA i zadawali mi dużo pytań. Mówią, że toczy się przeciw tobie śledztwo w sprawie o szpiegostwo i jeśli ktoś ci będzie pomagał, będzie traktowany jak współnik. Wszystkich obleciał strach...

– Zwolnij, Ashley. Możemy...

– Zabrali nam komputery, Ben. Wszystko pozabierali. I oni... oni...

– Ashley Brook...

– Ben, oni zamknęli naszą stronę! – Po tych słowach Ashley Brook traci panowanie nad sobą, wybuchając płaczem i łka mi do słuchawki.

Nie. Nie.

– Dzwoniłaś do Eddiego Volkera?

Zdaje się, że między jednym a drugim szlochnięciem powiedziała „tak”.

Może Eddie coś wymyśli. Ale jeśli federalni mówią o szpiegostwie, to mówią także o bezpieczeństwie narodowym. Mówią o ustawie Patriot Act.

Mogą zrobić ze mną praktycznie wszystko, co chcą.

Temperatura wynosi dzisiaj ponad trzydzieści stopni, ale mnie przenika lodowaty dreszcz. Zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby mnie zniszczyć, a teraz zrobili coś jeszcze gorszego. Niszczą moją gazetę i szkodzą moim pracownikom. Ludziom, którzy dzięki mnie zarabiają na życie.

Muszę coś przedsięwziąć. Muszę ocalić gazetę i tych, dzięki którym jest świetna. Ale co mogę zrobić? Gdzie znajdę potwierdzenie któregoś z moich podejrzeń? Nie potrafię nawet oddzielić tych dobrych od tych złych, a tym bardziej zwrócić się do któregoś z nich. A moi przyjaciele będą teraz narażać się na odsiadkę choćby tym, że pożyczą mi pięć dolców lub odpowiedzą na moje pytanie. Nie wolno mi ich narażać. Ale jeśli ich wyłączę, to kto mi zostanie? Nawet gazety już nie mam.

Nie mam pieniędzy, środków i przyjaciół.

Czasu zapewne także nie.

Przychodzi mi na myśl tylko jedna rzecz. Biorę oddech i łapię się złudnej nadziei.

– A komputer Jonathana Liu? – Jeżeli gdzieś mogę znaleźć dowód potwierdzający, że dzieje się coś złego, nie przypuszczenie, lecz dowód, to właśnie w tym komputerze.

Ashley Brook długo milczy.

– Zabrali go.

## Rozdział 78

Eddie Volker parkuje swojego mercedesa na podziemnym parkingu pod siedzibą kancelarii. Jest tu gorąco i parno, ale i zacisznie, więc można na niego poczekać, aż wysiądzie z windy po dziewiętnastej, po zakończeniu dnia pracy.

Wychodzę spomiędzy samochodów i pokazuję ręce. Eddie, tak jak zrobiłby każdy, zatrzymuje się, cofa i ocenia sytuację. Poznaje mnie i odpręża się.

– Przez ciebie dostanę zawału, Ben. – Rozluźnia krawat pod kołnierzykiem koszuli i bierze parę oddechów.

– Możemy pogadać w twoim samochodzie? – pytam.

Wsiadamy do mercedesa. Na fotelu pasażera leży pełno serwetek, papierków po jedzeniu i niezapłaconych mandatów. Całkiem jak w moim samochodzie, którym rzadko kiedy jeżdżę.

– Musisz dowiedzieć się wszystkiego – mówię. – Zanim postanowimy, co robić, musisz mieć pełny obraz.

Opisuję mu go w ciągu kwadransa. Jest dużo do opowiadania, poczynając od chwili, w której jakaś osoba wyskoczyła z balkonu Diany, do teraz. Ale on już większość z tego wie, a cokolwiek by się powiedziało o zwyczajach i klienteli Eddiego, nie można mu odmówić bystrości umysłu.

Śmieje się nerwowo.

– Przeróżnych miałem klientów – odzywa się w końcu. – Ale to ty zdobywasz pierwszą nagrodę za wdepnięcie w gówno.

– Więc co mam, do cholery, zrobić, Ed...

– Zacznijmy od początku, Ben. Jeśli wejdiesz teraz na stronę „Capital Beat”, przeczytasz, że strona jest w trakcie naprawy i konserwacji, i niebawem znów będzie dostępna. Dogadałem się w tej kwestii z Departamentem Sprawiedliwości. No dobra, układ nie jest idealny. Stracisz czytelników i przychody z reklam, to jasne. Ale to jeszcze nie katastrofa. Nie było mowy o tym, że Departament Sprawiedliwości chce zamknąć gazetę,

o szpiegostwie lub czymś podobnym. Opinia gazety nie została zszargana.

– Na razie – zauważam.

– Na razie – zgadza się Eddie. – Na twoim miejscu skupiłbym się na rozwiązaniu problemów osobistych. A rzeczywiście są poważne. – Bębni palcami w kierownicę. – A więc... prezydent ma romans i Ruscy o tym wiedzą. Szantażują go, żeby siedział cicho, kiedy ich czołgi będą pruć przez terytoria krajów byłego bloku sowieckiego?

– Tak to z grubsza wygląda.

– A Diana Hotchkiss jest kochanką prezydenta.

– To jest mój domysł. Całkiem prawdopodobny.

– I amerykańskie władze postanowiły wmówić wszystkim, że zginęła Diana, a nie ktoś podstawiony.

– Taak. Prezydent powiedział to na konferencji prasowej. To samo mówi stołeczna policja. Zmusili nawet rodzinę Diany, żeby powtarzała tę informację. Ruscy mają uwierzyć, że Diana nie żyje. Wydaje mi się, że CIA chce w ten sposób udaremnić szantaż. Jeśli nie będzie miał kto powiedzieć, że jest jakaś „ona”, prezydent będzie mógł się wyprzeć romansu i nikt mu nie zaprzeczy.

Eddie przyswaja to wszystko. Potem odwraca się do mnie.

– Więc jeśli władze załatwiły kwestię lipnej śmierci Diany, dlaczego dalej się ciebie boją?

– Bo ja nie przyjmuję do wiadomości, że Diana zginęła.

Wzrusza ramionami.

– Taak, ale co z tego? Jesteś pismakiem bez kawałka dowodu. Prezydent się wyprze, rodzice Diany to potwierdzą i koniec dyskusji.

Zastanawiam się nad tym chwilę.

– Pytam więc raz jeszcze – mówi Eddie. – Dlaczego amerykańskie władze uważają, że im zagrażasz?

Dobre pytanie. Trafne pytanie. Gdybym dążył do zatarcia śladów romansu, po pierwsze pozbyłbym się kochanki. Już to załatwili, przekonali wszystkich, że Diana nie żyje. Więc kto inny...

Och. No oczywiście.

Kurna olek, chyba wiem.

Ale w sumie lepiej będzie, jeśli tymczasem zachowam to dla siebie.

– Eddie, muszę lecieć, ale słuchaj. Nie prosiłbym cię, ale potrzebuję trochę kasy...

– Kasy? – Eddie się zastanawia. – Nie wiem... nie jestem pewny, czy mogę ci pomóc, Ben.

– Tak, rozumiem, nie wolno ci pomagać mi w żaden sposób. Nie chcę, żebyś trafił za kratki. Ale pomyślałem, że może masz przy sobie jakieś drobniaki. Nie sugeruję, żebyś wypisywał mi czek.

Eddie milczy chwilę.

– Kiedy będę wyjmował kluczyki, żeby uruchomić samochód, z kieszeni może mi wypaść trochę pieniędzy, których nie zauważę.

– Tak, coś takiego mogłoby się zdarzyć.

– Nie byłoby ich więcej niż kilkaset dolców.

– O kilkaset więcej, niż mam.

Eddie wysiada z auta. Obaj wiemy, że to głupie, ale wyjmuje banknoty z portmonetki ze spinaczem i upuszcza je na betonową posadzkę.

– Ups – mówi.

Nie podnoszę ich od razu. Poczekać, aż Eddie odjedzie. Zagram w tę grę. On będzie mógł później twierdzić zgodnie z prawdą, że nie wręczył mi pieniędzy.

Ale podsunął mi myśl. Chyba wiem, czego obawiają się amerykańskie władze. I mam pomysł, jak mogę to potwierdzić.

## Rozdział 79

Nagle zmuszony do oszczędzania, zatrzymuję się w najtańszym hotelu, jaki udaje mi się znaleźć. Kiedy łazienka jest na korytarzu, wtedy wiesz, że trafiłeś do taniego hotelu. Kiedy klimatyzacja polega na tym, że machasz sobie dłonią przed nosem. Kiedy słyszysz, że facet w sąsiednim pokoju turla się po łóżku. Kiedy obsługa przynosi ci do pokoju packę na muchy. Kiedy telefon jest w holu, a nie na nocnym stoliku. Bo nie ma stolika.

Lecz zobaczyłem kolejny wschód słońca, a to samo w sobie stanowi już duże zwycięstwo.

Wykorzystując ostatnich parę minut na jednym z trzech telefonów na kartę, które mi zostały, dzwonię i umawiam się na spotkanie. Każą mi czekać do pory po lunchu, muszę więc wytracić trochę czasu. Może powinienem się przycząić w hotelu, ale pokój jest tak obskurny, że chyba zaryzykuję i wyjdę na ulicę.

Albo chociaż do kafejki, w której siadam w bejsbolówce mocno nasuniętej na czoło, piję małą kawę i skubię jagodziankę. Biorę „Post”, który ktoś zostawił na sąsiednim stoliku, i czytam tytuły. Tęsknię za dziennikarską robotą, odpowiada mi ona o wiele bardziej od życia uciekiniera. Lepiej płacą i nikt nie próbuje cię rozwalić.

– Szlag! – krzyczę na widok głównego artykułu, którego tytuł brzmi: *Rosyjski przywódca unika kuli zamachowca*.

Przeglądam szybko tekst. Wczoraj wieczorem w jakiejś podmoskiewskiej miejscowości rosyjski premier Jurij Merejedew, przemawiając na wiecu, ledwo uszedł z życiem, kiedy jakiś mężczyzna zaczął do niego strzelać. Milicja ujęła sprawcę, uważa się, że ma on powiązania – cóż za niespodzianka – z gruzińską tajną policją. Amerykański Departament Stanu ponoć „pilnie obserwuje” rozwój sytuacji.



Rzucam gazetę. Andrei Bogomolov przewidział właśnie coś takiego. Atak terrorystyczny, za który winą obarczona zostanie Gruzja. To prawie wystarczy. Z pewnością wystarczy do tego, żeby można było trąbić o prowokacji.

Rosja jest coraz bliżej inwazji na południowego sąsiada. Plan odbudowy dawnego imperium sowieckiego jest w trakcie realizacji.

## Rozdział 80

Przypinam rower do parkometru, w łazience fast foodu wkładam wyjściowe ubranie i wchodzę do budynku przy następnej przecznicy. W recepcji pokazuję kartę akredytacyjną i po chwili siedzę w luksusowej poczekalni, która przywodzi mi na myśl wizytę w biurze Jonathana Liu. Jemu nie wyszło to na dobre. Ciekawe, jaki moja wizyta będzie miała skutek dla Edgara Griffina.

– Pan Griffin czeka – oznajmia starsza pani, niezbyt wysoko oceniająca mój wygląd. Najwidoczniej jeden z pryncypałów w firmie prawniczej Griffin i Weaver nie przywykł do tego, że do jego siedziby wpełzają osobnicy mojego pokroju.

– Tak, panie senatorze, zgoda. – Edgar Griffin rozmawia przez zestaw słuchawkowy i skinieniem ręki zaprasza mnie, żebym wszedł do wystawnie urządzonego gabinetu. Oto korporacyjny szyk w najszykowniejszym wydaniu, jeśli tak można rzec. Gabinet ma powierzchnię kortu tenisowego. Jedną ścianę zapełniają ozdobne książki, drugą dyplomy i oprawione zdjęcia wielmożnego pana Griffina w czasie spotkań z ważnymi osobami; okno na całą wysokość pomieszczenia wychodzi na K Street. Wystrój stanowią drewno orzechowe i mosiądz. Forsa i władza. Dopomaganie ludziom z forszą i władzą daje jeszcze więcej forsy i władzy.

Wielmożny pan Griffin ma na sobie prążkowaną koszulę, czerwony krawat ze spinką, do tego nosi jedwabne szelki i złote spinki w mankietach. Ma bujne włosy błyszczące od brylantyny. Jego twarz jest szczupła, brwi są pieczołowicie wydepilowane.

– Panie senatorze, z ust mi pan to wyjął – mówi ze śmiechem do mikrofonu.

Idę o każdy zakład, że po drugiej stronie linii nikogo nie ma. Gospodarzowi chodzi jedynie o to, żebym zobaczył, jaki z niego waśniak. Dlatego przecież tu jestem, tak mu się w każdym razie wydaje. Zadzwoiłem wcześniej i przedstawiłem się jako

dziennikarz, który pisze tekst o dziesiętce najbardziej wpływowych osób w stolicy; on ma być *numero uno*, jego facjata ma przyzdobić pierwszą stronę naszej skromnej gazetki internetowej.

Raptem okazało się, że może wykroić pół godziny w swoim niezwykle napiętym planie dnia.

– Edgar Griffin – mówi do mnie, zdejmując słuchawki.

– Ben Casper. – Ściskamy sobie dłonie. Specjalnie włożyłem akredytację do kieszeni sportowej marynarki tak, żeby ją widział. Mam nadzieję, że dzięki temu nie zwróci uwagi na to, że marynarka jest pognieciona w tysiącu miejsc, bo od paru dni noszę ją zwiniętą w sportowej torbie.

– Miał być fotograf? – pyta Griffin.

– Miał być. I będzie – odpowiadam. – Wyznamy spotkanie na jutro.

– Świetnie. Proszę to omówić z Cheryl.

Rozglądam się po gabinecie.

– Ojej. Nieźle się pan urządził. Odrobiłem pracę domową, Ed, i muszę powiedzieć, że kiedy pytam w mieście o najbardziej wpływowych ludzi, pana nazwisko pada często gęsto.

– Edgar – poprawia mnie.

Czyżby powtórka z przywitania?

– Ben – mówię.

– Nie. Powiedział pan do mnie Ed, a mam na imię Edgar.

– O, przepraszam. Mam adwokata o imieniu Ed. Właściwie to Eddie. Eddie Volker. Zna go pan?

Gospodarz marszczy nos. Najwyraźniej pan Edgar Griffin z kancelarii Griffin i Weaver nie zna Eddiego Volkera, prawnika, który stoi o kilka stopni niżej na drabinie elity i który broni kryminalistów i pomaga dziennikarzom.

– Znałem Edwarda Verrilla w Cambridge. Vogela nie, nie sędzę.

Otóż to. W ciągu niespełna pięciu minut zdążył mi zakomunikować, że studiował prawo na Harvardzie.

– To jest nazwisko rodowe, prawda? – pytam. – Edgarze.

– Tak, owszem.

Kiwam głową.

– A dyplom prawniczy z Harvardu? Na pewno nie był pierwszym w pańskiej rodzinie?

Edgar jest nieco dotknięty.

– Ojciec również tam uczęszczał.

Jasne, on tam nie chodził. On uczęszczał.

– Dziadzio także? – dopytuję.

Teraz już na pewno go obraziłem.

– Mój dziadek również, tak.

Więc w zasadzie wystarczyło, żeby w czasie rozmowy kwalifikacyjnej nie zsikał się w portki. Był przyjęty, jeszcze zanim złożył podanie. Ale lepiej, żebym mu tego nie mówił. W każdym razie nie od razu. Może przed wyjściem.

Na znak pokoju unoszę rękę.

– Wyłączyli ze mnie stare żale. Chciałem iść na Harvard, ale mnie nie przyjęli.

To nieprawda, nie składałem podania do Harvardu. Właściwie to nawet nie ubiegałem się o przyjęcie na American University. Tato po prostu oznajmił mi któregoś dnia, że czasy prywatnych lekcji się skończyły i że jesienią idę na uniwersytet. Powiedziałem tak po to, by Edgar patrzył na mnie z góry jeszcze troszkę bardziej niż dotąd. Jeżeli to możliwe.

– A zatem, Edgarze, zbierał pan sobie dość imponującą klientelę – mówię, spoglądając na arkusz papieru, na którym nie ma żadnej listy. Arkusz jest czysty. – O, widzę tutaj Aleksandra Kutuzowa. To ten miliarder?

Edgar znowu poczuł się komfortowo.

– Wspaniale było pracować z Alekssem.

To jedna z metod, które ludzie z kompleksem wyższości wykorzystują do tego, żeby jeszcze bardziej się wywyżczyć: sypią nazwiskami sławnych osób, pokazują, że się z nimi kolegują. Taak, przedwczoraj jadłem lunch z Jenny Lopez, a przy stoliku obok siedzieli Bobby De Niro i Marty Scorsese.

– Tutaj, w Stanach – podejmuje (jeśli ktoś mówi o Stanach Zjednoczonych „Stany”, to daje ci do zrozumienia, że podróżuje po świecie) – pomogliśmy Aleksowi z licencjami i paroma roszczeniami związanymi z prawem własności drużyny piłkarskiej.

Ponownie wskazuję kartkę, na której nic nie ma. Gdyby ten facio nosił głowę wyżej niż tyłek, mógłby to zauważyć.

– Widzę, że udzielił pan pomocy prawnej panu Kutuzowowi w negocjacjach dotyczących rurociągu w Rosji. Tego, którym

ropa płynie do sąsiednich krajów.

Sprawę tak naprawdę prowadziła londyńska filia kancelarii Griffin i Weaver, ale postawiłbym wszystkie moje zamrożone środki na to, że mój gospodarz przypisze zasługę sobie.

Bo bardzo na to liczę.

– Moglibyśmy o tym chwilę pogawędzić? – pytam.

## Rozdział 81

Wielmożny pan Edgar Griffin opiera ręce na brzuchu i składa je w daszek.

– Wrażliwe negocjacje, bez wątpienia, ten naftociąg. Rosyjskie władze potrafią robić trudności. Ale udało nam się doprowadzić do bardzo intratnego porozumienia, na którym skorzystały obie strony. Uważamy, że współpraca z rosyjskimi władzami będzie dla Aleksa bardzo korzystna.

– Mówimy o miliardowym kontrakcie? – pytam z udawanym podziwem.

– Lekko licząc. Ostatecznie będzie wart dziesiątki miliardów.

– Ojej. Nawet sobie nie wyobrażam presji, która towarzyszy takim negocjacom. Jest pan okropnie imponującym facetem, panie Griffin.

Mój rozmówca chyba zgadza się z tą opinią. Poświęcamy chwilę na podziwianie go.

– A tak z ciekawości – mówię, nachylając się ku niemu. – Bo dla mnie to są o wiele za wysokie progi, nie na moją głowę, ale tak się zastanawiałem. Znowu dochodzi do zatargów na linii Gruzja–Rosja. Co z tego może wyniknąć? Na przykład wybuch wojna i Rosja po prostu odcina Gruzji dopływ ropy naftowej?

Griffin kiwa głową, jego ręka wędruje w górę.

– Istnieją standardowe klauzule o działaniu siły wyższej.

– O rany, łacina.

Jest już oczywiste, że obaj bujamy na tym samym poziomie podziwu dla niego, więc Edgar ogromnie się rozluźnił.

– Właściwie – mówi ze śmiechem – jeśli rozmawiamy prywatnie, bo to jest tylko ogólna rozmowa, zgoda?

– Zgoda. – Określenie „ogólna rozmowa” znaczy, że nie opublikuję jej treści ani mu jej nie przypiszę. Ale umowa Kutuzowa z Rosjanami i tak należy już do wiedzy publicznej. Znalazłem ją online, aczkolwiek w języku rosyjskim. Tak czy

owak, ego tego człowieka jest zbyt duże, by powstrzymał się przed podaniem mi tych informacji.

– Aleks jest zobligowany dostarczać ropę, lecz obowiązek ten wygasa w razie wojny – tłumaczy Edgar. – Co więcej, za przerwanie dostaw Aleks otrzyma hojną rekompensatę.

– Zapłacą mu za to, że nie będzie dostarczał ropy?

– Zgadza się. – Edgar promienieje. – Ma zagwarantowany taki sam dochód, ale nie musi ponosić nakładów na jej pompowanie.

– Albo może ją pompować i sprzedawać komu innemu – zauważam. – Podwójna korzyść.

– No właśnie.

– Ojej – powtarzam po raz trzeci. – Dobrze przysłużył się pan klientowi. Naprawdę jest pan topowym prawnikiem. Mam nadzieję, że pan Kutuzow dobrze pana wynagrodził.

Edgar przechyla głowę, mruga do mnie okiem i mówi:

– Owszem.

– I przypuszczam, że gdyby Rosja zaprowadziła w Gruzji marionetkowy rząd, zgodziłby się on nawet płacić Aleksowi wyższą cenę za ropę. To znaczy, hipotetycznie?

Mój gospodarz rozważa tę możliwość.

– Hm, tego nie wziąłem pod uwagę.

Jednak twój klient Aleks na pewno wziął.

– No cóż – mówię. – To tłumaczy, dlaczego Kutuzow zgodził się na kontrakt uboczny.

Wielmożny pan Edgar Griffin porusza się nieznacznie na fotelu.

– Pan wybaczy?

– Wybaczę panu?

– Kontrakt uboczny, powiedział pan? Nic mi nie wiadomo o żadnym kontrakcie ubocznym.

Zapewne nie. Nie ma powodu, by krewki miliarder dzielił się takimi informacjami z prawnikiem w Stanach.

– O tak – podejmuję. – Kontrakt uboczny, który polegał na tym, że pomoże Rosji zaszantażować amerykańskie władze, kiedy Rosjanie będą dokonywali inwazji na Gruzję. Nic dziwnego, że Kutuzow zgodził się pomóc. Zgarnie fortunę.

Prawnik odchyła się na oparciu fotela i od nowa ocenia sytuację. Temperatura w gabinecie wyraźnie spadła.

– Wiesz pan – odzywam się – cieszę się, że udało nam się umówić ponownie na tę rozmowę, Eduardo. Panu o tym nie wiadomo, ale zamierzałem wziąć udział w pańskiej rozmowie z detektywem Ellisem Burkiem parę dni temu. Z jakiegoś powodu musieliśmy ją odwołać... a, już sobie przypomniałem. – Strzelam palcami. – Ktoś urządził na nas zasadzkę z pistoletami maszynowymi, kiedy tutaj jechaliśmy. Coś okropnego, nie sądzi pan? Nawiasem mówiąc, mój przyjaciel, detektyw Burk, zginął.

Wzruszam ramionami.

– W każdym razie, mistrzuniu, chcę, żebyś przekazał wiadomość swojemu kumplowi Aleksowi. Chyba dasz radę, co, cwaniaczku?

Edgarowi nadal brakuje słów. Jest prawnikiem, więc umie zachować kamienną twarz, ale pod jego kołnierzykiem coś bulgocze.

Trochę mi to zajęło, ale wreszcie się połapałem. Mój prawnik, Eddie nie-Edgar Volker zadał proste pytanie: Jeśli Diana zniknęła z pola widzenia, to czemu amerykańskie władze wciąż się mnie obawiają? I wszystko stało się jasne. Wiem, dlaczego CIA ma przede mną stracha. Domyślam się, że z tego samego powodu, dla którego Rosjanie chcą mnie zabić.

Biorę wizytówkę Edgara z jego biurka i zapisuję na odwrocie miejsce, czas i parę innych poleceń.

– Proszę przekazać swojemu cennemu klientowi, panu Kutuzowowi, żeby spotkał się tam ze mną dziś wieczorem. I chcę wiedzieć, jak się z nim skontaktować. Więc zdobądź mi pan numer jego komórki, a kiedy zadzwonię do pana o siedemnastej, poda mi go pan.

Edgar wciąż wygląda, jakby połknął robaka.

– Dlaczego... on miałby się z panem spotykać? – wydusza w końcu.

Opieram się o orzechowe biurko i niechący, a może nie całkiem niechący, rozlewam kawę z kubka. Jednak Edgar ani na chwilę nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Dlatego, że mam kopię nagrania wideo – mówię. – I sprzedam ją temu, kto zaproponuje najwyższą cenę.



## Rozdział 82

Na Half Street zerkam na zegarek, jest punktualnie 18.45. Dochodzę do N Street i spoglądam na czerwoną markizę tuż na wschód od środkowej bramy National Park, stadionu drużyny baseballowej. Tuż nad okienkiem kasy biletowej na elektronicznej tablicy ogłoszeniowej widnieje napis: Plan Wielki Szlem: Kup bilety na cztery mecze i odbierz jeden za darmo! No dobra, koledzy, skoro wreszcie skompletowaliście porządny skład. Zajęło wam to zaledwie osiem lat po tym, jak drużyna przeniosła się tutaj z Montrealu.

Pokpiwam sobie, bo mnie to obchodzi. Lubię Nationalsów i podoba mi się, że dzielnica Capitol Riverfront obok Navy Yard tak dobrze się rozwinęła od czasu ich przybycia do stolicy. Cieszę się jak cholera, że mam w mieście drużynę, której mogę kibicować. Chodzi mi tylko o to, że przydałoby się więcej regularności w grze od startera i jakiś leworęczny pałkarz, który wchodziłby na zmiany z ławki rezerwowych.

A teraz, skoro już tu jestem, wyjaśnijmy powód mojego przybycia w to miejsce.

Oto i on, stoi pod elektroniczną tablicą obok okienka, ubrany tak, jak sobie zażyczyłem: w pomarańczową wiatrówkę. Może ciut przegiąłem, ale nigdy nie widziałem Aleksandra Kutuzowa i chciałem, żeby odróżniał się od reszty kibiców, którzy idą na mecz Nationalsów z Bravesami, zaczynający się o 19.05.

Jest roslým mężczyzną o atletycznej budowie i ma wypielęgowane dłonie. Wygląda na człowieka, który czuje się całkowicie swobodnie; może z powodu oszłamiającego bogactwa, a może dlatego, że ma tutaj zbirów rozstawionych w różnych miejscach... Hm, zobaczymy: dwóch sterczy obok klubowego sklepiku, dwóch obserwuje szefa z piętra parkingu, inni zaś, jak przypuszczam, lepiej wtopili się w tłum. Prawdopodobnie ma ich tutaj całą armię. Gdyby wszyscy kupili bilety, liczba widzów dzisiejszego meczu by się podwoiła.

Ja? No cóż, jestem w kamuflażu. Mam na sobie czerwoną koszulkę Nationalsów, pod którą włożyłem gruby pas kupiony w sklepie z kostiumami dla przebierańców, który dodaje mi jakieś piętnaście kilo. Sprzedali mi także perukę, dzięki której jestem łysy na czubku głowy, a na bokach mam krzaczaste kępy włosów. Oraz atrapę okularów.

Może nie jest to najbardziej udatne przebranie i nie sprawdziłoby się przy dokładnych oględzinach, ale nie spodziewam się oględzin. W zasadzie już zrobiłem swoje. Wsiadam do taksówki stojącej pod stadionem, którą przed chwilą opróżniła zgraja pijanych studentów. W środku cuchnie przetrawionym piwem, ale co mi tam. Opieram głowę o zagłówek i słucham, jak taksówkarz rozmawia przez komórkę w języku, którego nie rozumiem.

Zadziwiające, że tak proste zadanie sprawiło, że jestem mokry jak mysz. Ale jak dotąd sprawy układają się pomyślnie. Aleks Kutuzow rzucił wszystko i stawiał się tutaj z sześciogodzinnym wyprzedzeniem, żeby się ze mną spotkać. To znaczy, że zmierzam we właściwym kierunku.

Wyjmuję telefon na kartę i wybieram numer, który podał mi Edgar Griffin. Dzwoniłem do Aleksa godzinę temu. Rozmowa była krótka. Ta może potrwać dłużej.

Zaraz się przekonamy, czy czegoś nie spartolę.

## Rozdział 83

Aleksander Kutuzow odbiera mój telefon po drugim dzwonku.

– Halo?

– Aleks, widzę, że dotarłeś na miejsce. Witam na stadionie Nationalsów.

Chwila milczenia.

– Dziękuję, panie Casper. – Jego angielski jest bardzo dobry, jakkolwiek mówi z mocnym rosyjskim akcentem. – Gdzie pan jest?

– Przyjechał pan sam, Aleks, tak jak prosiłem?

– Oczywiście.

Oczywiście, że nie. Ale to bez znaczenia. Jestem już w odległości półtora kilometra, jadę taksówką.

– Przywiózł pan to, o co prosiłem?

– Przywiozłem. – Kutuzow zachowuje ostrożność, rozmawiając przez telefon, spodziewałem się tego. Nie powie, co to jest, ale kazałem mu przywieźć rękawicę baseballową z dziesięcioma tysiącami dolarów upchanymi w palcach. I napisać na rękawicy moje nazwisko.

– Proszę ją oddać do punktu zbiórki rzeczy znalezionych w biurze obsługi gości. Jest tuż obok pana przy głównej bramie.

– Więc nie spotkam się dzisiaj z panem? – pyta mój rozmówca po chwili milczenia.

– Potrzebne jest nam wzajemne zaufanie – odpowiadam. – Jeśli rękawica trafi do punktu rzeczy znalezionych, będziemy je mieli.

A ja będę miał trochę forsy na wydatki.

– Taka umowa jest nie do przyjęcia.

– Dobrze, Aleks, jeśli tak sobie życzysz. Mam innego nabywcę.

Następna pauza. Kiedy stoi się z nim twarzą w twarz, Kutuzow zapewne wiele osiąga ostrym spojrzeniem i długimi

pauzami. W rozmowie telefonicznej nie jest to aż tak skuteczne, ale mimo to się sprawdza, muszę mu to przyznać.

– Skąd mogę mieć pewność, że otrzymam jedyny egzemplarz, panie Casper? Skąd będę wiedział, że nie przekaże pan drugiego swoim zwierzchnikom, kiedy dam panu pieniądze?

Moim zwierzchnikom? Kogo on uważa za moich zwierzchników?

– Ma pan wyłącznie moje słowo – mówię. – Ale naprawdę pan je ma.

Następuje kolejna chwila milczenia, lecz tym razem jest bardzo długa i przychodzi mi na myśl, że Kutuzow się rozłączył. Mógłbym go zapytać, kto według niego jest moim zwierzchnikiem, ale lepiej zachowywać się jak najbardziej tajemniczo.

– Panie Casper – odzywa się Rosjanin. – Pan... żyje pan w strachu, tak?

I to bardzo, lecz już myślałem, że zdobywam przewagę. Pewność siebie tego faceta sprawia, że zaczynam w sobie wątpić.

– Czy mówię jak ktoś, kto jest przestraszony, Aleks?

– Tak, owszem. Bardzo przestraszony. Mówi pan jak człowiek, który bardzo się stara udawać, że się nie boi. Ale słyszę strach w pańskim głosie. Ja... ja to rozpoznaję rutynowo.

O, na pewno.

– Myślę, że to pan się boi, Aleks.

– Czy mówię jak ktoś, kto się boi, panie Casper?

Chciałbym, żeby tak było, ale tak nie jest. Ani ciut-ciut.

– Zadał pan sobie dużo trudu, żeby tutaj przyjechać, i to bardzo prędko.

– Och, nie zaprzeczam, że zależy mi na obiekcie, który pan ma. I sownie panu za niego zapłacę. Ale proszę nie mylić tego ze strachem, panie Casper. To istotne, żebyśmy się rozumieli co do tej konkretnej kwestii.

– Bardzo proszę, Aleks, zamieniam się w słuch. – Dalej udaję brawurę, ale mam do czynienia z poważnym gościem, ja zaś jestem tylko durnym pismakiem.

– Do czasu, aż da mi pan to, czego chcę – mówi Kutuzow – powinien pan żyć w strachu. Nic się nie zmieniło.

– Twoi cyngle będą mnie dalej szukali? To chcesz mi przekazać?

Nie odpowiada. Zgaduję, że nie chce przyznawać się do tego w rozmowie telefonicznej. Ale to właśnie ma na myśli. Dopóki nagranie jest w moich rękach, będę chodził z tarczą narysowaną na plecach.

Rany, jak ja bym chciał mieć to nagranie.

– I panie Casper, jeżeli dowiem się, że inny egzemplarz trafił w ręce pana zwierzchników, a pan zrobił ze mnie głupca, proszę uwierzyć, że nie będę zadowolony.

– W porządku, Aleks. Rozumiemy się.

– Znajdzie pan rękawicę w punkcie rzeczy znalezionych – oznajmia w końcu. – A ja będę czekał na wiadomość od pana, panie Casper.

– To jest jakiś plan.

– Ale niech pan nie wystawia na próbę mojej cierpliwości.

Naprawdę żywiłem nadzieję, że ta rozmowa doprowadzi do tego, że to ja poczuję się dobrze, a on się zmartwi. Ale on nie mówi jak człowiek zmartwiony. A ja nie czuję się dobrze.

– I dopóki nie dostarczy mi pan obiektu – dodaje Kutuzow – powinien pan spać z otwartymi oczami.

## Rozdział 84

Jeszcze jedna noc spoczynku na materacu o grubości tektury, odrobinę tylko mniej wygodnym od papieru ściernego. Musiałem czekać zaledwie godzinę na możliwość skorzystania ze wspólnej toalety i prysznic. Wcale mi nie przeszkadzało, że stoję w kolejce z ręcznikiem i szczoteczką do zębów obok zaświerzbionego gościa, który pytał mnie raz po raz, czy mam krem na hemoroidy (nie miałem), środki przeczyszczające (nie), nitkę dentystyczną (sorki) albo krem na hemoroidy (nadal nie). Bardzo byłem rad, że wszedłem do łazienki przed nim.

Teraz znów jestem na National Mall i może nie jest to twórczy wybór, ale mi odpowiada, bo kręci się tu mnóstwo ludzi i jest blisko do stacji metra, gdzie mogę w każdej chwili wskoczyć do pociągu i pojechać w dowolnym kierunku. Nawet jeśli zlokalizują mój telefon i mnie namierzą, ulotnię się na długo przed tym, zanim oni dotrą na miejsce.

Wybieram numer i przypuszczam – a raczej mam nadzieję – że on odbierze, że czeka na telefon ode mnie.

– Halo, tu Craig Carney.

Rozglądam się, ale nie widzę, by ktoś odwracał się na pięcie w moją stronę lub wymachiwał pistoletem.

– Panie dyrektorze! Mówi pański stary przyjaciel. Jak pan się dziś miewa?

Nikt nie używa czasownika „wymachiwać”, jeśli nie odnosi się on do broni. Czemu można wymachiwać mieczem lub rewolwerem, a nie, powiedzmy, pękiem kluczy, który przed chwilą znalazłeś pod poduszką? Ja tam bym wymachiwał.

– Mógłbym zadać panu to samo pytanie, Benjaminie. Wygląda na to, że przyszły na pana ciężkie czasy. A rozum już panu wrócił?

Jeszcze raz lustruję wzrokiem pasaż i nie widzę nic, co wzbudziłoby u mnie pajęczą czujność. Wystrzeliwać nitki

z nadgarstków jak Spiderman to żadna frajda, ale mieć jego wyczulenie na niebezpieczeństwo, to byłoby super.

– Nie straciłem rozumu, panie dyrektorze. Może dolary, ale nie rozum.

Carney parska śmiechem.

– Dałem ci szansę, Ben. Pamiętaj o tym, proszę. I dam ci jeszcze jedną, ale twoje możliwości się wyczerpują. Nie jestem pewny, czy zdołam cię jeszcze uchronić przed więzieniem. Ale możesz uniknąć kary śmierci i odzyskać swoje aktywa.

Potrząsam głową, nie chcę pozwolić, by zasiał we mnie lęk. Wczoraj już zaczynałem odzyskiwać rezon. Aleks Kutuzow trochę napędził mi stracha, lecz przeleciał pół świata, żeby spotkać się ze mną koło stadionu Nationalsów; mój znajomy, który pracuje jako klubowy ochroniarz, mówił, że wczoraj wieczorem w punkcie rzeczy znalezionych naprawdę była rękawica z moim nazwiskiem. Więc mam przynajmniej potwierdzenie, że nagranie wideo istnieje.

Odchrząkuję i dzielę się informacją z Craigiem Carneyem.

– Panie Carney, mam to wideo.

Gdybyśmy rozmawiali osobiście, wyjąłbym nośnik z kieszeni i nim zamachał. (To znaczy, gdybym rzeczywiście je miał).

Mój rozmówca milknie na chwilę. Jest zbyt dobrze wyszkolony, nie krzyknie „Jasny gwint!”, nie jęknie ani się nie rozpłacze, ale nawet bajerant klasy wicedyrektora CIA potrzebuje chwili, by zareagować na taki obrót wydarzeń.

– Wideo?

– Tak, proszę pana, wideo. To samo, które powala na kolana nasze władze państwowe. Czy coś to panu mówi?

Sprawia mi to radochę, nie będę ukrywał. Ale muszę mieć wzgląd na płynący czas. Jest tak jak w filmach, kiedy zbieg dzwoni do siedziby stróżów prawa, a ci wychodzą z siebie, żeby namierzyć połączenie; jeden unosi ręce i pokazuje, żeby inny przeciągał rozmowę, ile wlezie, trzeci szepcze: „Jest w mieście”, w końcu precyzyjnie ustalają miejsce, ktoś kreśli kółko na planie i wszyscy zrywają się ze swoich miejsc.

W *Mission: Impossible* potrzebowali pół minuty na to, by zlokalizować Toma Cruise'a, ale on o tym wiedział i rozłączył się po dwudziestu dziewięciu sekundach. Zawsze wydawało mi się to nierealistyczne. Maski, które wyglądają jak twarze żywych

osób, oczywiście, ale namierzyć połączenie telefoniczne w ciągu trzydziestu sekund? Mowy nie ma.

Wróćmy jednak do rzeczywistości, bo oto zastępca dyrektora CIA będzie rznął głupa.

– Nic mi nie wiadomo o żadnym nagraniu wideo, Benjaminie. Musisz wyrażać się ściślej.

Cóż za niespodzianka! Mimo to moje serce przyspiesza, a ja chodzę w koło nieopodal pomnika drugiej wojny światowej.

– Proszę nie ściemniać, panie dyrektorze. Obaj wiemy, że istnieje nagranie wideo z prezydentem i jego kochanką. A ja mam jego kopię.

Nie odpowiada od razu, ale teraz, kiedy wyjawilem szczegóły, pewnie robi w gacie.

– Synku, nie masz pojęcia, w co się bawisz, ale jak zwykle cię to przerasta. Nie ma nagrania wideo z prezydentem i jakąś „kochanką”, bo ktoś taki nie istnieje. Prezydent dochowuje wierności swojej żonie.

Carney nie mówi jak ktoś, kto robi w gacie.

Milknę, lecz on nie rozwija tematu, nie broni się. Nie wyczuwam w jego głosie najmniejszego drżenia, żadnego sygnału, który by wskazywał, że zyskuje przewagę. Wprost przeciwnie: pokazuje mi, że to on jest górą.

– Dobry pan jest, panie dyrektorze. Ale mnie pan nie nabierze.

– Więc opublikuj to wideo, Ben. Wyemituj w wieczornym serwisie informacyjnym. Przekaż któremuś ze znajomych dziennikarzy. Pofolguj sobie, droga wolna.

Teraz to ja robię w gacie.

Gapię się na aparat. Co to ma znaczyć? Nie spodziewałem się, że otwarcie potwierdzi istnienie nagrania, zwłaszcza w rozmowie telefonicznej, ale on nawet nie próbuje mnie ugłaskiwać. Nie pyta, czego chcę ani gdzie możemy się spotkać.

Pierdol się, mówi.

Kończę połączenie i ruszam biegiem ku stacji metra. Najłagodniej rzecz ujmując, rozmowa nie przebiegła zgodnie z planem.

To w końcu istnieje jakieś kompromitujące wideo czy nie istnieje?



## Rozdział 85

Coś mi umknęło... Coś mi umknęło...

Wysiadam z czerwonej linii metra na stacji Van Ness, odpinam rower od stojaka i przebieram się w łazience fast foodu w strój cyklisty. Wykonuję te czynności niczym robot, a mój mózg usiłuje tymczasem uporządkować ten galimatias.

Zdawało mi się, że rozgryzłem sprawę. Zdawało mi się, że istnieje nagranie wideo. Kiedy wspomniałem o tym Kutuzowowi, ten aż podskoczył. Carney natomiast ledwo ziewnął. Nawet drażnił się ze mną, żebym je upublicznił. Zaufania mam do niego tyle co nic i jestem pewny, że blefować potrafi jak mało kto, ale jeśli jest jakieś nagranie... on by się tak nie zachowywał. Coś musiałem przeoczyć.

Dzwonię do mojego irlandzkiego towarzysza Seana Patricka Rileya, żeby mi przedstawił najświeższe nowiny. Zadałem mu pracę domową i próbowałem uzmysłwić, jakie to pilne. Miejmy nadzieję, że chłopaczysko się spisało.

– Coś mam – mówi. – Miałeś rację. Kiedy brałem się do tego zlecenia, na wstępie sprawdziłem konto pocztowe Niny, ale nie podszedłem do tego z chirurgiczną precyzją. Okazuje się, że jest parę maili, które skasował jakiś haker.

– Maile, których nikt nie miał zobaczyć.

– Maile, których nikt nie miał zobaczyć – powtarza po mnie.

– I te maile są dobre? – pytam.

– Te maile są dobre.

Facet powtarza za mną słowo w słowo. Czy scenarzysta Aaron Sorkin to notuje?

– Kiedy możemy się spotkać? – chce wiedzieć Sean Patrick.

Hm, zobaczymy. Dzisiaj mam zaplanowany manicure, później kino, jutro pilates, brunch w gronie znajomych, poza tym od dawna przymierzałem się do uporządkowania szuflady, w której trzymam skarpety...

– Kiedy możemy się spotkać? – powtarzam z irytacją. – Sean, do jasnej ciasnej, a może by tak zaraz, natychmiast!

Ustalamy wytyczne. Wolałbym ich nie ujawniać, przesądny ze mnie gość. W filmach, gdy tylko aktor objaśnia plan, wiesz, że ten plan spali na panewce albo napotka poważne przeszkody. Jeśli jeden do drugiego mówi: „No dobra, plan jest taki”, i wtedy scena się kończy, a ty nie znasz szczegółów, wiesz, że plan się powiedzie. Sami się przekonajcie przy okazji. Znam tylko jedno odstępstwo od tej reguły. W *Ludziach honoru* Tom Cruise wyjawia, że chce zachęcić Jacka Nicholsona, by ten przyznał się, iż rozkazał zdyscyplinować żołnierza, i plan wypalił. (Tak się składa, że scenariusz tego filmu napisał Aaron Sorkin).

Wybaczcie, bo znów zaczynam się plątać. To te moje zszargane nerwy. Już mi się wydawało, że hipoteza o istnieniu kompromitującej taśmy, która ma posłużyć do szantażu, do czegoś mnie doprowadzi, że znalazłem wyjście z potrzasku, i nagle wróciłem do punktu startowego, a Craig Carney tylko mnie wyśmiał.

Wskakuję na rower i pedałuje Connecticut Avenue, pomny tego, że kiedy poprzednio tędy jechałem, omal się nie zabiłem, a przy okazji rozwalilem komputer Jonathana Liu.

Trzymam się prawej strony, gdyż większość aut kieruje się do tunelu. Dojeżdżam do Dupont Circle, gdzie jest teren zielony otoczony rondem z szeregiem zjazdów. W tym małym parku ludzie relaksują się na ławkach albo jedzą spóźniony lunch. Pamiętam, jak byłem w Rzymie i siedziałem z bagietką i kawałkiem sera w dłoniach, obserwując kierowców pędzących jak kamikadze. Cztery pasy jezdní łączyły się tam w jeden, a oni wjeżdżali na niego, trąbili na siebie i prawie się zabijali. To było lepsze niż wyścig samochodowy w Indianapolis.

Jeden z mężczyzn siedzących w parku intensywnie obserwuje jadące auta, a potem zerka na mnie, wstaje z ławki i śledzi mnie wzrokiem. Co u diabła, koleś, nigdy nie widziałeś rowerzysty?

Z zamyślenia wyrывa mnie dźwięk klaksonu. Jakiś palant myśli sobie, że wolno mu trzymać się prawej na Massachusetts bez ustępowania miejsca mnie, rowerzyście. Naciskam mocno na hamulec i zatrzymuję się. Przed wykonaniem skrętu

kierowca opuszcza szybę od strony pasażera i obrzuca mnie bluzgami, grożąc, że rozgniecie mnie jak pluskwę.

Ustaw się w kolejce, brachu. Władze niektórych państw też pragną mojego zgonu.

Spoglądam w lewo, na park. Facet, który obserwował przejeżdżające auta, już nie stoi obok ławki. Przesunął się do chodnika, bliżej mnie.

I patrzy prosto na mnie, gapi się. Tak jakby gapił się na kogoś, kto wygląda znajomo, ale trudno mu jest go z czymkolwiek skojarzyć.

Jego oczy się rozszerzają. Skojarzył mnie, bez dwóch zdań.

Unosi nadajnik do ust i coś krzyczy. Nie rozpoznaję tego języka.

Ale z całą pewnością brzmi jak rosyjski.

## Rozdział 86

Nie wiem, jak będzie po rosyjsku „Znalazłem go! Znalazłem!”, ale jestem prawie pewny, że właśnie to krzyczy do mikrofonu ten człowiek.

Ruszam z miejsca i jadę po rondzie, uciekam jak Matt Damon w którejś części *Bourne'a*, tylko że on miał motor. Mężczyzna mnie śledzi, idzie alejką, żeby zobaczyć, gdzie skręcę. Pedaluję ze wszystkich sił, lawiruję między samochodami, ten i ów kierowca gniewnie wyraża dezaprobatę klaksonem. Skręcam z ronda w prawo w Dziewiętnastą Ulicę i oglądam się. Tamten widzi mnie, wykrzykuje coś do radia i wskazuje ręką w moim kierunku.

Spuszczam głowę i naciskam pedały, objeżdżam ogromną ciężarówkę Pepsi i wydzieram się na dwoje ludzi przechodzących przez ulicę, żeby usunęli mi się z drogi. Nagle słyszę okrzyki za sobą i szum silnika pracującego na maksymalnych obrotach. Oglądam się i widzę, że dogania mnie szybko czarny SUV. Mam przewagę, ale jadę maksymalnie może trzydzieści pięć kilometrów na godzinę, a SUV z osiemdziesiąt i wciąż przyspiesza. Nierówny pojedynek. Oni mają samochód i broń automatyczną, a ja rower i ujmującą osobowość.

Najwyżej za dziesięć sekund mnie dopadną i podziurawią kulkami.

Matt Damon coś by wykombinował. Pojechałby rowerem na wstecznym biegu albo wskoczył do samochodu, którym ścigają go dranie.

Ale i ja znam pewne sztuczki, mam w zanadrzu kilka atutów. Po pierwsze znam to miasto lepiej niż oni.

Ślizgiem biorę ostry zakręt w prawo i jadę Sunderland Place, wąską uliczką z samochodami po obu stronach; na moje szczęście na skrzyżowaniu z Dziewiętnastą stoi furgonetka UPS, właśnie trwa rozładunek. Jadący z naprzeciwka mercedes trąbi, a ja odbijam w prawo i wskakuję na chodnik. Słyszę, że opony

czarnego SUV-a ślizgają się na przecięciu Dziewiętnastej i Sunderland. Pedałuję jak oszalały, wydecham powietrze i nasłuchuję; ścigające mnie auto znów rusza z wyciem silnika, lecz kierowca mercedesa głośno wyraża sprzeciw klaksonem i pewnie się głowi, dlaczego SUV zmierza w kierunku zachodnim jednokierunkową ulicą prowadzącą na wschód.

Oto moja druga przewaga: mogę wjechać rowerem w miejsca, w które oni samochodem się nie wcisną.

Przeciągłe trąbienie mówi mi, że kierowca mercedesa nie zamierza włączać wstecznego, tym bardziej że to on jedzie jednokierunkową we właściwą stronę, a nie ma na niej dość miejsca, by SUV mógł go wyminąć. Trzymam głowę nisko, ale wątpię, żeby do mnie strzelali z tak daleka. Zerkam za siebie i widzę, że ścigający mnie wóz cofa na Dziewiętnastą, po czym kieruje się na południe i znika mi z pola widzenia.

Jestem więc w stu procentach bezpieczny, prawda? Tak jak w krwawym horrorze, kiedy kobieta słyszy hałas na piętrze, zagląda do każdego pomieszczenia, nie znajduje nikogo, więc uspokaja się i myśli: Coś mi się zdawało!, a za nią stoi facet w kasku hokeisty z kilofem w dłoni.

Ruscy pędzą Dziewiętnastą Ulicą na południe i prawie na pewno skręcą w N Street, dojadą do Dwudziestej i znów skręcą w prawo, po czym skierują się na północ, żeby mnie szukać. Długo im to nie zajmie...

Docieram do Dwudziestej, która jest częścią skrzyżowania trzech ulic z New Hampshire Avenue, ulicy przecinającej miasto ukośnie. Przemykam przez skrzyżowanie, ten i ów na mnie trąbi; skręcam ostro w lewo na New Hampshire i słyszę pisk hamulców i opon po lewej stronie. SUV Rosjan omija zakosami inne samochody, jest już prawie przy potrójnym skrzyżowaniu. Widzą mnie, wiem, że mnie widzą.

Wybór jest trudny, ale *Infiltrację* stawiam wyżej od *Buntownika z wyboru*, jednak należą do piątki najlepszych filmów z Mattem Damonem, no dobra, przestań, Ben...

Wjeżdżam z impetem na chodnik na New Hampshire, głowę mam spuszczoną i pedałuję ile sił w nogach. Na skrzyżowaniu chaos, trąbią klaksony, ludzie krzyczą, słysząc zgrzyt miażdżonego metalu. New Hampshire to także ulica jednokierunkowa, więc Rosjanie, żeby mnie dopaść, będą znowu

musieli zasuwać pod prąd. Ruch jest duży, mam nadzieję, że ich spowolni, dzięki czemu zyskam trochę czasu.

Mam pomysł, który przypadłby do gustu Mattowi Damonowi.

Z prawej strony mijam Firefly; wybrałem się tam kiedyś z Dianą, były daktyle z niebieskim serem i minipieczeń, a ona namówiła kelnera, żeby przyniósł pikle w piwie, mimo że żadne z nas nie zamówiło burgera. Potrafiła robić takie rzeczy...

Skup się, Ben.

Z trudem wyciągam z kieszeni telefon na kartę z wsadzonym jackiem zestawu słuchawkowego, wpycham sobie do ucha słuchaweczkę i zaciekle wybieram numer, to połączenie może mi uratować życie...

Tra-ta-ta-tata, strzelają do mnie i pociski trafiają w jakiś budynek, wbijają się w cegły; odbierz, cholera, telefon...

Słyszę, że SUV z rykiem silnika pędzi w kierunku południowo-zachodnim, nieuchronnie zbliżając się do mnie; nie prześcignę ich, ale jeśli uda mi się zyskać trochę na czasie, jeśli tylko dostanę się do Ward Place...

W *Intrygancie* Damon pokazał, że jest coraz lepszym aktorem...

Odzywa się telefon, a ja wrzeszczę do słuchawki; brak mi tchu, ale powtarzam w kółko te same słowa, Dwudziesta Druga, na południe...

I wtedy wykrzykuję dwa magiczne zaklęcia, które ich obudzą, to są słowa radioaktywne, powtarzam je raz po raz...

Jakaś kobieta biegnie z wózkiem, uciekając z pola ostrzału; mijam ją ledwo ledwo i wciąż pedałużę ile sił, ale oni nadjeżdżają, słyszę ich, lawirują między jadącymi z naprzeciwka autami, przechodnie rzucają się na chodnik, kryją się; znowu słysząc strzały, pociski przeszywają furgonetkę FedEx, łup, łup, łup, i wtedy ostro skręcam w prawo w Ward Place, malutką, wąską uliczkę...

Wardzie, nie sądzisz, że wczoraj potraktowałeś Beavera troszkę zbyt surowo?

... a ja pedałużę i pedałużę; po chwili słyszę, że SUV raptownie hamuje i wpada w poślizg na zakręcie; wtedy zapominam o *Utalentowanym panu Ripleyu*...

Ward Place to kolejna uliczka jednokierunkowa biegnąca na południe, co oznacza, że tamci znów będą musieli się

przedzierać przez ruch z naprzeciwka. Tyle że na Ward Place nie ma ruchu.

Jeśli Rosjanie nie zapragną przestrzegać przepisów ruchu drogowego i uniknąć mandatu, nic ich nie powstrzyma przed tym, by wcisnąć gaz do dechy i dopaść mnie w ciągu paru sekund.

## Rozdział 87

Ward Place to krótki łącznik uliczny, więc jeszcze zanim dojeżdżam do połowy, czarne auto łapie właściwy tor jazdy i mknie w moim kierunku. Zjeżdżam skokiem z krawężnika po północnej stronie, a potem wskakuję na krawężnik na stronie południowej. Strzelec z pistoletem maszynowym siedzi z prawej strony, na fotelu pasażera, więc nie będzie mógł do mnie wymierzyć, będzie musiał się przesiąść, a dla mnie każda sekunda jest jak skarb...

Musimy odzyskać skarb, ukradli go nam, podstępne małe hobbity.

– Odezwiście się, Dwudziesta Druga, odezwiście się...

Z budynku nad moją głową pryskają kawałki cegły, tamci nie bardzo mogą do mnie wycelować, ale nic ich nie powstrzyma; ktoś krzyczy, gdzie, do diabła ciężkiego, są samochody, moich prześladowców nic nie spowalnia, są bliżej z każdą sekundą, bliżej i bliżej, *Bliżej* to jeden z moich faworytów, Natalie Portman w różowej peruce w klubie ze striptizem... ..skup się, głupku... ..Jessica Alba w *Sin City*... ..a teraz serie z pistoletu nie milkną, pociski demolują budynki, druzgoczą szyby samochodów i metal... ..„Bliżej, proszę”, mówi Hannibal Lecter do Clarice...

Bliżej!

Robię ostry zakręt w lewo w ostatni łuk Ward Place, a pociski rykoszetują od narożnika budynku. SUV nie może tak zwinnie skręcić, wbija się więc w zaparkowany samochód; będzie ich to kosztowało parę sekund, mnie przyda się każda, bo Dwudziesta Druga już tuż-tuż...

Skręcam w lewo w Dwudziestą Drugą i jadę na południe jednokierunkową ulicą z ruchem skierowanym na północ. Śmigam pod markizą hotelu, przeze mnie tracą równowagę konsjerż i paru gości, którzy akurat chcieli wejść; słyszę pisk opon, klaksony i zgrzyt metalu; odważam się obejrzeć



i rzeczywiście, SUV zderzył się z nadjeżdżającym autem, skręcając w Dwudziestą Drugą, ale wnet ruszy i namierzy cię niczym upiorny Terminator, którego rozwalilo w drobny mak, ale uformował się na nowo...

Widziałeś tego chłopca?

Pandemonium na ruchliwej ulicy, dupek w czarnym SUV-ie jedzie pod prąd, kierowca każdego samochodu komunikuje mu to klaksonem, żaden jednak nie chce zagrać w bum-bum, więc usuwa mu się z drogi.

Czas, potrzebuję czasu, gdzie to jest, gdzie to jest, znajduję się na Dwudziestej Drugiej, gdzie to, kurwa...

Pieką mnie nogi, pot leje mi się do oczu, klaksony trąbią, opony piszczą, kiedy SUV zatrzymuje się i znów się zrywa, manewruje między nadjeżdżającymi autami; ale już ich słyszę, już ich słyszę i zdaje się, że kierowcy także, bo zjeżdżają na bok, żeby przepuścić auto z dupkiem za kierownicą, rozdzielają się niczym Morze Czerwone, w mojej głowie pojawia się więc Charlton Heston jako Mojżesz, oby nie był to ostatni obraz w moim mózgu, zanim kipnę...

Mają wolną drogę do mnie, silnik ryczy, a oni zmniejszają dystans, już tylko sekundy, już tylko sekundy...

Pociski sypią się na budynki, samochody i okna, ludzie schylają się i kryją, gdzie to jest, gdzie to jest, gdzie to, kurwa...

Kiedy docieram do skrzyżowania z M Street, z obu kierunków wynurzają się olbrzymie zielone wojskowe ciężarówki; przecinają skrzyżowanie, za nimi jadą czarne samochody osobowe i kilka furgonetek policyjnych. Na niebie, jakby znikąd, pojawia się śmigłowiec.

Wreszcie.

Ślizgiem wchodzę w lewy skręt na M Street, znikam z linii ognia i słyszę pisk opon: to pościg zbliża się do skrzyżowania. Wjeżdżam za blokadę, żeby obserwować z bezpiecznego miejsca.

SUV zatrzymał się jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów przed blokadą na M Street. Za nią z wyciem syren pruje następna kawalkada, żeby zamknąć Dwudziestą Drugą z drugiej strony.

Stoję na rowerze, opierając nogi na ziemi, i oddycham z ulgą. Rosjanie są otoczeni.

Przechodnie biegają, szukając schronienia. Żołnierze w pełnym rynsztunku bojowym wyskakują z ciężarówek i wymierzają broń w czarnego SUV-a. Funkcjonariusze policji robią to samo. Wszyscy pokrzykują na Rosjan.

Zgasić silnik! Rzucić broń! Ręce na głowę i wyjść z pojazdu!

(I od tej pory traktować uprzejmie Bena Caspera!)

Nikt nie podchodzi do wozu. Jeszcze nie. Wszyscy pilnują swoich pozycji. Śmigłowiec kołuje w górze na wysokości około piętnastu metrów.

Policjanci odprawiają gapiów, kierowcom po południowej stronie blokady każą zawrócić i nieco się oddalić. Mnie także odpędzają, ale jedną przecznicę dalej gramolę się na dach stojącego samochodu i obserwuję. Wydaje mi się, że zasłużyłem i mam do tego prawo.

Do akcji wkroczyła gromada agentów w cywilnych ubraniach; rozmawiają przez radiodbiorniki i tak samo jak pozostali mierzą z broni do bandytów. Goście z Secret Service. Znaleźli się tutaj dlatego, że dzwoniąc pod numer 911, wypowiedziałem dwa magiczne słowa.

Biały Dom. Dyżurnemu operatorowi oznajmiłem, że samochód kieruje się do Białego Domu. Tak się jakoś składa, że pobudza to czujność agend rządowych.

SUV stoi na jałowym biegu pośrodku Dwudziestej Drugiej Ulicy. Agenci wykrzykują polecenia w stronę Rosjan, ale jak dotąd w środku nic się nie poruszyło.

Pat.

Z każdą mijającą minutą na miejsce przybywają nowe pojazdy wymiaru sprawiedliwości. Musi ich być teraz ze dwadzieścia.

– Zabawa skończona, panowie – mówię do siebie. – Poddajcie się.

I nagle czarny SUV eksploduje i zamienia się w kulę pomarańczowych płomieni; ogień wybucha z taką mocą, że rozrywa drzwi, dach, wszystko. Nim siła podmuchu zrzuca mnie z dachu auta, widzę, że wojskowe ciężarówki toczą się po ulicy, ludzie fruną w powietrzu, wszędzie śmigają odłamki szkła.

Upadam twarzą na chodnik, rozlega się łoskot metalu rozbijającego się o ziemię i jedyny w swoim rodzaju odgłos upadających ludzkich ciał.

## Rozdział 88

Otwieram oczy. Nie wiem, jak długo leżałem bez przytomności. Unoszę głowę i myślę, że tak wygląda masowy chaos.

Ludzie biegają we wszystkie strony. Wszyscy krzyczą. Wyją syreny. Po niebie krąży już wiele śmigłowców. Myśliwce odrzutowe patrolują przestrzeń powietrzną. Nadjeżdżają wozy straży pożarnej i służb ratowniczych.

Wszędzie leżą ciała. Jestem za daleko od epicentrum eksplozji, by dobrze ocenić liczbę ofiar, ale niektórzy ludzie, Bogu dzięki, poruszają się. Inni ani drgną.

Powietrze jest gęste od spalin, benzyny i dymu. Od oparów śmierci.

Chwiejnie zbieram się na nogi. Jestem w jednym kawałku. Potrząsam głową i z włosów sypią mi się odłamki szkła. Ulica jest nimi zasłana.

Ruszam w stronę wraków, żeby zaofiarować swoją pomoc, lecz policjanci już wypychają ludzi z miejsca katastrofy i ustawiają blokady.

Nic nie mogę zrobić. W każdym razie nie tutaj.

Spoglądam w niebo, na chmurę czarnego dymu unoszącą się nad miejscem, w którym stał SUV Rosjan. Bandziorów, którzy w nim siedzieli, bez wątpienia rozerwało na strzępy. Z pewnością taki był cel, dla którego spowodowano eksplozję. To nie było samobójstwo, fiolka cyjanku, którą rozgryza się w zębach, żeby uniknąć przesłuchania przez wroga. Nie, tym zabójcom nie chodziło wyłącznie o uniknięcie pojmania.

Chcieli uniknąć identyfikacji.

Ruscy, a także Aleksander Kutuzow, dokładnie zatarli swoje ślady.

## Rozdział 89

Mijają dwie godziny. Patrzę bezradnie zza policyjnej blokady, jak sanitariusze gorączkowo udzielają pomocy rannym, jak niektórych odnoszą bez słowa i bez większego pośpiechu. Budynki w pobliżu miejsca wybuchu ucierpiały, okna są wybite, witryny wystawowe się rozsypały.

Nie ma powodu, żebym tu zostawał. Nikomu nie pomogę, nie rozwiążę żadnych problemów. A może pora już się do tego zabrać.

Wsiadam na rower i oddalam się od zamętu. Karetki pędzą w obu kierunkach. Modlę się, żeby spełniły swoje zadanie. Jednak wbrew nadziei, która dławi mi serce, wiem, że zginęli niewinni ludzie. Znow z mojego powodu. To ja ściągnąłem Rosjan do blokady. Ja doprowadziłem do tego, że ją ustawiono.

Budynek znajduję łatwo, wrył się w moją pamięć. Bywałem tam wiele razy, lecz jedna wizyta, niespełna miesiąc po śmierci matki, była wyjątkowa. Zwykły lunch na patio za domem Andreia, z kielbaskami i kebabem z grilla. To był pierwszy raz po jej śmierci, nie licząc pogrzebu, kiedy wyszedłem na świeże powietrze.

Pamiętam, jak stałem przed ogrodem, liczyłem wielobarwne płatki cudownych kwiatów i zachodziłem w głowę, jak coś tak wspaniałego i pięknego może istnieć w świecie, który jest zimny i ciemny. Pamiętam, że podszedł do mnie z tyłu i położył mi dłoń na ramieniu. W pierwszej chwili myślałem, że to ojciec, ale on nigdy nie dotknąłby mnie z taką czułością. Ojciec nie lubił kontaktów fizycznych.

Stałem przed ogrodem, a on podszedł, uśmiechnął się i obejrzał za siebie, jakby chciał się upewnić, że ojciec jest w należytej odległości. Wtedy rzekł: „Jeśli kiedykolwiek poczujesz, że jesteś w niebezpieczeństwie, możesz do mnie zadzwonić, Benjaminie. Ja ci pomogę”.

Ale co ośmioletni malec mógł wiedzieć o niebezpieczeństwie? Rodzice ci coś mówią, a ty to przyjmujesz. Ojciec oznajmia ci, że mama się zabiła, a ty odpowiadasz: Tak, Ojciec. Zakazuje ci rozmów z policją, a ty odpowiadasz: Tak, Ojciec. Mówi, że cię ochroni, a ty odpowiadasz: Tak, Ojciec. Nie wsłuchujesz się w to, co się kłębi w tobie, w te wredne, niepojęte lęki. Nie mówisz sobie, że ojciec zabił matkę, a na dokładkę zrobił z ciebie kozła ofiarnego.

Wnoszę rower po schodach i naciskam dzwonek. Nie wiem, czy on jest w domu, ale jeśli jest, podejście do drzwi zajmie mu trochę czasu.

Wreszcie otwiera.

– Benjamin – mówi. Zawsze zwracał się do mnie, używając pełnego imienia.

– Andrei – odpowiadam. – Chyba nadszedł czas, abyśmy znowu porozmawiali.

## Rozdział 90

Profesor Andrei Bogomolov prowadzi mnie do patio na tyłach domu. Ja jednak zatrzymuję się w jego gabinecie; w telewizji oczywiście nie pokazują nic oprócz wydarzeń, które niedawno widziałem na własne oczy. Z lotu ptaka widać czarny krater w miejscu, w którym stał czarny SUV z Rosjanami. Wszędzie stoją karetki, zwłoki są przenoszone na noszach. Za wcześnie na oszacowanie liczby ofiar. Reporterów najbardziej zaprzęta fakt, że do zdarzenia doszło osiem skrzyżowań przed Pennsylvania Avenue 1600, po informacji przekazanej za pomocą telefonu komórkowego pod numer alarmowy 911; anonimowy rozmówca ostrzegał, że może dojść do ataku na Biały Dom.

– Chodź – ponagla mnie Andrei. – Zdążysz obejrzeć wiadomości. Usiądźmy na zewnątrz.

Mijamy kuchnię, na blacie widać szereg buteleczek z lekarstwami, w kącie zaś tkwi stojak na kroplówkę. Podejrzewam, że chodzi o nowotwór, ale Andrei sam zadecyduje, czy mi powie. Chcę go zapytać o wiele spraw, natychmiast, lecz nie o to.

– Domyślam się, że to, co oglądałem w telewizji, w jakiś sposób cię dotyczy? – zagaja, ostrożnie siadając na tanim krześle ogrodowym, które stoi na brukowanym cegłą patio. Podwórce jest małe, choć gdy byłem dzieckiem, wydawało mi się ogromne; kwiaty i krzewy rosną w równiutkich rzędkach i szeregach.

– Przestańmy mówić o domysłach i prognozach – ripostuję. – Może byśmy porozmawiali o tym, co wiesz.

Andrei spogląda na mnie, po czym mruga i odwraca głowę ku ogródkowi.

– Opowiedz mi jeszcze raz o tym, jak to byłeś psychiatrą na sowieckim statku, wyskoczyłeś za burtę w pobliżu Wybrzeża Kości Słoniowej i dopłynąłeś do brzegu. Później wolontariusze z Korpusu Pokoju ukryli cię przed agentami KGB i przemycili do

ambasady amerykańskiej w Ghanie. Chcę usłyszeć tę historię jeszcze raz. Bo kiedy byłem mały, wydawała mi się tak inspirująca jak żadna inna.

Wyraz twarzy Andreia łagodnieje.

– A teraz w nią wątpisz?

– Przestań chrzanić, Andrei, dobrze? Z nadzwyczajną dokładnością przewidziałeś, co knują Ruscy. „Spodziewaj się teraz ataku terrorystycznego”. „Rosjanie zamierzają odbudować dawny blok sowiecki”. Trafiłeś w dziesiątkę ze wszystkim. Dajmy więc sobie spokój z udawaniem, że tylko udało ci się zgadnąć.

Andrei milczy. To znaczy nie odzywa się. Ale jego oczy tańczą, gdy rozważa moje słowa.

– Jesteś agentem CIA – mówię. – Jesteś szpiegiem.

Łagodny uśmiech igra na jego ustach. Dobrze cię nauczyłem, Koniku Polny.

– Jestem patriotą – odpowiada. – Byłem amerykańskim patriotą, jeszcze zanim zamieszkałem w tym kraju.

Teraz, kiedy myślę o tym jako dorosły, wszystko świetnie do siebie pasuje. Oficer i psychiatra w sowieckiej armii zapewne poznał wiele brudnych sekretów. Całe mnóstwo. Andrei pracował dla nas, przekazywał tajemnice CIA. Lecz później musiało się coś wydarzyć. Może Sowietci zaczęli coś podejrzewać. A może odsłużył swoje, spełnił warunki porozumienia i zapragnął nagrody: wolności. CIA zorganizowała więc ucieczkę. Może naprawdę wyskoczył z okrętu, ale ciąg dalszy to ściema. Wszystko było koordynowane. Agencja miała na miejscu kogoś, kto przerzucił zbiega do Stanów Zjednoczonych.

– No dobra, punkt dla ciebie, profesorze. Ale przewińmy taśmę do terażniejszości, bo coś mi się zdaje, że dalej przyciskasz uszy do ziemi i nasłuchujesz. Nadal słyszysz rozmaite rzeczy. O tym, co się dzieje, wiesz znacznie więcej, niż ujawniasz. Pora, żebyś podzielił się ze mną tą wiedzą.

Andrei zawsze był i zawsze pozostanie człowiekiem dyskretnym, taki będzie do końca. Wyjawia zaledwie ułamek tego, co czuje i myśli. Wydaje mi się jednak, że spodziewał się moich odwiedzin. Myślę nawet, że ich pragnął.

– Usiądź, Benjaminie – mówi, wskazując drugie krzesło.

Podnoszę je i rzucam w głąb ogródka. Potem stoję naprzeciwko starego przyjaciela.

– Co jest na tym nagraniu, Andrei?



## Rozdział 91

Profesor Bogomolov spogląda na mnie zmęczonymi oczyma.

– Mówię szczerze, że nie wiem, co zawiera to nagranie. Informacja jest pieczołowicie strzeżona i nie mam do niej dostępu. Zapewne mógłbyś policzyć na palcach jednej ręki osoby we władzach, które wiedzą, co na nim jest.

– Ale ono istnieje.

Andrei kiwa głową.

– Tak, istnieje.

– I Rosjanie je mają.

– Tak.

– I szantażują naszego prezydenta.

Wzdycha.

– Na to wygląda.

– Ale nie jest to sekstaśma z prezydentem i Dianą?

Andrei kręci głową.

– Powiedziano mi, że nie. Powiedziano, że to coś gorszego. Że zawiera bardzo wrażliwe dane.

Coś gorszego? Gorszego niż sekstaśma pokazująca prezydenta i jego dziewczynę?

– Dlaczego „przewidziałeś” te wszystkie posunięcia Ruskich, Andrei? Dlaczego powiedziałeś mi o ich planach?

Andrei znowu unosi głowę, widać, że z pewną trudnością. Sprawia wrażenie zdziwionego tym, że nie znam odpowiedzi, bo wydaje się ona oczywista.

– Benjaminie, mówiłem ci już, że jestem patriotą. Jestem patriotą do szpiku kości. Patriota robi to, co jest najlepsze dla ojczyzny, a nie dla jej przywódcy.

Jakie to prawdziwe. Tak mówi ktoś, kto wyrastał w państwie totalitarnym.

– A zatem uważasz, że sprawa dotyczy osobiście prezydenta. Nie zawiera ściśle tajnych informacji, takich jak kody pocisków nuklearnych czy zdjęcia szpiegów, ale czegoś osobistego.

Andrei podnosi kościste ręce.

– Tak podejrzewam. A gdybym wiedział, że taka jest prawda, gdybym wiedział, co to jest i że jest to coś kompromitującego prezydenta, powiedziałbym ci. W zasadzie, gdybym to wiedział, przekazałbym tę informację każdej gazecie na kuli ziemskiej. Zrobiłbym, co w mojej mocy, żeby tę informację opublikować i wypłatać Stany Zjednoczone z szantażu. Nawet gdyby zaprowadziło mnie to do więzienia. Ale nie wiem, Benjaminie. Więc gdybym się zgłosił do jakiejś gazety, nie mógłbym podać żadnych szczegółów. Łatwo byłoby mnie zdyskredytować. Wyobrazasz sobie reakcję władz: „Schorowany staruszek ma zwidy, starczą demencję”, i tym podobne bzdury.

Co do tego ma rację. Nasz rząd dobrze opanował sztukę wiarygodnego zaprzeczania. I obsmarowywania każdego, kto stanie mu na drodze.

– Najlepsze, co mogłem zrobić, Benjaminie, to uzbroić cię w jakąś informację i mieć nadzieję, że zdołasz dowiedzieć się więcej niż ja.

– Ja? Dlaczego?

Andrei wyciąga wiotką rękę i łapie mnie za nadgarstek.

– Jesteś zdolniejszy, niż ci się wydaje. Przewyciężyłeś wyzwania, które większość ludzi by złamały. Jesteś zaradny i zdeterminowany, i w mojej ocenie bardzo inteligentny. Jakoś udało ci się pogrzebać demony dzieciństwa i znaleźć trochę... nie wiem, czy można to nazwać szczęściem. Ale coś w rodzaju równowagi. Wywinąłeś się z zamachów na życie, które przeprowadzili Rosjanie, domyśliłeś się, że istnieje nagranie wideo, i napędziłeś stracha całemu Gabinetowi Owalnemu.

Kucam w pozycji twarzą w twarz z Andreiem.

– Czemu zabili Jonathana Liu?

Andrei wymierza mi żartobliwy policzek.

– Przyjacielu, z pewnością nie potrzebujesz mnie do rozwiązania tej zagadki.

Mój namysł trwa mniej więcej sekundę.

– Chińczycy – mówię. – Chińczycy nie chcą, żeby Rosjanie odbudowali imperium sowieckie. Jeśli Ruscy zagarną dawne państwa satelickie, a zwłaszcza Kazachstan, będą zagrożeniem dla Chin. – Patrzę na Andreia. – Chińczycy zdają sobie sprawę, do czego prą Rosjanie, prawda?

– Podejrzewam, że tak.

– Pewnie, to oczywiste. Oni też chcą zdobyć kopię nagrania. Ale nie chcą szantażować Stanów Zjednoczonych. Chcą je upublicznić. Chcą powstrzymać Ruskich od szantażowania nas, żebyśmy w imieniu NATO sprzeciwili się rosyjskiej agresji.

To wyjaśnia, dlaczego Rosjanie zabili Jonathana Liu. Nie dopuszczają do tego, żeby Chińczycy zdobyli wideo. Szantaż się nie powiedzie, jeśli wideo zostanie rozpowszechnione.

– Ale dlaczego ja? – pytam. – Dlaczego usiłowali mnie zabić od dnia, w którym Diana zniknęła? Czemu sądzą, że ja, właśnie ja, mam kopię tego nagrania?

Andrei odwraca głowę, pogrąża się w myślach. Jest zmartwiony. Chyba nie zna odpowiedzi. Ale rozszyfrować go jest równie trudno jak ułożyć kostkę Rubika.

Wczoraj oznajmiłem Kutuzowowi, że mam kopię nagrania. Ale oni próbowali mnie sprzątnąć od tygodnia. Od samego początku tak myśleli, ja zaś tylko powiedziałem im to, w co już wierzyli.

– Albo Rosjanie myślą, że masz taśmę – odzywa się Andrei – albo że próbujesz ją zdobyć.

To brzmi sensownie. Tak czy owak, stanowią dla nich zagrożenie.

Oznacza to, że mogę zakończyć sprawę tylko w jeden sposób.

– Muszę się dowiedzieć, co jest na tym nagraniu, i je upublicznić. Tylko tak zastopuję Ruskich.

– I uratujesz siebie – kończy Andrei.

Owszem, byłoby miło.

Podnoszę się, a potem siadam na ziemi. Słońce zachodzi, temperatura obniża się wraz z nim. Za parę tygodni zmienią się kolory, powietrze zrobi się rześkie.

– No to co jest gorsze niż sekstaśma prezydenta? – pytam.

## Rozdział 92

Z domu Andreia wychodzę ze splątanymi myślami. Utwierdziłem się w istnieniu nagrania wideo, a ma to kluczowe znaczenie. Ale co równie ważne, udało mi się także potwierdzić, że nie jest to sekstaśma z prezydentem i jego kochanką. Dzisiaj rano dałem ciała, blefując w rozmowie z Craigiem Carneyem. Będzie mnie to kosztowało.

Carney jest cwany i to bardzo. Usłyszawszy, że mam kopię, rzucił mi wyzwanie. Zapytał, co jest na taśmie, a ja podałem błędną odpowiedź. Więc teraz wie, że blefuję.

Teraz widzę, że nagranie od początku było moją kartą przetargową. Carney naciskał mnie w każdy możliwy sposób – za pomocą groźby aresztowania, zamknięcia strony internetowej, zamrożenia moich funduszy, pogróżek pod adresem Anne – ale nie poszedł na całość i jeszcze nie kazał policji mnie zwinąć. Oczywiście, że nie. Bał się, że mam kopię nagrania i je upublicznię. Nie był jednak pewny, czy naprawdę ją posiadam.

Lecz teraz już wie, że nie.

Ja grałem w warcaby, Agencja zaś w szachy, i udało jej się dać mi mata. Craig Carney już się mnie nie obawia.

Dzwonię do mojego adwokata Eddiego Volkera. Przypuszczam, że próbował mnie złapać, ale nie wie, jak to zrobić.

– Ben, próbowałem cię złapać – mówi na początek. – Mam złe wieści.

Biorę głęboki oddech i spoglądam w niebo.

– Policja wydała na mnie nakaz aresztowania.

– Taak, owszem. Skąd wiesz?

– Niech no pomyślę. Wystawiono go mniej więcej o wpół do jedenastej rano.

– Zgadza się. Skąd się o tym dowiedziałeś?

Stąd, że kwadrans po dziesiątej skończyłem rozmawiać z Carneyem. Widzę, że nie marnowałem czasu. Jak tylko się upewniłem, że nie mam nagrania, nacisnąłem cyngiel. Spuściłem ze smyczy detektyw Liz Larkin.

– Musisz się oddać w ręce policji – przekonuje mnie Eddie. – Poluje na ciebie każdy glina w mieście. W ich oczach jesteś zabójcą policjanta. Nie masz żadnych szans.

## Rozdział 93

Nie stawilem się na spotkanie z Seanem Patrickiem Rileyem, więc dzwonię, żeby je przesunąć. Umawiamy się w barze przy Rhode Island Avenue. Oby coś z tego wynikło, bo żyję teraz trochę na kredyt. Ukrywać się przed zgrają Rosjan, którzy rozstawili posterunki w stolicy z nadzieją, że mnie wypatrzą, to jedna rzecz. Być na celowniku każdego policjanta patrolującego miasto pieszo lub samochodem to coś zupełnie innego.

Riley siedzi w lokalu i zajada skrzydełka kurczaka. (Boże, coś pięknego: spożywać posiłek w barze i popijać piwem, jakby się nie miało najmniejszych zmartwień). Lokal, tak jak większość z nich, wypełniają ludzie we względnie radosnym nastroju, choć nieco zmąconym z powodu wydarzeń, do których doszło po południu. Stacje telewizyjne non stop informują o eksplozji na Dwudziestej Drugiej Ulicy, ogół widzów zaś mówi o nieudanym ataku terrorystycznym na Biały Dom.

– Myślisz, że to robota muzułmanów? – pyta Sean, kiedy siadam obok niego w boksie. Oto najważniejsze pytanie, które wszyscy zadają: kim byli goście w SUV-ie? Myśl odruchowo biegnie w stronę islamskich terrorystów z Azji lub Afryki, lecz zdaniem naocznych świadków byli to mężczyźni rasy kaukaskiej, co nie pasuje do koncepcji, która łączy incydent z muzułmańskimi radykałami, choć nie wyklucza takiej ewentualności.

Nikt nigdy nie pozna odpowiedzi na to pytanie, bo ogromna ilość zdetonowanych środków wybuchowych sprawiła, że ciała Rosjan rozpadły się na setki kawałków.

– No dawaj, Sean – mówię.

Riley wymachuje skrawkiem papieru. (Nie jestem w nastroju do sporów lingwistycznych. Moim zdaniem można wymachiwać kartką papieru). Mail, który otrzymała Nina Jacobs. Datowany czwartego sierpnia. Tydzień przed tym, jak kazała zamknąć konto i wstrzymać dostawę gazety.

Patrzę na papier, który podaje mi Riley:

**Od:** „Diana M. Hotchkiss”  
ladydiana@intercast.com

**Do:** „Nina Jacobs” jacobsnina@metoo.com

Tylko się melduję!

Hej, młoda... piszę kontrolnie. Wszystko przygotowane na przyszły tydzień? To naprawdę wielka przysługa i mam u Ciebie dług jak nie wiem co! Częstuj się wszystkim w lodówce, korzystaj z telefonu stacjonarnego, noś moje buty i oczywiście pamiętaj, żeby karmić Cynamonkę!

Xxoo

Di (PS Wiem, że to wszystko dziwne się wydaje, ale później wyjaśnię!)

– Dziwaczne – stwierdza Riley. – Bo Diana Hotchkiss to samobójczyni, ta co z balkonu wyskoczyła. A z tego tutaj wynika, że Nina pilnowała jej domu.

Taak, bez wątpienia. Domyśliłem się, że ktoś w jakiś sposób nakłonił Ninę, żeby ulokowała się w mieszkaniu Diany i przebrała w jej rzeczy. Nie wiedziałem jedynie, kto to zrobił. Kto wystawił Ninę? Kto ją namówił – podejrzewając albo nawet wiedząc – że skończy się to dla niej śmiercią?

Ale już wiem. Zrobiła to Diana. To Diana wystawiła swoją przyjaciółkę Ninę.

Chyba więc w ogóle nie znałem Diany. Spędzałem z nią tyle czasu, a teraz się okazuje, że była kłamczuchą, zagadką, o której nie miałem pojęcia.

– Mam jedną teorię – mówi Riley. – Powiedzieć ci?

## Rozdział 94

Staram się nad sobą panować, trzymać się w ryzach, kiedy sobie uświadamiam, czego właśnie dowiedziałem się o Dianie. To jest prawie nie do pojęcia, żeby w taki sposób wystawiła swoją przyjaciółkę Ninę.

A może jej nie wystawiła. Może to ktoś inny wysłał mail z jej konta, nie wiem. Ale to wykluczone, nie mogłem aż tak bardzo się co do niej pomylić...

– No więc chcesz usłyszeć moją teorię czy nie? – pyta Sean Patrick Riley.

Z mieszkania Diany wyszedłem przed dwudziestą drugą, bo tak sobie zażyczyła, kiedy rozmawialiśmy tego dnia przez telefon. Ale z ledwością zmieściłem się w czasie, bo trochę mnie rozproszył widok jej bielizny i zabawek erotycznych. Nina Jacobs musiała wysiąść z windy i wejść do jej mieszkania minuty, może sekundy po tym, jak przemknąłem wyjściem przeciwpożarowym.

A ktoś – agenci naszych władz państwowych, Rosjanie, Chińczycy, niepotrzebne skreślić – zaledwie parę minut później zepchnął Ninę z balkonu.

– Sean – odzywam się.

– To szalona teoria – mówi Sean. – Może to nie Diana Hotchkiss zleciała z tego balkonu, może to była Nina. Może Diana Hotchkiss wystawiła Ninę, umówiła się z nią w taki sposób...

– Sean, posłuchaj. Słuchaj mnie uważnie. Jedź do domu.

Odsuwa się.

– Że co?

– Wracaj do Chicago, zrobiłeś swoje. To mi bardzo, bardzo pomogło. Od początku tak myślałem i teraz mam dowód.

– Co myślałeś od początku? O co tu, kurwa, chodzi?

Wzdycham.



– Chodzi o ten SUV, który dzisiaj rozwalilo. O spisek i jego tuszowanie, sprawa siega az do Gabinetu Owalnego.

Sean Patrick Riley patrzy na mnie dlugo.

– Takiego wala.

– Nie kituje, Sean. Diana siedziala w samym srodku czego cholernie duzego. Eksplozja SUV-a w stolicy kraju to nie byle co. Biedna Nina zostala pionkiem w grze o wielka stawke. Mysle, ze lezy teraz w kostnicy z kartka na duzym palcu, a na tej kartce jest nazwisko „Diana Hotchkiss”. Bardzo nie chce w to wierzyc, ale dowod, ktory mi przekazales, nie klamie. Miala na sobie ubranie Diany i mieszkal w jej mieszkaniu. Ona udawala Diane, Sean. Zostala wrobiona, a ty pomogles mi tego dowiesc.

Chwile mu to zajmuje, ale nawet sceptycznie nastawiony eksplina nie moze zaprzeczyc tresci maili, ktore sam znalazl. Maili, ktore starannie wykasowano, ktorych nie mozna bylo znalezc nawet w skrzynce ze smieciami. Skasowal je profesjonalista i zdolal je wykryc inny profesjonalista, ktorego Sean zatrudnil do sprawdzenia komputera Niny.

– Wiecej dlatego chciales, zebym zalatwil kontrole zawartosci jej komputera – mowi cicho. – Wykombinowales, ze cos takiego sie kroi.

Owszem, i fanfary dla mnie.

– Mogu ci zabic tylko dlatego, ze o tym wiesz – odpowiadam.

– Wiecej wracaj do Chicago. To sie skonczy w ciagu paru dni, w taki czy inny sposob. Jesli nie przezyje, idz tropem tego, co wiesz. Mozesz tyle poczekac, no nie? Nina nie bedzie juz bardziej martwa.

Ma troche obiekcji, nie wiem, czy go przekonalem. Ale wiem, ze musze sie stamtad ulotnic, odseparowac od niego i biec dalej.

## Rozdział 95

Zostawiam Seana przy stoliku i wychodzę z baru. Przystaję, żeby rzucić okiem na najnowsze informacje telewizyjne dotyczące wybuchu. Stacje nie relacjonują niczego innego.

Z doniesień wynika, że zginęło co najmniej sześć osób, rannych jest kilkadziesiąt. Czterech gliniarzy i dwóch agentów Secret Service, których podobizny przewijają się na ekranie, poniosło śmierć w trakcie pełnienia służby. Ogółem straciło życie siedmiu funkcjonariuszy państwowych, w tym Ellis Burk. Dodajcie Jonathana Liu, brata Diany Randy'ego i Ninę Jacobs, i wychodzi równa dycha.

Kiedy to się skończy?

Wsuwam rękę do torby, żeby wyłowić któryś telefon na kartę. Wyciągam go i zaczynam wybierać numer, gdy mój wzrok wędruje znów ku ekranowi.

Pojawia się napis: Najnowsze informacje, a ja się spinam i przygotowuję na wiadomość, że ofiar wybuchu było jeszcze więcej.

Ale tym razem nie ma mowy o eksplozji samochodu terenowego w stolicy. Przenosimy się na front międzynarodowy.

Zgadnijcie.

Po wykryciu gruzińskiego szpiega na swoim terytorium oraz po próbie dokonania zamachu na premiera Rosji przez gruzińskiego agenta Rosjanie zaczęli gromadzić na granicy z Gruzją tysiące żołnierzy i czołgów.

Organizacja Narodów Zjednoczonych zwołała nadzwyczajną sesję Rady Bezpieczeństwa. Chiński ambasador przy ONZ wzywa do rozmów wielostronnych i zachęca NATO do udziału.

Na ekranie ukazuje się prezydent Blake Francis, stoi obok żony, drewnianej księżniczki Libby Rose; wygląda to jak nagrane we wcześniejszych godzinach wystąpienie w Ogrodzie Różanym. Dźwięk jest wyciszony, ale widać napisy.

Prezydent mówi o tym, że Rosja ma prawo działać w obronie własnej, NATO zaś musi wobec gruzińskiej prowokacji postępować ostrożnie. Rosja, tak jak każdy inny kraj, nie może biernie czekać w obliczu zagrożenia.

– Szlag – szepczę, choć nikt nie słyszy. Zaczęło się, Rosjanie ruszyli, a my siedzimy cicho i na wszystko im pozwalamy. Jeśli pozwolimy im napaść na jeden kraj, postępującą agresję coraz trudniej będzie zatrzymać.

Mój czas się kończy.

Wychodzę i dzwonię z komórki do Anne Brennan. Następna doba będzie miała dla Rosjan kluczowe znaczenie. Kiedy napadną pierwsze państwo, dla Stanów Zjednoczonych może już nie być odwrotu. Rosjanie zdają sobie z tego sprawę. Desperacko będą usiłowali mnie powstrzymać. Po tym, co się wydarzyło dzisiaj, strzelanie z SUV-ów zapewne nie wchodzi w grę. Ale znaleźć kogoś, na kim mi zależy, i go zastraszyć? Jak najbardziej. Nie wydaje mi się, żeby wiedzieli o Anne, ale nie mogę polegać na moich domniemaniach.

Oprócz tego chcę po prostu usłyszeć jej głos, przyznaję. Odrobina pociechy będzie teraz mile widziana. Czuję zapach jej włosów, ilekroć wciągam powietrze. Gdyby okoliczności ułożyły się inaczej, mógłbym nawet spędzić z nią następną noc...

Telefon odzywa się, zanim wybrzmiał dzwonek. Dziwne.

– Halo, tak, halo? – Anne mówi z pośpiechem, jakby była wystraszona.

– Anne, tu Ben.

– Och, Ben, nie ma cię tutaj, prawda?

Włącza się mój szósty zmysł. Coś w jej głosie, w jej reakcji na dźwięk mojego głosu. I że tak szybko odebrała. Spodziewała się kogoś innego. I chyba boi się, że do niej przyjdę.

Postanawiam to rozegrać bezpiecznie.

– Nie, zostanę dziś na noc w Maryland.

– Och, no dobrze. – Anne bierze oddech. Oddech ulgi? Co jest grane? Dlaczego nie chce, żebym ją odwiedził?

– U ciebie wszystko w porządku?

– Och, taak. Świetnie, świetnie... tylko akurat przysypiałam. Zmęczona jestem, muszę odespać.

Zmęczona, a odebrała połączenie, nim skończył się dzwonek? Nie mówi jak osoba zmęczona, wcale. Jest podminowana.

Czyżby ktoś u niej był?

– Hm, nie szkodzi – zapewniam ją. – Prześpij się, jutro do ciebie zadzwonię.

– Dobra. Więc jutro, świetnie. Dzięki.

Wyłączam telefon i przenika mnie lęk. Nie chciała, żebym do niej zajrzał. I nie chciała wyjawić powodu.

Anne jest w niebezpieczeństwie.

Wracam pędem do restauracji. Sean Patrick Riley zamówił przed chwilą następne piwo. Unosi głowę i spogląda na mnie tak, jakbym zamierzał go pocałować.

– Jesteś pewny, że chcesz w to wejść? – pytam.

Ociera chusteczką usta.

– Po dwudziestu latach służby w południowym Chicago przyszło mi na to, że ścigam niewiernych mężusiów. Jakoś wytrzymam dawkę emocji.

– Sean, potrzebuję pomocy. Może być niebezpiecznie, to nie są żarty. Masz broń?

– No jasne.

– A aparaty? Fotoobiektywy i takie tam?

– W samochodzie.

– Gdzie on jest?

Mój partner rzuca chusteczkę.

– Tu zaraz, na ulicy.

– Więc rusz się, kowboju. Jesteś mi potrzebny od dziesięciu minut.

## Rozdział 96

Mieszkanie Anne znajduje się przy Piętnastej Ulicy, prosto jak strzelił, nie dalej niż osiemset metrów stąd. Docieramy do skrzyżowania z T Street w czasie, który zajęłoby mi odpięcie roweru.

Sean zatrzymuje się po zachodniej stronie jezdni. To jest dzielnica mieszkalna, więc mamy szczęście, że udało się zaparkować.

Podaje mi słuchawkę.

– Wciśnij ją sobie w ucho.

Jasne. Przypomina mi się Jennifer Garner w starym serialu *Agentka o stu twarzach*.

– A to załóż sobie na szyję.

– Co to jest?

– Odbiornik bluetooth. Synchronizowałeś kiedyś bluetooth z komórką? Tak samo się robi, tylko odbiornik zakładasz sobie na szyję jak naszyjnik i wsadzasz kabelek pod koszulę.

Wykonuję instrukcje Seana. On przygotowuje się w taki sam sposób. Jest cały podrajcowany, to dla niego frajda. Szkoda, że nie dla mnie.

– A teraz wetknij wtyczkę do komórki. Ja też tak zrobię i będziemy mogli gadać.

Zerkam na niego.

– Przypomnij mi, żebym cię nigdy nie wkurzał.

Sprawdza rewolwer.

– Wybacz, że nie mam zapasowego.

I tak bym nie wiedział, jak zrobić z niego użytek. Pewnie bym sobie fiuta odstrzelił.

– Wejdę pierwszy i zrobię zwiad – mówię.

– To ja mam gnata, cwaniaku. Ja pójdę.

Ale ja mam coś na sumieniu. Wielu ludzi zginęło z powodu moich kłopotów. Jeśli to ode mnie zależy, to pierwszy stanę na linii ognia.

– Idę. – Pcham drzwi i wysiadam z auta. Sean wybiera numer mojej komórki, robimy próbę. Jesteśmy spiknięci.

– Hej – mówi, nim zamknąłem drzwi. – Kiedy byłem gliną, mieliśmy takie powiedzonko. Nie daj się zabić.

Spoglądam na niego i czekam na dalszy ciąg.

– To wszystko? Nie daj się zabić.

– To wszystko.

– Dobra rada, Sean. – Ruszam w stronę domu Anne. Obchodzę skrótem kwartał i idę alejką.

*Agentka o stu twarzach* to moja ulubiona rola Jennifer Garner, choć w *Juno* była znakomita. W *Daredevilu* nic mnie nie zachwyciło oprócz motoru, lecz ona dała czadu jako Elektra.

Jestem w połowie drogi, kiedy w moim uchu odzywa się głos Seana.

– Mówiłeś, że ona bardzo szybko odebrała połączenie, tak? I mówiła, jakby spodziewała się kogoś innego?

– Owszem – odpowiadam, biegnąc w stronę alejki prowadzącej do ogrodzenia i tylnych drzwi mieszkania Anne.

Zbliżam się ostrożnie, a serce podchodzi mi do gardła; skradam się najciszej, jak to możliwe, drobię na palcach i co krok się zatrzymuję, nasłuchując.

Dostrzegam już jej mieszkanie...

Czy ktoś widzi mnie?

Podskakuję na widok ruchu w tylnej części mieszkania Anne, w kuchni. Nie mogę zobaczyć rysów twarzy, tylko cień postaci przesuwający się na tle okna. Czy to była Anne? Lecz jeśli ktoś ją tam przetrzymuje, nie poruszałyby się tak swobodnie.

Zbliżam się o kilka kroków, kryjąc się za czymś garażem. To ostatni obiekt między mną, ogrodzeniem i tylną ścianą apartamentowca, do której mam jeszcze z dziesięć metrów.

Garner nieźle zagrała heterę w remake'u *Arthura*. Uwielbiam, kiedy aktorki decydują się na odstępstwo od emploi i grają hetery. Jennifer Aniston w *Szefowie wrogowie* to jest coś...

Skup się, głąbie. Po wyjściu z za garażu znajdę się na otwartej przestrzeni, będę odsłonięty. Oświetlenie tutaj nie jest dobre, ale wystarczy. Jeżeli ktoś obserwuje, to mnie zobaczy.

A niech tam.

Wychodzę i skradam się ku ogrodzeniu, czując się jak błyszczący neon. Jeśli tamci patrzą, już po mnie, stawiam zatem

na ich nieuwagę. Przecież nie powinni się mnie spodziewać. Przez telefon oznajmiłem Anne, że jestem hen, w Maryland.

Zmierzam wzdłuż ceglanego muru apartamentowca. Sypialnia Anne ma okno. Zasłona jest zaciągnięta, ale światło się nie świeci. W pomieszczeniu jest ciemno.

Idę, jak najciszej się da. Od frontowej elewacji budynku dochodzi blask. Okno nie jest zasłonięte. Jeśli stanę na palcach, może uda mi się zapaść żurawia. Ale czy oni mnie zobaczą?

Przekonam się tylko w jeden sposób. Podnoszę się z kucek i powoli prostuję.

– To by wskazywało, że spodziewała się czyjś telefonu.

Wzdrygam się i podskakuję, słysząc w uchu głos Seana. Nie jestem przyzwyczajony do szpiegowskich klimatów.

– O mało nie dostałem przez ciebie zawału – odpowiadam szeptem.

– Mówię, że ona chyba na kogoś czekała, albo na telefon...

– Albo na czyjąś wizytę. Trafne spostrzeżenie. Uważaj na zbliżające się samochody, dobra? Musiałby jechać Piętnastą w kierunku północnym, obok ciebie. Masz aparat w pogotowiu?

– Taak.

Biorę następny oddech i prostuję się pomалу, staję na palcach...

– Ona jest przy oknie.

Opadam znów do przysiadu.

– Jezu, Sean. Co?

– Ona jest przy oknie od frontu, wygląda na Piętnastą. Wsiadłem z samochodu i widzę ją przez lornetkę. Paniusia wygląda okienkiem. Ben, ona na kogoś czeka, uwierz mi. Patrzy na ulicę. Czeka na samochód.

Więc i ja poczekam. Ale nie tutaj, w alejce za bardzo rzucam się w oczy.

Podpełzam do Piętnastej Ulicy, tak aby móc widzieć plac przed apartamentowcem sąsiadującym z domem Anne, ale żeby ona mnie nie zauważyła. Jeśli dobrze pamiętam, niewielki trawiasty skwerek przed tym budynkiem porastają krzewy. Przed większością domów tutaj są małe trawniki, przeważnie obsadzone krzewami lub inną roślinnością. Tu, w ciągu U Street, nie ma hektarów zieleni, więc hołubi się każdy, najmniejszy nawet splachetek trawnika.

Krzewy nie sięgają wysoko, może na metr, ale to powinno wystarczyć. Jeśli ktoś naprawdę mnie wypatruje, to może mnie zauważyć. Istnieje takie ryzyko. Ale co tam, ryzyko zostawiłem daleko za sobą. Od wielu dni kroczę po cienkiej linii.

– Daj mi sygnał, kiedy nie będzie stała przy frontowym oknie – mówię. – Zajmę stanowisko obserwacyjne, ale nie chcę, żeby zobaczyła mnie ze swojego okna.

Chwila ciszy, lecz niezbyt długa.

– Dawaj. Dawaj teraz. Chodzi, odeszła od okna, ale niedługo wróci.

Rzucam się pędem przed siebie i nurkuję za krzakami przy sąsiednim budynku. Śmiesznie to musiało wyglądać. Teraz zapewne też wyglądam idiotycznie.

– Fajnego dałeś nura, jak łąbadek – kpi Sean.

Ale udało się.

Zobaczmy, któż tam nawiedzi Anne Brennan.



## Rozdział 97

Piętnastą Ulicą przejeżdża kilka samochodów. Sean sygnalizuje mi to za każdym razem. I za każdym razem mój puls skacze.auta jadą dalej, fałszywy alarm.

Nagrodę w kategorii aktorek, które wypadają nadspodziewanie dobrze w roli heter, przyznaję Glenn Close, której nikt by nie umieścił na liście supermodelek, ale jeśli ktoś oglądał *Niebezpieczne związki* i *Fatalne zauroczenie...* Wydaje mi się, że to dzięki jej kościom policzkowym.

– Może ona czeka na jakąś koleżankę, może zaplanowały wypad do klubu – mówi w słuchawce Sean.

– Nie, tu nie chodziło o towarzyski telefon. Za bardzo była zdenerwowana – odpowiadam z ustami w trawie. Wciąż leżę, bojąc się poruszyć, bo ruch może zwrócić uwagę Anne. Jednakże zasłaniają mnie krzaki, a co ważniejsze, znajduję się na północ od jej mieszkania, ona zaś spogląda w kierunku południowym; czeka na kogoś, kto ma nadjechać z tamtej strony jednokierunkową ulicą.

Anne Hathaway powinna zagrać heterę. Miała seksowne role, lecz roli hetery jeszcze nie...

– Zbliża się, zbliża się. Czarna osobówka sedan, jedzie powoli.

Skup się, Ben. Czarna osobówka. To może być samochód rządowy.

Albo wóz miliardera.

– Ona też ją widzi. Bierze torebkę i kieruje się do drzwi.

Unoszę się pomału, siadam na piętach i rękami rozsuwam krzewy.

– Powiedz, czy wystaję nad krawędzią żywopłotu.

– Dobrze jest, wciąż cię nie widać.

– Użyj aparatu, Sean. Pstrykaj wszystko, co się da. Nie mam pewności, czy coś dojrzę.

– Robi się.

Na moją korzyść przemawia to, że skrawek trawnika, na którym się przyczałem, jest nieco wyżej od powierzchni chodnika i dzięki temu mogę widzieć samochody przed apartamentowcem Anne.

Dostrzegam czarnego sedana, który zatrzymuje się przed domem. Wsłuchuję się w szum silnika pracującego na jałowym biegu. Nie ma powodu, dla którego ten, kto siedzi w wozie, miałby spoglądać w moją stronę, a Sean stwierdził, że i tak by mnie nie wypatrzył; wszystko to jednak nie uspokaja mojego serca, które bije z całych sił.

Słyszę skrzypnięcie frontowych drzwi mieszkania Anne, a potem rozlega się szybki stukot jej butów na kilku stopniach.

Tylne drzwi samochodu otwierają się i tak jak na to liczyłem, zapala się światło w kabinie, rozświetlając całe jej wnętrze. Wysiada mężczyzna w czarnym garniturze i oklepuje Anne, zanim ta wsiądzie. Potem ona niemal nurkuje na tylną kanapę i wita siedzącą tam osobę gorącym, namiętym pocałunkiem.

Anne Brennan kogoś całuje i nie jestem to ja.

– Jezu Chryste, czy to jest ten, o kim myślę?! – woła Sean.

Mężczyzna w czarnym garniturze zamyka drzwi i siada z przodu. Po chwili światło w kabinie gaśnie i samochód znów ogarnia ciemność.

– Jechać za nim? – pyta Sean.

Wypuszczam powietrze z płuc, coś ścisną mi klatkę piersiową jak imadłem.

– Nie.

Wóz szybko się oddala, a ja odsuwam ręce od krzewów.

Operacja Delano... coś gorszego niż sekstaśma prezydenta...  
Delano...

Szlag. No pewnie. Ale byłem głupi.

– Ben, widziałeś wnętrze auta? Czy to była ta osoba, o której...

– Tak. To była właśnie ta osoba.

## Rozdział 98

Sean Patrick Riley i ja siedzimy w jego wypożyczonym samochodzie przed moim zapchlonym hotelikiem. Minęły trzy godziny od chwili, gdy odjechaliśmy spod domu Anne Brennan. Trzy godziny dla mnie na przerobienie w myślach tego, co zobaczyłem w tamtym samochodzie.

I trzy godziny na to, by obmyślić, co dalej.

– Pewny jesteś co do tego planu? – pyta Sean.

Wzdycham.

– Nie, ale żaden inny nie przychodzi mi do głowy. Muszę coś przedsięwziąć.

– Wcale nie musisz – orzeka Sean. – Kto cię obarczył obowiązkiem ratowania świata? Na twoim miejscu wydębiłbym, ile wlezie, od tego ruskiego miliardera, skroiłbym jaki taki deal z federalnymi i prysnął na jakąś wyspę. Ale to ja.

Facet gada z sensem.

– A ten twój cały plan zależy od tego wideo.

– No tak. Teraz już wiem, co na nim jest, i plan może wypalić.

Mój partner wzdycha z dezaprobatą.

– Chciałeś powiedzieć: wydaje mi się, że wiem, co jest na tym wideo, i wydaje mi się, że plan może wypalić.

Ta wersja jest ciut bliższa rzeczywistości, owszem.

– Bo według mnie ty tylko zgadujesz na podstawie przyjętych założeń. A jeżeli się pomylisz, w zasadzie masz przesrane.

– Martw się o ten telefon – mówię, zmieniając temat. – Jesteś pewien, że masz numer?

Sean wydaje stęknienie.

– Mam, już ci go recytowałem.

Nie przywykł służyć czyichś poleceń. To pewnie jeden z powodów, dla których odszedł z policji i został swoim własnym szefem jako prywatny detektyw.

– I skorzystasz z aparatu, którego nie da się namierzyć – przypominam.

Macha ręką.

– Tak. Tak, już było. Spokojna głowa, Ben. Dam radę wykonać jedno parszywe połączenie.

Kiwam głową. Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Dobrze chociaż, że Seanowi takie emocje sprawiają radochę. Jeśli o mnie chodzi, to kwas wyżera mi dziurę w żołądku.

– Jeśli twój plan nie wypali, już po tobie – ciągnie Sean. – Aresztują cię i wpakują głęboko. Będziesz mógł miotać najdziksze oskarżenia, ale niczego nie udowodnisz.

Wszystko to prawda, oczywiście.

– I zakładamy, że przeżyjesz, choć szanse są według mnie pół na pół.

Nigdy nie chcę od ciebie słyszeć o szansach, rzekł Han Solo w *Gwiezdnych wojnach*, lawirując statkiem między nadlatującymi asteroidami.

– Oby więc mój plan wypalił – kończę.

## Rozdział 99

Rozciągam ręce, żeby uwolnić się od napięcia nerwowego. Mam na sobie bokserki i patrzę na poplamiony sufit brudnego pokoiku hotelowego; trzymam w ręku aparat, który Sean Patrick Riley dał mi wczoraj wieczorem, i za chwilę wykonam telefon, który może wszystko zmienić.

Spokój przed burzą. Rocky patrzący w lustro przed wyjściem na ring z Apollo Creedem. Tom Cruise tuż przed rozpoczęciem przesłuchania Jacka Nicholsona. Mikey w *Swingers*, zanim zebrał się na odwagę i zadzwonił do Nikki, dziewczyny z baru; później zostawił jej siedem czy osiem wiadomości głosowych po kolei, jedna gorsza od drugiej, aż wreszcie ona odebrała telefon i kazała mu paść trupem.

No dobra, ten ostatni przykład nie jest za bardzo motywujący. Zauważcie jednak, że nie było wzmianki o żadnym prezydencie. Nie padła ani jedna od czasu, gdy detektyw Liz Larkin stwierdziła, że wykułem się tych wszystkich prezydenckich ciekawostek po to, by zadzierzgnąć więź z ojcem. To nieprawda, po prostu uznałem, że są interesujące. Nie dążyłem do więzi z ojcem, pieprzyć go. Nie jest mi potrzebny. Świetnie sobie bez niego poradziłem. Póki żyję, nie przytoczę ani jednej anegdoty dotyczącej prezydentów. Nic o ich ulubionych wierszach, butach, które nosili, i psach, które mieli.

Nigdy więcej. Zapisać to. Jedyne prezydent, który będzie mi zaprzętał myśli, to ten, który aktualnie zajmuje Biały Dom, który złamał przysięgę i rozpieprza w drzazgi mój świat.

Jeśli ktoś nie odnotował, to informuję, że nie spałem. Zaprzeszałem tych usiłowań około czwartej rano, i nie mogąc opuścić hotelu – ściga mnie policja w całej stolicy – chodziłem godzinami po tej maciupkiej zapuszczonej klitce. To może być dobra wprawka przed więzieniem, które jeśli rozmowa nie przebiegnie pomyślnie, będzie najlepszą ewentualnością, jakiej mogę oczekiwać. Najgorszą zaś jest trumna.

Gra jeszcze się nie skończyła, Ben. Nie spieprz tego.

Biorę telefon na kartę, wybieram numer i przykładam aparat do ucha.

Nie schrzań tego, nie bądź jak Mikey...

– Halo. – Słowo zostaje wypowiedziane lodowatym, płaskim głosem i, rzecz jasna, pobrzmiwa twardym obcym akcentem.

Biorę oddech.

– Panie Kutuzow, tu Ben Casper.

– Ach, pan Casper. – Paen Kassper.

– Musimy omówić pewien interes.

– Tak, musimy? Muszę panu powiedzieć, panie Casper, że mam co do pana wątpliwości. Kiedy odezwał się pan do mnie pierwszy raz, przypuszczałem, że jest pan w posiadaniu pewnego ważnego przedmiotu. Teraz nie jestem już tego taki pewny.

– Powinieneś być, Aleks. Mam to wideo. I ustawiłem cyfrowy zrzut nagrania tak, że w razie gdyby coś mi się stało, zostanie wysłany mailem do wszystkich mediów w Ameryce.

– Rozumiem. – W głosie Kutuzowa słychać rozbawienie. Że niby mi nie dowierza.

– Chcę dwadzieścia milionów dolarów, mają być przelane na wskazane konto. A kiedy je otrzymam, masz moje zapewnienie, że wideo pozostanie poufne.

Kutuzow kląska językiem.

– O nie, panie Casper. Raczej nie. Przyjacielu, wiem, że usiłujesz znaleźć to wideo. Ale teraz uważam, że ci się to nie udało. Uważam, że... blefowałeś, tak się u was mówi? Blefowałeś za pierwszym razem.

To prawda, blefowałem. Teraz też blefuję.

– Teraz nie blefuję.

– Więc powiedz mi, co jest na wideo. Udowodnij mi, że masz kopię.

W zasadzie to samo usłyszałem wczoraj od Craiga Carneya i oblałem test. Mam nadzieję, że tym razem zdam. Bo jeżeli nie, to nie będę już miał wyboru.

– To jest nagranie, na którym jest Diana Hotchkiss i pierwsza dama, Libby Rose Francis – oznajmiam.

I wstrzymuję oddech. Oto ta chwila. Prawda czy nieprawda. Życie albo śmierć. Naprawdę fajnie by było, gdybym miał to

cholerne nagranie.

Kutuzow wzdycha.

– Proszę mi podać numer konta – mówi i słyszę, że w jego głosie nie ma już tyle pewności, co do tej pory.

## Rozdział 100

Krążę po pokoju przez następne pół godziny. Nogi mam jak z waty i czuję w kończynach mrowienie strachu.

Proszę mi podać numer konta, odpowiedział Kutuzow.

Więc tym razem nie pomyliłem się co do nagrania. Wskazówki było widać od początku. Operacja Delano. Miałem rację, że pierwotna operacja Delano miała na celu zaszantażowanie prezydenta Franklina Delano Roosevelta. Myliłem się jednak co do przyczyny.

Zapomniałem o jego żonie Eleonorze. Według pogłosek, które po dziś dzień są niepotwierdzone, lecz w wielu kręgach przyjęte jako fakt, Eleonora Roosevelt była lesbijką. Stalin musiał się o tym dowiedzieć i próbował znaleźć dowód, że żona prezydenta jest homoseksualistką, a następnie go wykorzystać w czasie szczytu jałtańskiego, by zaszantażować Roosevelta.

W latach czterdziestych dwudziestego wieku ujawnienie takiej informacji miałyby zapewne szkodliwe skutki.

(Dla porządku, to nie liczy się jako złamanie mojego moratorium na ciekawostki prezydenckie).

Tak czy siak, przewijamy czas o prawie siedemdziesiąt lat do przodu i mamy operację Delano 2.0. Rosjanie zdobywają dowód, że Libby Rose Francis ma dziewczynę, niejaką Dianę Hotchkiss. Czy dziś wybuchłby szkodliwy skandal polityczny, gdyby prezydent przyznał, że jego żona jest lesbijką? Czy jako naród nie poszliśmy w przód?

Prezydent Francis najwyraźniej nie chce się o tym przekonać.

I kto wie, co jest na tym nagraniu? Jeśli jest to wyraziście pokazany seks – przypominam sobie zabawki erotyczne Diany w jej garderobie – to złąkłby się tego każdy polityk. Podejrzewam, że z punktu widzenia prezydenta właśnie to sprawiło, że czara się przelała. Nie przetrwałby, gdyby



w internecie rozpowszechniło się nagranie, na którym widać, jak jego żona fantazyjnie figluje z inną kobietą.

Podskakuję na głośny dźwięk pukania w drzwi pokoju. Mój puls zaczyna dudnić. Kto w ogóle wie, że tutaj jestem? Rozglądam się za drogą ucieczki...

Nie ma tu okna i nie ma gdzie się schować...

– *Jakiś gość* – powiadam sobie – *w mój samotny stuka dom, Nocny gość – i tylko on*<sup>3</sup>.

– Tu Sean! – woła mój partner. – Ben, to ja.

Opieram ręce na kolanach i czekam, aż wróci mi oddech. Oddychaj głęboko, Ben, oddychaj głęboko.

– Hej – wita się, kiedy go wpuszczam, i mi się przygląda. – Coś ty przed chwilą mówił?

– Nic nie mówiłem.

– To brzmiało jak... wiersz Edgara Allana Poe. *Kruk*.

Wzdycham.

– Powiedziałem coś na głos?

– Powiedziałeś. – Sean kładzie mi rękę na ramieniu. – Spałeś ty dzisiaj?

– Nie zmrużyłem oka. – Zamykam drzwi na zamek. – Masz bezpieczny telefon, żebyś mógł zadzwonić?

– Tak. Na litość boską, ile razy będziesz pytał?

– Bardzo mi pomagasz, Sean. Naprawdę.

– Nie myśl o tym. – Rozgląda się po zapchlonym pokoiku i... pewnie o tym nie myśli. – No więc? – pyta. – Trafiłeś z tym wideo?

– Mhm.

– O Jezu. Sekswideo z Dianą Hotchkiss i pierwszą damą?

Kiwam głową.

– I rozgryzłeś to tylko na podstawie tego, co zobaczyłeś wczoraj w tym samochodzie?

– Już dawno powinienem był to rozgryźć – odpowiadam. – Ale owszem, wczoraj mi to zaświtało. A twoje fotki z teleobiektywu są jeszcze lepsze niż to, co dojrzałem z mojego miejsca.

Sean potakuje z dumą.

– Taak, pstryknąłem fajną fotę tego buziaka. Kumpelki tak się nie całują, o nie.

Wyjmuje z torby odbitkę zdjęcia. Pokazał mi ją wczoraj wieczorem w aparacie, ale wydruk widzę dopiero teraz.

Zbliżenie Anne Brennan, która siedzi na tylnej kanapie czarnego samochodu i składa namiętny, spragniony pocałunek na ustach Diany Hotchkiss.

Sean ma rację: koleżanki w ten sposób się nie całują. Tak całują się kobiety, które rozpaczliwie się za sobą stęskniły. To jest pocałunek kochanek.

Och, Diano. Ty chyba nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać.

Zdjęcie jest zbliżeniem i widać na nim niewiele oprócz ich twarzy, ale wczoraj wieczorem, kiedy zerknąłem do kabiny tego auta, zauważyłem mignięcie czegoś pomarańczowego; na fotografii, którą zrobił Sean, widać część ubrania Diany. Obrazu dopełnia błysk stali na jej nadgarstku, gdy Diana czule gładzi twarz Anne podczas pocałunku.

Miała na sobie kajdanki i pomarańczowy kombinezon więzienny.

Nie była szpiegiem działającym na rzecz Stanów Zjednoczonych. Była zdrajczynią. Potajemnie nagrała erotyczne harce z pierwszą damą i chciała sprzedać nagranie temu, kto zaproponuje najwyższą cenę. Domyślałam się, że początkowo współpracowała z Rosjanami, ale później zrobiła się pazerna i doprosiła jeszcze Chińczyków. A może cały czas współdziałała z jednym i drugim, ale ich o tym nie informowała. Kto wie?

Szczegóły nie mają istotnego znaczenia. Ważne jest to, że muszę uporać się ze sprawą, a jeśli nie zrobię tego we właściwy sposób, to albo dostanę dożywocie za kratkami, albo przydzielą trumny.

– Czego teraz ode mnie potrzebujesz?

Słowa Seana wyrywają mnie z majaków.

– Chcę, żebyś zadzwonił.

– I nic więcej?

– Tylko to. Nic więcej – mówię.

Nie wie, czy się śmiać, czy zjeżyć.

– Jesteś pewny, że dajesz radę?

– Nie chcę, żebyś był dzisiaj w okolicy National Mall, Sean. Jeśli to nie wypali, albo jestem trupem, albo mnie zapudłują. A ty dostaniesz zarzut współsprawstwa.

Krzywi się. Kazać mu trzymać się z dala od wiru wydarzeń to tak, jakby powiedzieć Kim Kardashian, żeby nie podchodziła do kamery.

– Do tej pory nic nie zrobiłeś, prowadziłeś tylko śledztwo w sprawie zniknięcia Niny Jacobs – kontynuuję. – Nikt nie może cię za to ścigać. Jeśli teraz zaczniesz mi pomagać, możesz spędzić resztę życia za kratkami. Albo zginąć w krzyżowym ogniu.

Podchodzę do drzwi. Dość już zginęło niewinnych ludzi. Jeżeli ja mam być następny, trudno. Ale nie Sean.

– Idź – mówię.

W końcu ustępuje. Przechodząc, stuka mnie wierzchem dłoni w klatkę piersiową.

– Hej.

– Tak, wiem. Nie daj się zabić.

## Rozdział 101

Czas to skończyć.

Zawsze chciałem wypowiedzieć taką dramatyczną kwestię. Ale wiecie co? Kiedy już ją wypowiadam, wcale mnie nie bawi.

Niebo tego popołudnia ma odcień bladoniebieski, jest jasne i spokojne. Jestem ubrany w luźne spodnie i zapinaną koszulę, którą dzisiaj kupiłem. Mam czoło wilgotne od potu, a koszula przylepiła mi się do piersi.

Na National Mall aż tłoczno od ludzi. Czy to możliwe, że zbliża się koniec lata i biorą urlopy przed początkiem roku szkolnego we wrześniu?

A może turystów jest więcej niż zwykle, bo niektórzy wcale nie są turystami. Nie oszukuję się. Są ich zapewne dziesiątki rozmieszczonych na całej promenadzie, stoją obok rozmaitych pomników, śledzą każdy mój ruch, wymieniają się informacjami, gotowi nacisnąć spust na sygnał ręką bądź rozkaz wydany drogą radiową. Pewnie ze dwudziestu snajperów celuje teraz w moją klatkę piersiową.

Nie utrudniam im zadania. Zatrzymałem się jakieś dwadzieścia metrów od pomnika Lincolna i spoglądam na Mall. To moje ulubione miejsce w stolicy, inspiracja, hołd złożony odwadze, którą tak wielu ludzi wykazało się w obronie kraju i swobód osobistych. Możliwe, że patrzę na nie ostatni raz.

Podchodzę do pomnika, ale nie zobaczę dzisiaj Abe'a Uczciwego. Na posąg naciągnięto granatową plandekę i zawieszono tabliczkę z przeprosinami oraz informacją, że prace renowacyjne były nieodzowne i że pomnik wkrótce będzie gotowy. Zwiedzający będą rozczarowani, lecz w pobliżu jest wiele innych obiektów do oglądania.

Siadam więc sam w połowie wysokości schodów monumentu, patrzę na sadzawkę lustrzaną i pomnik Waszyngtona, a tymczasem rodzice prowadzą swoje dzieci

i robią zdjęcia; turyści przechodzą od jednego obiektu upamiętniającego bohaterów do drugiego.

*Razu pewnego w duchocie dnia, kiedy słaby  
i głupi rozważałem  
Motywy tych dżentelmenów tak sobie  
przeciwnych,  
Siedziałem w ciszy sfrustrowany i nerwowo  
czekałem  
Na przybysza, z którym miałem się spotkać przy  
posągu tym wspaniałym  
Na dociekliwego, który mnie powita przy  
dumnym tym posągu –  
Tylko to i więcej nic.*

No, może trochę więcej. Ten, na którego czekam i o którym dumam, od dawna дума o tym, jak pchnąć mnie na drogę ku śmierci. Zatem po starannych przygotowaniach dokonam oceny sytuacji i będę się modlił, żeby moja prezentacja doprowadziła do rozwiązania pokojowego, nie zaś do wojny.

– Witam, panie Kutuzow – mówię do elegancko ubranego mężczyzny, który wspina się na stopnie.

A jeżeli się mylę, nie będzie ze mnie nic więcej.

## Rozdział 102

– Witam, panie Casper – odpowiada Aleksander Kutuzow z bogatym w brzmienia akcentem. Kiedy patrzy się nań z bliska, nie wygląda tak gładko, jak można by się spodziewać. Jest ubrany w zwykły strój miliardera: żółtą jedwabną koszulę z podwiniętymi rękawami i spodnie, a jego fryzura musiała kosztować tysiąc dolarów. Jednakże ma dziobatą cerę, nos musiał przyjąć niejeden cios, przedramiona znaczą blizny. Zgromadził fortunę o wartości ponad dwudziestu miliardów dolarów, ale po drodze stoczył parę bitew.

– Przybył pan na czas – zauważam. – Solidny z pana gość.

Dwoje ludzi podchodzi do pomnika i patrzy, na ich twarzach zaznacza się rozczarowanie. Na National Mall jest mnóstwo do oglądania, ale pomnik Abe'a Uczciwego, okryty teraz granatową plandeką, z pewnością był na szczycie ich listy.

– Wybrał pan mądre miejsce. Publiczne, więc daje panu poczucie bezpieczeństwa. I zapewnia trochę prywatności: z powodu renowacji pana Lincolna nikogo nie ma w pobliżu i nikt nie może podsłuchać naszej rozmowy.

Właściwie to chodziło mi o to, żeby obok nie było niewinnych przechodniów.

Poza tym blisko stąd do miejsca, w którym umówiłem się na następną randkę. Jeśli wyjdę żywy z pierwszej.

– A może nie – dodaje Kutuzow.

Przenika mnie dreszcz.

– Nie rozumiem, co chce pan przez to powiedzieć.

Odwraca się i spogląda na mnie.

– Nagrywa pan tę rozmowę, panie Casper?

Usiłuję się zaśmiać, pokazać, że mnie rozbawił. Ale brzmi to jak chrząknięcie.

– Czemu miałbym ją nagrywać? Łamię prawo, dobijając targu z panem. Mogę pójść za to do więzienia.

– Prawda – potwierdza Rosjanin. – Mimo to niech mi pan pozwoli sprawdzić, czy ma pan sprzęt nagrywający.

– Znak dobrej woli? Gotowości do współpracy?

– Może pan to tak potraktować.

– A może nie mam ochoty na współpracę.

Kutuzow uśmiecha się lodowato.

– Wiktor.

Nie udaje mi się zapytać go, co to znaczy i kim, u diabła, jest Wiktor. Słyszę wizg w powietrzu i wybucha stopień, na którym siedzę. Podskakuję i przetaczam się na bok, Kutuzow zaś parska śmiechem.

Patrzę na miejsce trafione pociskiem. Parę centymetrów w jedną lub drugą stronę i rozerwałoby mi którąś stopę. Parę centymetrów wyżej i mógłbym się zapisywać do Wiedeńskiego Chóru Chłopięcego.

Rozglądam się po promenadzie. Pojęcia nie mam, skąd padł strzał. Jednak precyzja snajpera nie budzi wątpliwości. Kutuzow coś udowodnił.

Przez cały czas stał nieruchomo jak posąg, a teraz odwraca się do mnie i mruga okiem.

– Może teraz nabrał pan chęci do współpracy?

Kiwam głową i wstaję, dawka adrenaliny w mojej krwi daje znać o sobie. Serce mi wali jak młotem, a ja zastanawiam się, czy nie udławię się kęsem, który ugryzłem. Odpowiedź na to pytanie brzmi: Absolutnie tak.

– Wygrał pan – mówię, unosząc drżące ręce. – Proszę sprawdzić.

Skinieniem głowy daje sygnał w stronę sadzawki lustrzanej i nagle rusza ku nam postawny mężczyzna.

– Mój asystent pana sprawdzi – oznajmia Kutuzow, wstaje i odchodzi.

Wyraźnie czuję w gardle puls krwi.

– Dokąd się pan wybiera?

On nie odpowiada, tylko puszcza do mnie oko i zeskakuje po schodach.

Tymczasem jego „asystent” idzie w moją stronę.

Kocham cię, mamu, szepczę na wypadek, gdyby miały to być moje ostatnie słowa. Ale przecież on nie chce mnie zabić,

prawda? Kutuzow nie stawilby się osobiście, gdyby tylko o to mu chodziło. No nie?

Po prostu zleciłby to swojemu snajperowi, Wiktorowi.

No nie?

Mężczyzna podchodzi i wsuwa rękę do kieszeni. Wstrzymuję oddech i go smakuję. Przyszedłem tu po to, żeby z przyjemnością pooddychać. I chciałbym oddychać dalej.

Tamten wyjmuje z marynarki długą różdżkę.

– Proszę unieść ręce – mówi z twardym akcentem. Kojarzy mi się z Drago z *Rocky IV*, ale nie jest tak przystojny. Choć poczucie humoru ma podobne. Czekam, aż oznajmi: Muszę cię złamać.

Wstaję. Przesuwa po mnie różdżką, nie rozlega się żaden dźwięk. Pudło. Nie emituję sygnałów. On oklepuje mnie, szuka mikrofonu. Czuję się jak w punkcie kontroli bezpieczeństwa w Leningradzie. Nie opuszcza ani jednego zakamarka mojego ciała. Sprawdza nawet telefon na kartę, który wcześniej wyłączyłem. Może sobie szukać i macać do woli. Niczego nie znajdzie.

Bo nie nagrywam tego spotkania.

Mężczyzna obchodzi mnie i wspina się wyżej na schody. Odwracam się i widzę, że unosi plandekę okrywającą pomnik i zagląda pod nią.

Skończywszy, schodzi w dół, mija mnie bez słowa i kiwa głową Kutuzowowi. Ten wchodzi po schodach i zatrzymuje się.

– Dziękuję – mówi. – Ma pan całkowitą rację. Nie ma dobrego powodu, żeby to nagrywać. Ale może pan zrozumieć mój niepokój. Muszę... postępować ostrożnie.

– Oczywiście – przytakuję, udając luz. Ale nie czuję luzu. Nie powinienem był tutaj przychodzić.

– A teraz – podejmuje Kutuzow – porozmawiajmy o interesach.



## Rozdział 103

– Jest pan zdenerwowany – mówi Aleksander Kutuzow. – Trzęsie się pan.

Chciałbym mu odpowiedzieć celną ripostą, Bruce Willis by tak zrobił. Zmrużyłby oczy, uniósł brwi i rzucił coś, co byłoby lodowate i aksamitne zarazem. „Lodowaty aksamit”, dobry slogan reklamowy gumy miętowej. Szkoda, że nie mam w tej chwili gumy, bo ona mnie uspokaja. Człowiek zawsze czuje się bardziej na luzie, kiedy żuje sobie gumę.

– Rozumiem, że tutejsza policja ściga pana bardzo usilnie – stwierdza Kutuzow.

– Taak, w zasadzie zostałem bez przyjaciół.

– No, ma pan teraz jednego. – Kutuzow odwraca się do mnie.

– Panna Diana, ona mnie ostrzegła, że dla bezpieczeństwa ukryła wideo dla znajomego dziennikarza. Szukaliśmy tego nagrania sami i nie mogliśmy znaleźć. Wiedzieliśmy, że pan też go poszukuje. A zatem, Benjaminie, byłeś moim przeciwnikiem. A ja podjąłem kroki, żeby... żebyś nie mógł zdobyć tego wideo.

– Kroki – przedrzeźniam go. – Masz na myśli strzelanie do mnie z pistoletów maszynowych? To miały być te kroki, Aleks? Zabiliście w ten sposób mojego przyjaciela Ellisa Burka i sześciu innych funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości.

Klepie mnie w udo.

– Wstrząśnięty jesteś, rozumiem to. Jeżeli to coś pomoże, to przepraszam. Ale musimy zostawić takie sprawy za sobą. Wygrałeś, Benjaminie. Znalazłeś wideo mimo moich wysiłków. Gratuluję ci tego.

Pochwała z jego ust nie brzmi zbyt przekonująco.

– A więc, Benjaminie, wchodzimy w lepsze czasy. Chcę, żebyś był szczęśliwy, przyjacielu. Szczęśliwy i bogaty. Ufam, że potwierdziłeś przelew na konto, które wskazałeś? Dwadzieścia milionów dolarów?

– Tak. Z pewnością pomoże mi to w poszukiwaniu szczęścia.

– W rzeczy samej. Otrzymałeś sowitą nagrodę za to, że zachowasz wideo w tajemnicy.

Pocieram ręką o rękę, chcę, żeby mój głos zabrzmiał stanowczo. Kiedy się denerwuję, robi się o oktawę wyższy i wcale nie brzmi jak głos wyluzowanego gościa.

– Rozumiesz, co wcześniej powiedziałem, Aleks. Jeśli coś mi się stanie, jeśli pocisk przypadkowo trafi mnie w czaszkę, wideo pójdzie do sieci. Dostaną je wszystkie media w Ameryce Północnej.

– Tak, rozumiem. Kiedy rano rozmawialiśmy przez telefon, wyraziłeś się bardzo jasno. Teraz też jasno się wyrażasz. Jeśli cię zabiją, wideo zostanie upublicznione.

Taak, ale chciałem to powiedzieć jeszcze raz. Właśnie dzięki temu pozostanę przy życiu.

– Ale czy ty rozumiesz – ciągnie – że jeśli nasz układ ci się odwidzi i postanowisz wypuścić to wideo, zginiesz bolesną śmiercią.

Wzruszam ramionami.

– Może tak, może nie. – Gdybym teraz żuł gumę, zrobiłbym balona. Luzacko by to wyglądało.

Odwracam się do Kutuzowa, a on łapie mnie za koszulę i przyciąga do siebie. Trafiłem go w czułe miejsce, to jasne.

– Posłuchaj mnie, mój mały przyjacielu. Nie myl tego, co było, z przyszłością. Ukrywałeś się, a nam zabrakło czasu na przygotowania, lecz i tak ledwo się nam wymknąłeś. Pociski, które zabiły twojego kolegę detektywa, minęły cię o centymetry, tak? Barykada policyjna i agenci Secret Service nigdy więcej cię nie uratują. Gdyby wczoraj nie nadjechali, byłbyś trupem w parę sekund. Nie myl się co do naszych możliwości.

Kutuzow puszcza moją koszulę i mnie odpycha. To właśnie, nic innego, jest powodem, dla którego spotykamy się twarzą w twarz. Mógł przelać mi forszę jednym stuknięciem w klawisz i odlecieć do Rosji. Ale chciał przekazać mi tę wiadomość osobiście. Chce, żebym żył w śmiertelnym strachu przed nim.

– Cholernie fajna gadka jak na przyjaciela – mówię.

Kutuzow taksuje mnie od góry do dołu.

– Wiktor ma ci znowu przypomnieć?

Unoszę ręce z otwartymi dłońmi.

– Nie, nie, udowodniłeś to, co chciałeś.

Po chwili obdarza mnie zimnym uśmiechem.

– I bardzo dobrze, Benjaminie. Jeśli cię zabiję, ujawnisz wideo. Jeśli ujawnisz taśmę, zabiję cię. Pewność wzajemnej zagłady, tak?

Określenie z czasów zimnej wojny. Jakże aktualne.

Kutuzow klaszcze w dłonie.

– Usłyszałeś moje ostrzeżenie i ufam, że rozumiesz, że było szczerze. Więc skończyliśmy, tak?

Wyciąga do mnie rękę. Nie obchodzi mnie, co zrobi Wiktor następnym pociskiem. Nie uścisknę dłoni temu gnojowi.

– Nie.

Mam mu jeszcze tylko jedno do powiedzenia. To samo, co Robert De Niro rzekł do Dennisa Fariny w *Zdążyć przed północą*. Jeśli to są ostatnie słowa, jakie padną z moich ust – co jest możliwe – to niech zginę, cytując jeden z moich ulubionych filmów.

– Jest coś, co zawsze chciałem ci powiedzieć. Jesteś aresztowany.

## Rozdział 104

Uśmiech Aleksa Kutuzowa znika, a Rosjanin zrywa się na równe nogi. Kombinuje usilnie. Nie może pogodzić swojego niedowierzania z moją pewnością siebie.

– Naprawdę – dodaję. – Powinieneś coś powiedzieć.

Kwestia, którą Jay Mohr wygłosił Tomowi Cruise'owi w filmie *Jerry Maguire*, kiedy podczas lunchu informował go, że zwalnia go z pracy. Teraz czuję się lepiej.

– Przed chwilą przyznałeś się, że jesteś odpowiedzialny za śmierć tych gliniarzy. Nie jestem prawnikiem, ale jestem całkowicie pewien, że w Ameryce to zbrodnia.

Kutuzow omiata mnie wzrokiem.

– Nie nagrałeś tej rozmowy – cedzi słowa z wyraźnym strachem. – Sprawdziliśmy. Podjęliśmy wszelkie kroki.

– To prawda – potwierdzam. – Nie nagrałem tego.

– Więc to będzie twoje słowo przeciwko mojemu.

– Właściwie chodzi tylko o twoje słowa, Aleks.

Kutuzow wyjmuje z kieszeni spodni mały pistolet. Nawet nie wiedziałem, że go ma. Mierzy do mnie i z wściekłością zaczyna gadać po rosyjsku.

– Wybacz, ale nie znam rosyjskiego – informuję go, lecz on nie zwraca się do mnie.

– Wy tłumacz to! – krzyczy. – Bo inaczej cię teraz zabiję.

– Jeśli mnie zastrzelisz – mówię – zapewne stracisz wiele nagród za działalność humanitarną. – Chevy Chase oznajmił to Joemu Don Bakerowi we *Fletchu*. To dla mnie uczta.

– *Niet!* – krzyczy, znowu nie do mnie. Ale ja znam parę rosyjskich słów od pewnego drobnego Rosjanina. Nazywa się Andrei Bogomolov.

– Wyjaśnij, coś powiedział – mówi Kutuzow; poci się, podchodząc do mnie, z pistoletem w drżącej ręce, wymierzonym w moją głowę.

– Ja tego nie nagrałem – powtarzam. – Sam to zrobiłeś, Aleks.

Jego oczy się rozszerzają. Wie, że mówię prawdę. Miał przy sobie sprzęt nagrywający, żeby cała jego ekipa, w tym snajper Wiktor, mogła się przysłuchiwać. Dlatego musiał odejść, kiedy jego drab mnie obszukiwał. Detektor by się uruchomił dzięki elektronice, którą Aleks miał na sobie. Prawdopodobnie jest schowana pod koszulą i przyklejona taśmą do jego klatki piersiowej.

– Rozsyłałeś sygnał do wszystkich swoich ludzi na National Mall. Policja go przechwyciła, Aleks, i wszystko, co do mnie mówiłeś, jest teraz na taśmie. Niesamowitą technikę mają do dyspozycji ci kolesie z wymiaru sprawiedliwości.

– Blefujesz – rzuca Kutuzow. Sili się na wzgardę, ale nie potrafi ukryć coraz większego strachu. – To wszystko kłamstwa!

Mówi do mnie, ale naprawdę zwraca się do swojej ekipy, która wciąż słucha. Nie są lojalni wobec niego, lecz wobec rosyjskich władz państwowych. Aleksander Kutuzow zaś musi ich przekonać, że nie stał się wielkim obciążeniem – mężczyzną, którego za chwilę aresztuje policja, desperatem, który ujawni operację Delano, żeby uratować się przed karą śmierci, zagrażającą mu za zabicie funkcjonariuszy.

Wtedy słyszę najśłodszy dźwięk, melodyjną pieśń, na którą czekałem z takim utęsknieniem.

Odgłos policyjnych syren. To radiowozy stołecznej policji mkną po National Mall.

– Zbliżają się – mówię. – Nagrali wszystko i jadą, żeby cię zgarnąć. Lepiej zacznij myśleć, jaki układ z nimi zawrzesz. – Podnoszę głos, wypowiadając ostatnie zdanie, żeby jego ludzie na pewno je usłyszeli.

– To kłamstwa! – krzyczy Kutuzow. – Policja ściga ciebie, nie mnie.

– No dobra, Aleks. Poczekajmy i zobaczymy, którego z nas aresztują.

Gapi się na mnie, a ja na niego. Na jedną cudowną chwilę czas jakby stanął w miejscu.

Ale nie stanął i z każdą sekundą syreny wyją głośniej.

– Wpadłeś w niezłe gówno – zauważam. – Myślisz, że gliny wycofają się z kary śmierci, jeśli powiesz im o operacji Delano?

I wtedy Kutuzow dotyka słuchawki w lewym uchu i krzyczy:

– *Niet!*

Drab obok sadzawki lustrzanej zrywa się i pędzi na południe. Szereg innych ludzi – reszta rosyjskiej ekipy – rozbiega się w różne strony. Ktoś wydał im rozkaz, żeby się rozproszyli.

Kutuzow, do cna już spanikowany, macha pistoletem i coś klaruje po rosyjsku. Pewnie mówi swoim, że łąę, że blefuję. I miałby rację. Policjanci nie pracowali na moją korzyść, niczego nie nagrywali. Pędzą w naszą stronę wyłącznie dlatego, że detektyw Liz Larkin przed chwilą odebrała anonimowe połączenie z zabezpieczonego przed namierzeniem telefonu, którym posłużył się czerstwy Irlandczyk, były gliniarz z Chicago. Zawiadomił ją, że Benjamin Casper przebywa obok pomnika Lincolna. Jadą tutaj, żeby mnie aresztować.

Jednak Kutuzow o tym nie wie, podobnie jak jego ekipa. Muszą coś postanowić, i to prędko, bo syreny wyją głośniej i głośniej.

– Zabiję go! – wrzeszczy Kutuzow w stronę promenady i sądzę, że to mnie ma na myśli. Ale nim zdążył się do mnie odwrócić, powietrze przecina świst. Tył głowy Kutuzowa pęka i jego oko bluzga krwią. Kolana załamują się pod nim, ciało kołysze się w tył i w przód, po czym Rosjanin upada na twarz, stacza się po schodach pomnika Lincolna po dwa lub trzy stopnie naraz i nieruchomieje.

Syreny są już bardzo blisko, opony radiowozów szurają po trawie. Przykucam obok martwego ciała Aleksa Kutuzowa.

– To za Ellisa Burka – mówię, a następnie odwracam się i uciekam.

## Rozdział 105

Całą resztkę energii, która mi pozostała, wkładam w bieg i pędzę na południe, do Independence Avenue, gdzie stoi zaparkowany mój triumph. Słyszę za plecami policyjne syreny, ale nie wiem, co robią funkcjonariusze. Na schodach pomnika Lincolna znaleźli zakrwawionego mężczyznę i myślą, że to ten, którego przyjechali aresztować, czyli ja. Mam nadzieję, że zatrzyma ich to na co najmniej minutę lub dwie.

Przyda mi się każda chwila zwłoki. Wskakuję na motor, spoglądam w lewo i widzę funkcjonariuszy w mundurach, którzy wskazują mnie i krzyczą. Radiowozy nie są daleko. Zapalam kopnięciem maszynę i wyrywam na Independence, kierując się na wschód; lawiruję między samochodami ustawionymi pod baldachimem z koron drzew, biegaczami i spacerowiczami, którzy poruszają się w obie strony w to piękne letnie popołudnie i prawie w ogóle nie zwracają na mnie uwagi. Bardzo chcę spojrzeć na zegarek, jednak teraz i tak na niewiele by się to zdało. Chciałem jak najlepiej wszystko skorelować, ale jeśli mi się nie udało, to jest za późno, by naprawić błąd.

Wciąż słyszę syreny, mknąc po moście Kutz, który prowadzi mnie do Tidal Basin. Oni pewnie się głowią, dokąd zmierzam, chcą ustawić przede mną blokadę drogową. (Czy istnieje czasownik oznaczający blokadę drogi? Przydałby się). Mam wiele możliwości, ale przy skrzyżowaniu z Maine Avenue wybieram lewy pas i pozostaję na Independence.

Są już niedaleko za mną, ale na następnym skrzyżowaniu biorę nagły ostry wiraż i skręcam w lewo w Piętnastą Ulicę – nagły dla nich, bo ja od początku go planowałem. Ten i ów na mnie trąbi, mimo to doprowadzam manewr do końca i mam nadzieję, że zostawiłem zamęt daleko w tyle.

Żadne opóźnienie nie trwa długo. Samochody na przeciwnym pasie Piętnastej, zmierzające na południe,

zjeżdżają na bok, radiowóz dogania mnie i jedzie obok; tak jak we *Fletchu*, kiedy policja ścigała Chevy'ego Chase'a, a on powiedział: „Hej, Fred, jak tam twoje hemoroidy?”. Ale wątpię, czy gliny wykazałyby się poczuciem humoru, a ja nie palę się do rozmowy, więc...

Przeskakuję krawężnik i niziutki łańcuch zawieszony w bramie, po czym wjeżdżam na deptak, który jest na szczęście pusty; następnie wpadam na trawnik, żeby ściąć zakręt w prawo do Madison Drive. (Wyrażenie „ściąć zakręt” też powinno być jednym słowem). Gliny nie mogą pojechać tą samą trasą samochodami, a Madison to ulica jednokierunkowa z ruchem biegnącym na zachód, będą więc musieli zasuwać pod prąd, żeby mnie gonić; tak samo jak wtedy, gdy jechałem rowerem, ale tym razem mam trochę więcej mocy napędowej.

Na Madison nie zabawiam długo, uskakuję przed jadącymi z naprzeciwka samochodami, których kierowcy patrzą na mnie z dezaprobatą. Potem dopadam do Czternastej Ulicy, ale nie będę skręcał na zatłoczonej krzyżówce. Zawczasu odbijam ostro w lewo, znowu przeskakując krawężnik i chodnikiem kierując się na północ; naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, wznosi się gmach Smithsonian Institution. Mają tam nową ekspozycję, którą chciałem obejrzeć – ze zdjęciami generałów Unii z okresu wojny secesyjnej. Może nie w tej chwili.

Słyszę za sobą syreny i pisk opon; oglądam się i widzę, że radiowóz wali za mną po chodniku. Mam nad nim wystarczającą przewagę, żeby dojechać wcześniej do następnego skrzyżowania, a tylko to jest mi potrzebne.

Dostrzegam korek na jezdni i zeskakuję przez krawężnik, przecinam ulicę i wskakuję na chodnik naprzeciwko. Zatrzymuję się z poślizgiem na krzyżówce, zsiadam z motoru i pędzę przed siebie na łeb na szyję.

Obawiam się, że ten bieg prowadzi mnie na mój własny pogrzeb. Ale skończyły mi się opcje wyboru. A jeśli to ma być koniec, chcę odejść na moich warunkach.



## Rozdział 106

Audytorium Mellon, stanowiące część Trójkąta Federalnego przy Constitution Avenue, to imponujący gmach wzniesiony w latach trzydziestych ubiegłego wieku; Franklin Delano Roosevelt ogłaszał w nim przywrócenie poboru do wojska, w latach czterdziestych podpisano tu traktat o utworzeniu NATO, a w latach dziewięćdziesiątych traktat ustanawiający porozumienie NAFTA. Dzisiaj po południu ma się w nim odbyć ceremonia wręczenia nagród, której gospodarzem będzie organizacja Skautowie Ameryki.

Przecinam Constitution pieszo i wbiegam po schodach, wymachując – właśnie tak, wymachując – kartą akredytacyjną mężczyźnie w ciemnym garniturze, który stoi przy bramce. On macha mi ręką i przechodzę bezpiecznie przez wykrywacz metalu. Biegiem pokonuję hol i kieruję się do audytorium, kiedy na zewnątrz dają się słyszeć jakieś krzyki i zamieszanie. Domyślam się, że gliniarze zauważyli mnie, gdy wchodziłem do budynku. Agent Secret Service, który mnie przed chwilą wpuścił, chyba właśnie zdał sobie sprawę, że gliny być może mówią o mnie.

Zwalniam i podchodzę do dwóch agentów Secret Service pilnujących drzwi; akredytację trzymam tak, żeby ją widzieli.

– Cześć, jestem Ben Casper z „Capital Beat”. Spóźniłem się.

Agent przegląda listę, szuka mojego nazwiska. Nie znajdzie go.

Odwracam się i widzę jakieś poruszenie; gliniarze dotarli do wejścia.

– Boże drogi, czy ten facet ma pistolet? – mówię do agentów, wskazując ręką w kierunku głównych drzwi.

Stojący tam agent sięga do kieszeni i robi krok do przodu. Odpycham go szybko na bok i wparowuję do ogromnego audytorium pełnego złotych ornamentów.

– Alabama! Alabama! – krzyczy agent, to musi być umówione hasło alarmowe.

W środku panują kolory niebieski i czerwony: flaga amerykańska, godło Skautów Ameryki, szeregi stołów przygotowanych dla tysięcy osób; na samym końcu sceny stoi prezydent oraz inni dostojnicy państwowi. Pomieszczenie rozbrzmiewa stanowczym głosem prezydenta.

Jestem przygotowany do sprintu. Ze wszystkich zakątków sali rzucają się w moją stronę agenci Secret Service. Prezydent przerywa wystąpienie, agenci chwytają go z obu stron i ściągają w dół. Pędzę głównym przejściem najdalej, jak się da, i zaczynam krzyczyć:

– Panie prezydencie! Władze rosyjskie szantażują pana, żeby pozwolił im pan napaść na Gruzję! Rosjanie pana szantażują i naród amerykański ma prawo się o tym dowiedzieć!

Dopada mnie pierwszy agent i usiłuje mnie staranować i powalić, ale robię unik i nie trafia mnie całym ciałem. Upadam, ale unoszę głowę i wołam:

– Jestem Ben Casper z „Capital Beat”! Mam dowód, że Rosjanie szantażują prezydenta! Mam dowód, że rząd o tym wie!

I wtedy mnie opadają, jeden fantom w czarnym garniturze po drugim rzuca się na mnie z góry i jestem na samym dnie młyna rugby. Salę opanowuje totalny chaos, goście zrywają się z krzeseł, jakiś dygnitarz państwowy bierze mikrofon i apeluje o zachowanie spokoju. Nawet nie widzę sceny, ale przypuszczam, że prezydenta już na niej nie ma. Pewnie w ogóle nie ma go już w audytorium.

– Mam dowód! – krzyczę. – Mam dowód i prezydent o tym wie!

Nagle, szybciej, niż zdołałbym powiedzieć: „Nazywam się Ben Casper i moje życie dobiegło końca”, agenci dźwigają mnie z ziemi i wynoszą poziomo z pomieszczenia. Wykrzykuję raz po raz te same zdania: „Jestem Ben Casper” i „Mam dowód”, nie kierując ich do skautów, lecz do dziennikarzy; większość z nich mnie zna i zapewne w jakimś stopniu szanuje, przynajmniej na tyle, by umieścić moje nazwisko w czołówce relacji o incydencie. Przynajmniej na tyle, żeby podjąć śledztwo. Żeby utrudnić władzom kraju zamiecenie sprawy pod dywan.

Koniec końców to jest wszystko, co mogę zrobić. Nie mam nagrania wideo, ale mogę publicznie oskarżyć administrację i liczyć, że to wystarczy do powstrzymania lawiny wydarzeń. Za późno, by przeciwstawić się temu, co mnie czeka.

Nazywam się Ben Casper i moje życie dobiegło końca.

## Rozdział 107

*Raz późnym wieczorem, podpisawszy na siebie  
wyrok,  
Niechętnie oczekuję na bezwzględną karę.  
Boleśnie nadwerżyłem cierpliwość rządowych  
agentów;  
Przeciąłem więzy z tymi, którzy trzymali  
w rękach nici  
Mojego życia, bo uzależniony jestem od dwóch  
warunków, prawdy i honoru –  
Tego tylko i więcej niczego.*

Tylko szare ściany, stół i dwa krzesła. Umieścili mnie tutaj dwaj członkowie Secret Service, którzy nie odezwali się do mnie ani słowem, wepchnęli mnie do środka i zamknęli.

Jest tu zimno, ale poza tym wygodnie; panuje spokój, który kojarzy mi się z tym, co czułem pod koniec egzaminów (jakkolwiek nie przypominam sobie, by w trakcie jakichś egzaminów ktoś do mnie strzelał). Nie mogę teraz nic zmienić. Bieganina, ukrywanie się, poszukiwania i planowanie strategiczne – wszystko się skończyło. Zrobiłem to i nie da się cofnąć wypowiedzianych słów. Pozbyłem się wszelkich atutów, którymi mogłem szachować Craiga Carneya. Może teraz rzucić przeciwko mnie całą potęgę rządu federalnego.

Ale dostałem to i owo w zamian. Odegrałem się na rosyjskim miliarderze i uzyskałem sprawiedliwość dla Ellisa Burka. Zdobyłem dwadzieścia milionów dolarów, które, o czym rzeczony miliarder nie wiedział, przelane zostały na konto rodzin funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości poległych na służbie. Oraz doprowadziłem do tego, że Rosjanie przestali manipulować naszą polityką zagraniczną.

Siedzę tutaj od trzech godzin i w tym czasie podjąłem kilka trudnych decyzji. Po pierwsze, Ben Affleck odkupił się w pełni

za katastrofę, jaką był udział razem z J. Lo w filmie *Gigli*; szczególnie przyczyniło się do tego *Miasto złodziei*, jeden z moich ulubionych filmów. Po drugie, Andrew Dice Clay, który choć może się wydawać prosiaczkowaty, naprawdę nie jest złym aktorem.

Po trzecie, naprawdę wolałbym nie iść do więzienia, ale niewiele mogę teraz zrobić, by temu zapobiec.

Do pomieszczenia wchodzi rosły Afroamerykanin i zamyka za sobą drzwi. Jest to główny ochroniarz prezydenta, agent Secret Service Ronald Hamilton.

Przechyla głowę i gromi mnie wzrokiem.

– Naprawdę panu odbiło?

– Cześć, Ham. Przepraszam za tamto. Jeśli to jest jakieś pocieszenie, twoi agenci wykazali się profesjonalizmem i zdecydowaniem.

– To żadne pocieszenie. Masz poważne kłopoty, synku.

– Nie wiesz nawet połowy, Ham.

Chciałbym mieć taką fajną ksywkę jak Ham. Od imienia Ben można utworzyć tylko Benji, tak wabiło się jedno denerwujące psisko. T-Bone jeszcze by uszło, takiego pragnął George Costanza. Ale Koko już nie, a właśnie takie dostał.

– Może zechcesz mi powiedzieć, coś ty, u diabła, tam wykrzykiwał?

Otóż właśnie nie zechcę. Ham to równy pan – zakonotować na przyszłość, dobry kalambur – i nie ma co wciągać go w ten bajzel.

– Ham, jak długo się znamy?

Przechyla znów głowę.

– Może ze cztery lata.

– Pamiętasz, żeby mi kiedyś odbiło? Ześwirowałem kiedyś?

Mm, przemyślałem to i wolałbym jednak nie usłyszeć jego odpowiedzi.

– Do czego zmierzasz?

– Ano do tego, że miałem powód, żeby zrobić to, co zrobiłem. Chcę rozmawiać z prezydentem.

– Nie – ucina agent. – To nie działa w ten sposób.

– Więc tym razem zadziała. Przekażesz prezydentowi wiadomość ode mnie. Tam, w audytorium, wypowiedziałem tylko słowo „szantaż”. Nie powiedziałem, na czym on polegał.

Mogłem, ale tego nie zrobiłem. Powiedz mu zatem, że jeśli nie chce, żebym przy pierwszej okazji ujawnił dziennikarzom, na czym polegał ten szantaż, on i ja będziemy musieli pogadać.

Hamilton kręci głową.

– Ben...

– To tyle, Ham. Przekaż mu wiadomość. Rozmowa będzie nieoficjalna, jeśli to ma znaczenie. Ale rozmawiał będę wyłącznie z prezydentem albo z dziennikarzami, jak tylko nadarzy się okazja.

Wstaję, idę w kąt pokoju i odwracam się do niego plecami. Po chwili Ham także wstaje i wychodzi.

Mija następna godzina. Pod pewnymi względami powolny upływ czasu w tej pustej klitce jest udręką, ale w porównaniu z tym, co przechodziłem w ciągu ostatnich dziesięciu dni, to spacer po plaży. Nie muszę już podejmować żadnych decyzji.

Drzwi się otwierają. Wstaję.

Wicedyrektor CIA Craig Carney nie wygląda na zadowolonego. Ale gniewu też po nim nie widać.

Na miejscu byłoby słowo „strach”.

Podchodzi do mnie tak blisko, że mógłby mnie cmoknąć w usta. Tak jak Reinhold, postać w jednym z odcinków *Kronik Seinfelda*, sędzia lubiący rozmawiać z bliska.

– Wciąż jest szansa, żeby uratować sytuację – zaczyna. – Dam panu tę szansę. Żył pan w wielkim napięciu, ścigano pana za morderstwo. Zginęli ludzie, którzy byli panu bliscy. Jest pan bardzo zestresowany, każdy to zrozumie. Przeprasza pan za swoje nieodpowiedzialne enuncjacje, musi pan się zapisać do jakiegoś specjalistycznego ośrodka, potrzeba panu wypoczynku i psychoterapii. Wycofa pan to, co pan powiedział.

– Nie.

– Jeśli nie, zniszczę pana. Zwałę wszystko na pana, Casper. Oskarżymy pana o zdradę i wyślemy do Guantanamo. Wsadzą pana do celi z jakimś przygłupem, który weźmie sobie na ambit, żeby pana wykastrować. Nie wspominam o zarzutach policji dotyczących morderstwa. Czekają pana dziesiątki lat cierpienia. Będzie pan błagał o dzień, w którym przypaszemy pana do wózka i wbijemy panu igłę w rękę.

Odwracam głowę i usiłuję nie słyszeć tego, co mówi, ale nawet mój mózg, obdarzony niebagatelną zdolnością błędzenia

w najosobliwsze miejsca, ma z tym kłopot. Facet groził mi w ten sposób przez cały czas.

– A to dopiero początek – podejmuje Carney niemal szeptem.

– Zrujnuję wszystko i wszystkich, na których panu zależy. Ashley Brook Clark? Trup. Przyjaciółka Diany Anne Brennan? Trup. Spełnię to. Mam środki, o których ci się nie śniło. Wybieraj. Wrzuć wsteczny i zawróć. Teraz, natychmiast.

Przewierca mnie wzrokiem. Jego policzki czerwienieją.

Odchrząkuję.

– Skoro tak stawia pan sprawę.

– Więc zgoda?

Jakiś odgłos za drzwiami. Klamka obraca się. Craig Carney szuka spojrzeniem moich oczu.

A za jego plecami pojawia się prezydent Stanów Zjednoczonych.

## Rozdział 108

– Panie prezydencie – odzywa się Craig Carney. – Myślę, że wszystko już wyjaśniliśmy.

Prezydent ubrany jest w garnitur i krawat; mruży oczy i kieruje wzrok na mnie.

– Witaj, Ben.

– Witam, panie prezydencie.

Prezydent rozgląda się bez zachwyty po sali.

– Podobno chciał pan zwrócić na coś moją uwagę. Ma pan teraz okazję.

– Panie prezydencie – mówi Carney. – Wydaje mi się, że Ben powie panu, że przeżywał ostatnio bardzo duży stres i wygłosił szereg tez, których żałuje. Jest gotów publicznie je odwołać.

Prezydent Francis patrzy na mnie i czeka na potwierdzenie.

– To zależy – mówię.

– Panie prezydencie, opanowałem sytuację – oznajmia Carney. – Nie musi pan tego wysłuchiwać, ja się wszystkim zajmę.

I wtedy to na mnie spływa, morze się rozstąpiło – zaraz, chwileczkę, Mojżesz nie doznał objawienia, to był cud zesłany przez Boga: zacznijmy od nowa.

I wtedy to na mnie spływa niczym promień słońca przebijający się przez ciemną chmurę – błysk nadziei, prawdziwy. Szczerze, to nie brałem tego serio pod uwagę. Może bujała ta myśl na obrzeżach mojej świadomości, ale nie poświęciłem jej pełnej uwagi. Ale ze mnie ciołek. Jaki byłem naiwny przez cały ten czas.

– Pana żona – mówię.

– Dosyć tego! – wrzeszczy Carney. – Panie prezydencie, naprawdę...

– Co z moją żoną? – pyta prezydent, zbliżając się do mnie z ogniem w oczach.



Carney unosi ręce niczym sędzia ringowy rozdzielający pięściarzy.

– Ten człowiek jest zdrajcą i mordercą, panie prezydencie. Daję słowo, że panuję...

– Co z moją żoną? – powtarza prezydent.

– Panie prezydencie...

– Psiakrew, Craig, dosyć tego. Chcę usłyszeć, co ten człowiek ma do powiedzenia.

Carney milknie i odwraca się w moją stronę. Jego twarz świeci się purpurą, próbuje mi coś powiedzieć oczami. Mówi, żebym trzymał gębę na kłódkę.

– Pana żona miała romans z Dianą Hotchkiss – wyrzucam z siebie. – Diana nagrała na wideo randkę erotyczną z pierwszą damą i nagranie sprzedała Rosjanom. Oni trzymają je nad pana głową, żeby biernie przyglądał się pan, jak dokonują inwazji na Gruzję, a później na wszystkie inne dawne państwa satelickie, jedno po drugim, dopóki nie odbudują imperium sowieckiego.

Prezydent otwiera usta i robi krok w tył. Poblądł i patrzy nieobecny wzrokiem.

To był mój promyk nadziei. Nie mogę uwierzyć, że dopiero teraz na to wpadłem.

Prezydent o niczym nie wiedział. Nie miał pojęcia o tym, że istnieje jakieś nagranie wideo. Nie wiedział, że Rosjanie szantażują rząd Stanów Zjednoczonych.

– Craig, o czym on plecie?

– Nieważne – odpowiada Carney. – Jakież androny.

– Jeśli to są androny – wtrącam się – to dlaczego Carney nałgał panu, że Diana Hotchkiss nie żyje? Ona żyje, panie prezydencie. Wygłosił pan mowę pochwalną na jej cześć podczas konferencji prasowej, byłem przy tym. Ale ona nie zginęła.

– Diana? – Prezydent spogląda na mnie, a potem na zastępcę dyrektora CIA, swojego starego wiernego druha. – Diana... żyje?

– To idiotyczne, panie prezydencie – odzywa się Carney.

– Idę o zakład, że to Carney poinformował pana o jej śmierci – mówię do prezydenta. – Założę się, że poprosił pana, żeby wspomniał pan ją w czasie konferencji. Chciał, żeby Rosjanie uwierzyli, że udało im się ją zlikwidować.

Oczy prezydenta zachodzą mgłą. Wraca myślą do tamtego dnia. I pamięta go dokładnie tak, jak go przedstawiłem. Czuję to.

– Panie prezydencie, mogę tego dowieść. Mam datowane zdjęcia Diany z wczorajszego wieczoru, siedziała skuta kajdankami w rządowym samochodzie. Może pan zlecić badanie DNA zwłok, które spoczywają w kostnicy. Ta kobieta nie jest Dianą Hotchkiss. To Nina Jacobs z Downers Grove w Illinois. Badanie DNA tego dowiedzie. A ja mam maile potwierdzające, że Diana wystawiła tę biedną kobietę, umówiła się z nią tak, że ta była w jej domu właśnie wtedy, kiedy wypchnięto ją z balkonu.

– Ten człowiek to zabójca i zdrajca, panie prezydencie – przerywa mi Carney. – Nie powinien pan go słuchać. On usiłował nas szantażować, teraz próbuje odwrócić kota ogonem...

– Czy to prawda, Craig? – pyta prezydent. – Czy Diana żyje?

– Panie prezydencie...

– Czy-ona-żyje? – Twarz prezydenta zmienia kolor.

Carney usilnie szuka słów. Ale nie ma odpowiedzi. W milczeniu schyla głowę.

– To jest... skomplikowana sytuacja – duka wreszcie.

– Chryste wszechmogący – szepcze prezydent i przeciąga dłonią po twarzy. – Chryste wszechmogący. Coś ty narobił, Craig?

– Założę się, że to Craig Carney namawiał pana, żeby zachować bierną postawę wobec zatargów rosyjsko-gruzińskich – wtrącam szybko, żeby nie wytracić impetu. – Za pana plecami ubił interes z Rosjanami, panie prezydencie. Oni myślą, że pana szantażują, a pan nawet o tym nie wie.

– Panie prezydencie... – odzywa się błagalnym tonem Carney.

– Panie Carney – cedzi prezydent przez zaciśnięte zęby. – Ma pan wyjść w tej chwili z tego pomieszczenia, stanąć w korytarzu i z nikim nie rozmawiać, dopóki nie przyjdę. Czy to jasne?

Taki bystrzak z zastępcy dyrektora, a ma problem ze zrozumieniem bardzo jasnego, moim zdaniem, rozkazu.

– Proszę nas zostawić – powtarza prezydent. – Chcę usłyszeć, co Ben ma mi do powiedzenia.

## Rozdział 109

– Rosjanie skontaktowali się z Carneyem, bo stanowił idealny obiekt – podejmuję. – Był w CIA i był jednym z pańskich najlepszych przyjaciół. Doskonały emisariusz, który miał potajemnie przekazać panu wiadomość. Jednak Carney jej nie przekazał. Zachował ją dla siebie i nielicznego kręgu łotrów w CIA, którzy zapewne nie znali nawet szczegółów. Nie powiedział panu, panie prezydencie, bo był świadom, że bez względu na to, jak kłopotliwe będzie to nagranie i jak szkodliwe w sensie politycznym, nigdy nie sprzeda pan ojczyzny.

Prezydent, który w każdym pomieszczeniu roztacza władczą aurę, jest typem myśliwego, teraz przypomina zwiędłą roślinę. Jego twarz zszarzała, rękę oparł o ścianę. To dla niego ciężkie przeżycie. Zastanawia się nad uszczerbkiem, który poniosła jego administracja, i nad swoją kampanią reelekcyjną. Myśli o żonie. Oraz o tym, że zdradził go jeden z najbliższych i najbardziej zaufanych przyjaciół. Nie wiem tylko, jaka jest kolejność jego priorytetów.

– Carney zdawał sobie sprawę, że to wideo, jeśli wyjdzie na jaw, zrujnuje pana politycznie. To zaś pogrążyłoby jego. Chce stanąć na czele CIA. Podjął więc decyzję na własną rękę.

Prezydent szczyplie grzbietem nosa, jak gdyby chciał sobie ulżyć w dotkliwej migrenie.

– Wybuch w pobliżu Białego Domu przedwczoraj?

– To byli Rosjanie, ścigali mnie – wyjaśniam. – Usiłowali mnie zabić, zanim zdobędę kopię nagrania. – Obserwuję go przez chwilę. – Niech zgadnę. To Carney objął pieczę nad śledztwem, prawda? Pewnie panu oznajmił, że to Al-Kaida lub coś w tym rodzaju.

Prezydent milczy. Nie musi nic mówić.

– A pan... ma to wideo? – pyta, wypowiadając ostatnie słowo tak, jakby właśnie przełknął gorzką pigułkę.

– Nie mam.

Możliwe, że to nie jest sprytnie posunięcie z mojej strony. Jedyna przewaga, jaką utrzymywałem w ciągu tej krwawej rozgrywki, związana była z tym nagraniem. A teraz dobrowolnie wyzbywam się karty atutowej. Ale nie będę okłamywał przywódcy wolnego świata. Skończyłem z blefowaniem. Przez jakiś czas będę się trzymał prawdy i zobaczymy, dokąd mnie to zaprowadzi.

– Panie prezydencie, nie obchodzi mnie pańskie życie osobiste. Ani pierwszej damy. Gdybym chciał je wywlec na widok publiczny, mogłem to zrobić dzisiaj w obecności dziennikarzy z całego kraju. Wymieniłem tylko słowo „szantaż”. Nie powiedziałem, czego on dotyczył.

Francis odwraca się i patrzy na mnie.

– Mógł pan się zwrócić bezpośrednio do mnie. Nie musiał pan rzucać mi tego w twarz na forum publicznym.

– Owszem, musiałem. Aż do tej pory nie byłem świadom, że Carney kieruje tą akcją solo. Myślałem, że bierze pan w tym udział. I musiałem położyć temu kres.

Prezydent prostuje się i wygładza marynarkę. Nie zaliczy tego dnia do swoich najlepszych.

– Jest pan dziennikarzem i mówi mi pan, że nie piśnie słowa o mojej żonie?

– To właśnie mówię. Opinia publiczna nie musi wiedzieć o jej życiu osobistym. Chyba że oddziałuje ono na politykę zagraniczną, którą pan prowadzi.

Prezydent spogląda w bok i kiwa głową.

– A jeżeli ta polityka się zmieni i przeciwstawimy się rosyjskiej inwazji?

– Ależ nie, panie prezydencie, ja się z panem nie targuję. Proszę mi tylko powiedzieć, że robi pan to, co uważa za najlepsze dla kraju. Tylko na tym mi zależy.

Prezydent oddycha głęboko i taksuje mnie wzrokiem.

– Nie poprawiasz tym swojej pozycji przetargowej, synku.

– To dlatego, że się nie targuję. Postąpiłem tak, jak musiałem. Teraz sam muszę sobie poradzić z tym, co na mnie spadnie.

Prezydent już ma to skomentować, ale po namyśle rezygnuje. Wydaje mi się, że dostrzegam w jego oczach wdzięczność. Potem z desperacją kręci głową i wychodzi.

## Rozdział 110

W połowie przemówienia wygłaszanego do korpusu prasowego Białego Domu prezydent Francis robi pauzę i zagląda do notatek. Ale nie sądzę, by naprawdę je czytał. Opłakuje stratę przyjaciela, który go zdradził.

– Winieniem podkreślić, że dymisję zastępcy dyrektora Carneya przyjmuję dlatego, że nie poinformował o tej aferze ani dyrektora CIA, ani mnie. Naruszył w ten sposób zasady i nie działał w interesie kraju. Muszę jednakże podkreślić, że moim zdaniem pan Carney nie złamał prawa. Powinien był zawiadomić mnie o sprawie, owszem, ale poza tym robił wszystko, by udaremnić szantaż i nie dopuścić do ujawnienia tajnych informacji dotyczących bezpieczeństwa narodowego. I wydaje się, że cel ten osiągnął.

Prezydent sprawia wrażenie, że brakuje mu charakterystycznej dlań pewności siebie; odchrząknąwszy, podejmuje wątek:

– Rozmawiałem z premierem Merejedewem, który raz jeszcze mnie zapewnił, że Aleksander Kutuzow działał w pojedynkę, usiłując wpłynąć na amerykańską politykę wobec sporu rosyjsko-gruzińskiego; dążył do zwiększenia zysków swojej firmy naftowej. Zapewnił mnie również, że Rosja ani przez chwilę nie wiedziała o poczynaniach pana Kutuzowa oraz że je potępia.

Taak, jasne. Piosenkę tę śpiewają jednak obydwaj kraje. Chętnie wziąłbym udział w rozmowie między prezydentem Franciskiem a rosyjskim premierem. Kiedy poinformowałem opinię publiczną o szantażu, Rosjanom bardzo trudno było zrobić użytek z nagrania wideo. Wydarzenia toczące się w ich kraju i nasze reakcje na nie znalazły się w centrum zainteresowania.

I możecie być pewni, że po tym, co zostało ujawnione, prezydent Francis dał do zrozumienia, że Stany Zjednoczone nie

będą patrzyły przychylnie na rosyjską napaść na małego sąsiada, jakim jest Gruzja. Wyobrażam sobie, że w rozmowie wspomniano o sankcjach i możliwej akcji wojskowej.

À propos, mam hipotezę, według której Aleks Kutuzow czerpał z dealu nie tylko pieniądze. Założę się o butelkę stolicznej, że dostał poważną obietnicę, na przykład taką, że zostanie premierem imperium sowieckiego, do którego odbudowy przykłada rękę. Ale także i tego chyba już nigdy się nie dowiemy.

– Panie i panowie, wszystko to zdarzyło się w trakcie mojej służby i biorę za to pełną odpowiedzialność – oznajmia prezydent. – Jest mi wstyd. Jednak bądźcie państwo pewni, że skorygowałem błąd i nigdy więcej on się nie powtórzy. Na koniec pragnę złożyć osobiste podziękowania na ręce obecnego tutaj dziennikarza, Benjamina Caspera, za to, że prowadził wnikliwe śledztwo w tej sprawie. Bez jego udziału ta afera zakończyłaby się zupełnie inaczej.

Och... aż się zarumieniłem. Ostatecznie wyszedłem z tego dobrze. Craig Carney złożył wyczerpujące zeznanie, stwierdził, że Aleksander Kutuzow organizował na mnie zamachy, w wyniku których śmierć ponieśli policjanci i agenci Secret Service. Wskazał go także jako winnego morderstw na Jonathanie Liu i Ninie Jacobs, mimo że rosyjskich cyngli wysłano po to, by zgładzić Dianę. Nie mam pewności, jak to się rozegrało, ale domyślam się, że Carney jakoś wywęszył, że Rosjanie chcą zabić Dianę, i nakłonił ją, żeby Nina nieświadomie ją zastąpiła.

Dowiedziałem się, że prezydent nalegał, by Carney wyjawiał wszystko. Uczynił to głównie z mojego względu, chciał mi oszczędzić nagabywań ze strony policji. Może i zrobił to ze słusznych pobudek, ale podejrzewam, że dba o mój komfort psychiczny. Choćbym nie wiem ile razy zapewniał go, że zachowam w tajemnicy informacje o jego żonie, on i tak nie czuje się w stu procentach przekonany.

– Teraz z chęcią odpowiem na pytania. Tak, Jane?

– Panie prezydencie, co wynika z tego, że Diana Hotchkiss przyznała się do winy? Czy informacje poufne pozostaną takimi dalej?

– Tak właśnie będzie. Pani Hotchkiss uniknie kary śmierci i zarzutów zdrady w zamian za to, że przyzna się do winy

i zgodzi się nie wyjawiać informacji. Tak, Don? – Prezydent zwrócił się do kolejnego reportera.

– Panie prezydencie, domyślamy się, że jako łączniczka CIA Diana Hotchkiss spędzała dużo czasu w Białym Domu, zwłaszcza z pierwszą damą. Jak pierwsza dama zareagowała na ostatnie wydarzenia?

Prezydent milczy chwilę. Przysięgam, że na tysięczną część sekundy jego wzrok biegnie w moim kierunku.

– Moja żona jest zdruzgotana. To prawda, że przyjaźniła się z panią Hotchkiss. Wiadomość o postępach pani Hotchkiss głęboko ją przygnębiła. Dean?

– Panie prezydencie, pojawiają się doniesienia o tym, że skorzysta pan z prezydenckiego prawa łaski, jeśli prokurator specjalny oskarży pana Craiga Carneya o przestępstwo. Czy istnieje taka możliwość i czy poczynił pan takie ustalenia z panem Carneyem?

I ja się nad tym zastanawiałem. Prokurator generalny wyznaczył prokuratora specjalnego, żeby zbadał postępowanie Carneya. Czy Carney wysunął zawołowaną groźbę pod adresem prezydenta? Czyżby zapowiedział, że jeśli przyjdzie mu się bronić w sprawie karnej, może ujawnić, co było na nagraniu wideo? To prawdopodobne. Ale być może nigdy nie dowiemy się tego na pewno. A może będziemy musieli poczekać dwadzieścia lub trzydzieści lat, wtedy niektórzy dojdą do kresu swoich karier zawodowych i zechcą spisać swoje wspomnienia, żeby stały się bestsellerami.

Nixon zwolnił prokuratora specjalnego w sprawie afery Watergate po...

Nie. Stop. Miało nie być prezydenckich ciekawostek.

Prezydent kiwa palcem.

– Wstrzymam się od komentarzy dotyczących śledztwa, które toczy się pod nadzorem prokuratora specjalnego. Mogę jedynie wyjawiać, że nie zawarłem żadnego „dealu” z panem Carneyem ani z nikim innym. – Prezydent macha ręką. – Dziękuję państwu.

Schodzi z podestu. Dopiero teraz zauważam, że pierwsza dama, Libby Rose Francis, stoi ukryta w rogu pomieszczenia. Prezydent oddała się od podium, ona zaś omiata wzrokiem grono dziennikarskie. Nasze spojrzenia się spotykają. Robi wrażenie mniej lodowatej niż zwykle, wydarzenia ostatnich dni

pewnie ją upokorzyły. Nie macha do mnie ręką ani nie mówi nic ruchem ust, lecz robi spokojniejszą minę i kiwa mi głową.

Nie wiem, jakie jest jej życie. W końcu jest pierwszą damą, więc pod każdym względem powodzi jej się diabelnie dobrze. Ale jest chodzącą bujdą i była nią przez całe życie.

Nawet sobie nie wyobrażam, jaki skutek wywiera to na człowieka.

Może te wydarzenia zapoczątkują u niej wewnętrzne przeobrażenie, skłonią do ujawnienia się. A może wideo gdzieś wypłynie z otchłani Najdzikszego Zachodu, jakim jest internet. Nie wiem i w gruncie rzeczy nie dbam o to.

Chcę jedynie wrócić do domu.



## Rozdział 111

Anne Brennan schodzi po stopniach swojego mieszkania i spogląda w niebo. Zapowiada się deszcz. Odwraca się i wtedy zauważa mnie po przeciwnej stronie ulicy. Staje i patrzy, nie wiedząc, jak ma się zachować. Nie wypada w tej sytuacji poprzestać na swobodnym zamachaniu ręką.

Przechodzę przez jezdnię i zatrzymuję się przed Anne.

– Zmusili mnie do tego – mówi.

– Wiem – wzdygam. – Byłaś zakochana w Dianie.

Kiwa głową. Jej oczy wzbierają łzami.

– Powiedzieli, że jeśli pomogę im cię pilnować, obejdą się złej z Dianą. I pozwolą mi się z nią zobaczyć.

Tyle się domyśliłem.

– Kiedy pierwszy raz do ciebie przyszedłem, nie robiłem tego dla nich – podejmuje Anne. – Nawet nie wiedziałam, że Diana żyje. Naprawdę potrzebowałam twojej pomocy. Ale zobaczyli mnie z tobą i wbili we mnie szpony. Powiedzieli, że Diana jest w areszcie i że to, czy będzie dobrze traktowana, zależy od tego, na ile im pomogę.

Nie ma w tym nic zaskakującego. Przyjmuję słowa Anne bez komentarza. Właściwie nie mam jej nic do powiedzenia, w sumie sam się zastanawiam, dlaczego tutaj przyszedłem. Chyba chciałem ją jeszcze raz zobaczyć.

Przygląda mi się, szuka na mojej twarzy czegoś innego niż rozgoryczenie. Nie mam pewności, co znajduje.

– Ta noc, którą spędziliśmy – odzywa się. – To nie było zaplanowane. Tak po prostu wyszło. Byłam... byłam wtedy doszczętnie rozbita. A ty jesteś takim porządnym facetem. W każdym razie nie żałuję. Mam nadzieję, że ty też nie.

Ale cała reszta była fałszem. Kiedy zadzwoniła do mnie w nocy i powiedziała, że ją napadnięto i nastraszone. Że bała się, że będą ją ścigali. Wszystko było łgarstwem, które federalni zaaranżowali po to, bym dał spokój.

– Nigdy nie wypuszczą jej z więzienia – mówi, jakby miała nadzieję, że to nieprawda.

Ale to jest prawda. Diana spędzi resztę życia za kratkami.

Anne miała szczęście, że sama nie oberwała. W końcu była kochanką Diany. Czy nie wiedziała, że Diana szantażuje rząd Stanów Zjednoczonych? Wygląda na to, że nie, a w każdym razie tak uważają federalni.

Ja bym stawiał na to, że nie wiedziała. Ale kim jestem, żeby oceniać? Ta pani wyrolowała mnie na wszystkie strony ze dwadzieścia razy.

– Wpadłaś w sam środek wiru – zauważam. – Bez urazy. Żyj dalej swoim życiem, Anne. – Mógłbym ją uścisnąć albo wyciągnąć do niej rękę, ale to nie ma sensu. Dużo czasu zapewne upłynie, nim w czymkolwiek odnajdę prawdziwy sens.

Odwracam się i odchodzę, a ciepłe krople deszczu spadają mi na kark.

## Rozdział 112

Myślałem, że jestem przygotowany na to, co zobaczę za rogiem; strażnik wskazał mi krzesło i oznajmił, że mam pół godziny i że rozmowa będzie monitorowana. Ale nie byłem przygotowany.

Diana Hotchkiss jest ubrana w workowaty pomarańczowy kombinezon i wiedziałem, że tak będzie. Jedwabiste niegdyś włosy wyglądają teraz jak mop rozplaszczony na głowie. Ma bladą twarz, pozbawioną barwy, makijażu i słońca. Także i tego się spodziewałem.

Nie spodziewałem się jednak wyrazu jej oczu. Patrzą na mnie przez stalowe pręty, ocienione, ciemne i szkliste, niczego nieujawniające. Na mój widok nie okazuje ani radości, ani smutku. W wyrazie jej twarzy nie ma nadziei, nie ma życia. Wszelkie emocje wyparowały. Diana jest całkowicie i nieodwołalnie złamana.

Wzruszam ramionami, nie wiem, od czego mógłbym zacząć.

– Czy myśmy się w ogóle przyjaźnili? Czy było w tym coś prawdziwego?

Jestem zły na siebie, że zadałem to pytanie. I nie chcę, żeby zależało mi na odpowiedzi. A jednak mi zależy.

Diana stoi oparta plecami o ścianę pojedynczej celi, widzę jej profil. Gryzie paznokieć i spostrzegam, że doszła już do opuszki.

– Każdy kogoś gra – odpowiada. – Każdy okłamuje siebie i innych. Wszyscy się nawzajem wykorzystują.

Potrzebuje to sobie mówić. Postąpiła źle, ale to tylko jeden z wariantów tego, co robią wszyscy. Bardzo odmienny wariant. Pomagała innemu państwu szantażować Stany Zjednoczone Ameryki.

– Więc dlaczego tu jestem, Diano? Czemu poprosiłaś, żebym przyszedł?

Odzywa się po chwili:

– Chciałam przeprosić. Przykro mi, że cię w to w ogóle wplątałam. Nie chciałam, żebyś ty, Nina albo Randy...

Po tych słowach się załamuje i zaczyna szlochać w dłonie. Na jej policzki spadły pewnie niezliczone łzy w ciągu ostatnich tygodni, całe jej życie legło w gruzach. Nie wiem, czego się spodziewała. Naprawdę myślała, że to się szczęśliwie skończy?

Zapewne nie. W Quantico zrobią kurs z jej historii, będzie to studium autodestrukcji.

Czuję, że zaczynam jej żałować, lecz naraz pojawia się gniew.

– To, co zrobiłaś Ninie, było niegodziwe – mówię. – Niewybaczalne.

Szloch Diany przechodzi w niekontrolowany spazm; ogrom hańby, wstydu, braku przyszłości, niepotrzebne skreślić, bierze ją całkowicie we władanie. Osuwa się na podłogę i płacze przez niemal dziesięć minut.

Kiedy wreszcie przestaje, mówi przez rękę:

– Ten tydzień, w którym Nina mieszkała w moim domu... właśnie wtedy wszystko się stało.

– To wtedy przekazałaś Rosjanom nagranie wideo z tobą i pierwszą damą – mówię. – A oni pokazali je Craigowi Carneyowi.

– Tak. – Diana bierze głęboki oddech. – Chciałam uzyskać przewagę na starcie. Wiedziałam, że ludzie Kutuzowa mają mnie na oku. Chciałam, żeby myśleli, że jestem w domu.

– Obserwują więc twoje mieszkanie z odległości i widzą kogoś, kto wygląda tak jak ty, nosi twoje ubrania, wchodzi i wychodzi, śpi tam, karmi kota; myślą, że nadal jesteś w mieście. A ty w tym czasie gdzieś sobie wyjechałaś. Pewnie w jakieś ciepłe miejsce. Takie, w którym nie mają podpisanego ze Stanami Zjednoczonymi porozumienia o ekstradycji.

Diana znów kiwa głową. CIA pewnie wykorzystwała swoje niebagatelne środki na to, żeby ją namierzyć, i doszła do wniosku, że porozumieniem o ekstradycji w ogóle nie będzie się przejmować. Wyobrażam sobie ekipę, która wysypuje się z czarnego helikoptera, aresztuje Dianę gdzieś na plaży, a potem błyskawicznie przerzuca ją do Quantico.

– A dlaczego kazałaś mi zainstalować sprzęt obserwacyjny? – dociekam. – Zachciało ci się uwikłać mnie w spisek międzynarodowy? Nieszczęście potrzebuje towarzystwa?

– Dlatego, że byłeś jedynym człowiekiem, któremu mogłam zaufać.

Milczę. W głębi duszy walczę z pokusą, by jej uwierzyć. Nabrała mnie tak, że wystarczy na jedno życie.

– Uświadomiłam sobie, że Rosjanie mogą chcieć mnie zabić, kiedy dostaną wideo, a ja przestanę im być potrzebna – wyjaśnia. – A gdyby podjęli taką próbę, chciałam mieć to na nagraniu wideo z mojego mieszkania. – Spogląda na mnie. – Ben, przysięgam ci, nie wiedziałam, że zabiorą się do roboty tak prędko. Nina miała się wyprowadzić nazajutrz. Nie sądziłam, że przyjdą po mnie tego wieczoru. Ja... ja nie chciałam jej śmierci. Nie chciałam, przysięgam.

Nie wiem, czy jej wierzę, czy nie. Ale tak czy owak, okazała straszną lekkomyślność w traktowaniu życia drugiej osoby.

– A kto zatuszował śmierć Niny? – pytam. – CIA?

Spogląda na mnie tak, jakby odpowiedź była oczywista.

– No pewnie. Wtedy o wszystkim już wiedzieli. Mogli nawet wiedzieć, że Rosjanie po mnie przyjdą. Podjęli decyzję, że chcą, by wszyscy uwierzyli, że zginęłam.

I to się udało. Przynajmniej na jakiś czas. Dopóki ja się tym nie zainteresowałam.

Ale teraz już po wszystkim. Diana zostawiła moralność na progu, podjęła, trzeba to przyznać, odważną próbę zgarnięcia wielkiej sumy i przegrała najdotkliwiej, jak można. Teraz spędzi resztę życia w celi.

Kochałem tę kobietę. Nie można tak po prostu wyłączyć uczucia. Ale kochałem osobę, która nie istniała. Kochałem kogoś, kogo Diana udawała. Może były symptomy, lecz ich nie zauważałem. Może nie chciałem ich zauważać.

Klawisz podchodzi i oznajmia, że czas dobiegł końca. Biorę głęboki oddech i patrzę na Dianę.

Łagodnie kładę dłoń na prętach i spoglądam na nią ostatni raz.

– W twoim życiu nadal jest dobro. Trudniej będzie je znaleźć, ale ono istnieje, Diano. Nie przestawaj go szukać.

Potem odchodzę, zastanawiając się, czy aby nie powinienem zastosować się do swojej rady.

## Rozdział 113

Profesor Andrei Bogomolov nie podchodzi do drzwi po moim dzwonku. Zamiast niego pojawia się pielęgniarka i prowadzi mnie do jego jaskini; Andrei leży na szpitalnym łóżku ustawionym przy ścianie.

Wygląda dwadzieścia razy gorzej, niż kiedy go ostatnio widziałem, zaledwie tydzień temu. Potworna choroba, która go toczy, zwycięża błyskawicznie. Kosmyki włosów na głowie sterczą mu na wszystkie strony. Oczy ma czarne i nieobecne.

Kiedy poprzednio tu przyszedłem, nie było szpitalnego łóżka. Albo on nie pozwolił mi go zobaczyć. To znaczy, że koniec jest bliski, Andrei zaś chce umrzeć w domu, a nie w szpitalu.

Próbuje się uśmiechnąć, lecz nawet ten drobny wysiłek sprawia mu ból. Ujmuję jego dłoń i ściskam ją delikatnie.

– Hej, stary przyjacielu.

– Jesteś... bohaterem – mówi z trudem Andrei. Dobrze się spisałeś, Koniku Polny.

– Tygodniówka roboty. – Usiłuję poprawić nastrój, ale blado to wypada.

Wyglądam przez okno na ogród i przypominam sobie spotkanie przy grillu kilka tygodni po śmierci matki. Jeśli kiedykolwiek poczujesz, że jesteś w niebezpieczeństwie, rzekł Andrei, możesz do mnie zadzwonić, Benjaminie. Ja ci pomogę.

– Przyszedłeś tutaj... nie bez powodu – szepcze.

– Przyszedłem, żeby spotkać się ze starym przyjacielem. – Uśmiecham się.

Andrei się krzywi, a potem następuje atak kaszlu. Biorę ściereczkę z szafki obok łóżka i ocieram mu usta, kiedy przestaje kasłać.

– Nie musisz mówić nic, czego nie chcesz powiedzieć – zapewniam go.

– Owszem, muszę. O wiele... po czasie. To kwestia... którą rozważałem wiele razy. Wiele...

Powieki mu opadają. Zapada w sen. To działanie środka przeciwbólowego w kroplówce, a może ogólnego wyczerpania. Po paru minutach Andrei budzi się nagle i patrzy bez przytomności. Chwilę trwa, zanim wraca mu orientacja, i znów spogląda na mnie przytomniej.

– Dlaczego ojciec zabił matkę?

Moje pytanie, a zapewne i wspomnienia, które ono budzi, sprawiają mu ból; usta Andreia na chwilę się kurczą.

– Tego... nie mogliśmy potwierdzić... wtedy. Ale teraz... teraz uważamy, że... znamy... odpowiedź.

– Dlaczego mój ojciec zabił moją matkę, Andrei?

Andrei bierze głęboki oddech.

– Nie zabił.

Cofam się, jakby poraził mnie prąd.

– Zabił... jego pracodawca – dopowiada Andrei. – Twój ojciec... usiłował... temu zapobiec.

Pracodawca ojca? Andrei nie ma na myśli kierownictwa American University.

– A więc był powód, dla którego CIA ulokowała cię na American University – mówię. – Szpiegowałeś mojego ojca.

Andrei zamyka oczy i kiwa głową.

– To... prawda.

– Dla kogo szpiegował ojciec? – pytam. – Dla Rosjan?

Andrei znów otwiera oczy.

– Chiny... Uważamy, że twoja matka to odkryła... a oni... Chińczycy...

– Chińczycy ją zabili, bo myśleli, że zniszczy kamuflaż ojca – dopowiadam. Wszystko mi się teraz krystalizuje.

– Otóż to – szepcze Andrei. – Otóż to.

Puszczam jego rękę i odsuwam się od łóżka.

– Ale dlaczego, dlaczego... dlaczego, u diabła, ojciec mnie wrobił w...

Znienacka ścisną mnie w gardle i tracę nad sobą kontrolę. Łzy prawie tryskają mi z oczu na policzki, klatka piersiowa zaczyna falować. Trwa to Bóg jeden wie ile, łkam jak małe dziecko, płaczę, jak chyba nigdy nie płakałem, łapię powietrze i siąkam, trzęsę się i duszę, zawodzę; wszystko, co leżało zagrzebane głęboko, teraz się wylewa...

Ojciec był szpiegiem? To dlatego matka była ciągle taka przybita? Dowiedziała się, że mąż jest zdrajcą. Nie wiedziała, jak postąpić.

Później ocieram twarz i nos, zaczynam znów normalnie oddychać; spoglądam na Andreia. Otwiera dłoń wyciągniętą ku mnie. Podchodzę do łóżka i ściskam ją.

– Mój dobry... Benjaminie – szepcze. – Gdyby... prawda... wyszła na jaw... powiedzieli... że zabijają... że ciebie zabijają następnego.

– Ojciec mnie chronił? – Wypowiadam to zdanie, jakby słowa były trucizną na moim języku.

– Ojciec przyszedł do domu... i zastał ją martwą. Chińczycy powiedzieli mu... że nie... nie mogą być wplątani... ani on. Ty byłeś... jedynym kandydatem. Benjaminie... twój ojciec... podjął wszystkie kroki... żeby cię uniewinniono.

Myśli płaczą mi się w głowie, spada na mnie lawina wspomnień, ale nawet ja muszę przyznać, że tak było. Miałem najlepszych adwokatów i ostatecznie zarzuty oddalono.

– Czy to dlatego nigdy nie chodziłem do szkoły? Czy dlatego miałem prywatnych nauczycieli i aż do czasów college'u prawie w ogóle nie wychodziłem z domu?

Andrei kiwa głową.

– On bał się... o twoje bezpieczeństwo.

Wszystko wywraca się do góry nogami. Wszystko, co o nim sądziłem, było nieprawdą.

– Po latach – podejmuje Andrei. – Wreszcie nakryliśmy twojego ojca. Upublicznienie tej informacji było zbyt... zawstydzające. On współpracował... i umieszczono go...

– W areszcie domowym – dopowiadam. Dom w lesie był jego aresztem domowym. Właśnie dlatego tam mieszkał i nigdy nie pozwolił mi przyjechać, przez tyle lat, aż umarł. Nie chciał, żebym się dowiedział.

– Zdrajca, tak – szepcze Andrei. – Ale zdrajca, który... kochał syna.

Nie, nie. Za dużo już tego. Przeładowanie systemu. Awaria.

Słyszę, że coś mówię, ale nie wiem, co powiedziałem, a potem krążę po jaskini Andreia; później powietrze na dworze jest jakieś zimne, kęsa w skórę, dół jest u góry, a góra na dole, ktoś inny zamieszkuje to ciało, nie ja, ja nie jestem Ben; trąbi



samochód, opony piszczą i ślizgają się, ktoś na mnie bluzga, a potem biegnę, biegnę jak najszybciej i dobrze mi z tym, czuję, że jest dobrze, śmieję się i płaczę, i czuję się wyzwolony, czuję się normalnie...

Jimmy Carter uważany jest za prezydenta, który pierwszy systematycznie uprawiał jogging. Robił to głównie po to, by rozładować stres. Ale od tej pory biegali niemal wszyscy prezydenci oprócz Reagana, który był pewnie za stary, oraz George'a W. Busha, który musiał zrezygnować z powodu bólu kolana. Reagan był w młodości ratownikiem wodnym i wolał pływanie, Kennedy także pływał, żeby ulżyć sobie w bólu pleców; John Quincy Adams regularnie zaczynał dzień od kąpieli nago w Potomacu, jest o tym taka śmieszna anegdota...

# Przypisy

1 Anthony Wilford Brimley, amerykański aktor, znany z takich filmów jak *Kokon* i *Firma*.

2 Snowflake (ang.) – Śnieżynka; Spider – Pająk; Icicle – Soplel.

3 Edgar Allan Poe, *Kruk*, tłum. J. Kozak.